

DUBLANY

Historyczna Monografia Dublan Samborskich



1950r.

KS. MGR PIOTR SZKOLNICKI

WŁADYSŁAW KROKOŚIŃSKI



"Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną

Do tych pagórków leśnych, do tych lak zielonych

Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych

Do tych poi malowanych zbożem rozmaitym,

Wyłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem".

Adam Mickiewicz – „Pan Tadeusz” Księga I



Rodzinna wieś - jej pola, łąki, ścieżyny, koledzy z lat chłopięcych, przeżycia z nimi, wszystko to tak bliskie, tak drogie sercu, jakby dzisiejsze. Wspomnienie beztroskich, szczęśliwych lat dzieciennych i młodzieńczych rozpogadza czoło zasnute chmurami ciężkich, może nawet tragicznych zmagają ostatnich wojennych lat. Tragedii w swoim rodzaju uległa też wieś Dublany. podzieliła los wszystkich wsi i miast leżących na wschodnich terenach Polski. Któż opisze przeżycia jej mieszkańców, żegnających swoje zagrody, swoją ojcowiznę? Dziś rozproszeni niemal po całej Polsce, rozdzieleni na kilkadziesiąt grup, zwłaszcza na Ziemiach Zachodnich, z pewnością nie zapomną do śmierci o swoim ojcowiskim zagonie, o swej strzesze rodzinnej, ale młodsze pokolenie - i to tam jeszcze zrodzone i to już tutaj, czy będzie coś wiedziało o Dublanach, czy wspomni i ono kiedyś o tak miłym dla nas Dublańczyków zakątku?

Te właśnie względy skłoniły mnie do tej skromnej pracy. Sięgnąłem i do przeszłości, do początków naszej wsi, niestety źródła znikome, dostęp do archiwów, w których można by coś znaleźć dziś, niemożliwy. Toteż ze względu na brak źródeł dotyczących bezpośrednio Dublan, potraktowałem szerzej historię Rusi Czerwonej i Unii Kościelnej, co wprawdzie może nudzić czytelnika, jest jednak moim zdaniem konieczne, jako ogólne tło, które posłużyły jakby prześliczna rama do wprowadzenia w nią starego i niewyraźnego obrazu - historii Dublan. Wykorzystałem, co w tej chwili dostępne, a to wszystko oprzędłem jakby dublańską nicią - moimi wspomnieniami. Nieudolna, niefachowa to praca,

powstała w krótkich, urywanych chwilach, wolnych od licznych i ciężkich zajęć duszpasterskich, może jednak zabłądzi do rąk dawnych mieszkańców Dublan. Z pewnością pobudzi do głębokiej zadumy, odgrzebie niejedną jaśniejszą chwilę, przypomni naukę matczyną, gorącą dzieciną wiarę, podniesie serce, rozpogodzi umysł. Wspomnienie dublańskiego kościoła, skromnego co prawda, ale tak miłego swoim zaciszem, swoją przytulnością, wspomnienie słynącego łaskami ołtarza Matki Bolesnej, tak żywo pulsującego już ostatnio życia parafialnego, niejednemu Dublańczykowi może zabłąkanemu, oddalonemu od Boga, nakaże rozagę i powrót ze złej drogi. Wiadomo, życie niełatwe, sposobność do złego zbyt natarczywa, trzeba wielkiej mocy Bożej by wytrwać, by nie ulec podszeptom.

Wyrażam tu ogromną wdzięczność tym wszystkim, którzy mi pracę ułatwili: prałatowi Janowi Kwolkowi z Przemyśla, ks. Stanisławowi Papczyńskiemu, ks. Zawadzkiemu, p. organiście Towarnickiemu, pp. dyr. Stachowie Zora i wszystkim, którzy chętnie służyli mi cennymi informacjami.

Ks. mgr. Piotr Szkolnicki

Niewodna, 18 stycznia 1952 r.



SPIS TREŚCI

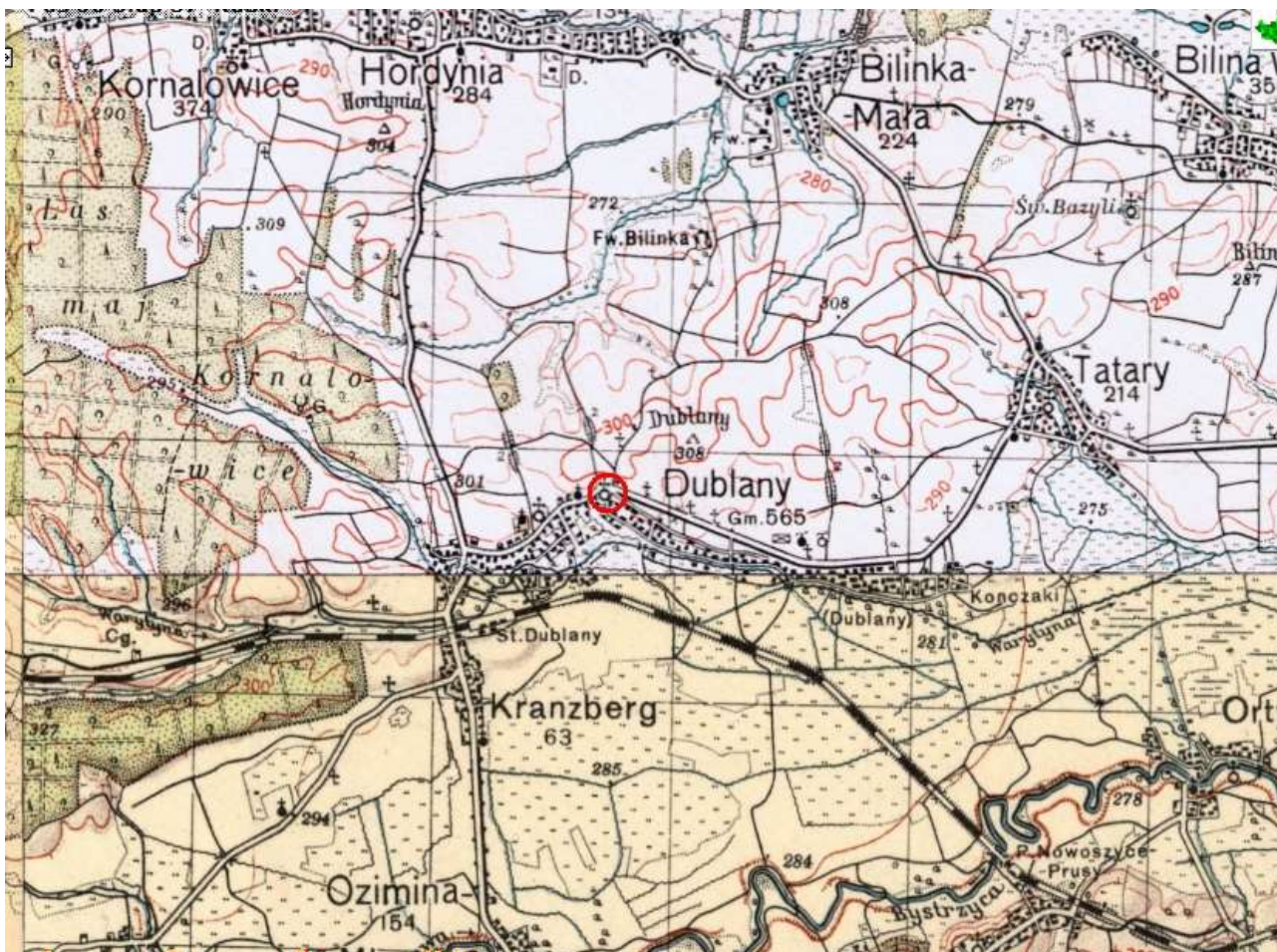
1	DOBLANY.....	5
1.1	Położenie i krajobraz.....	5
1.2	Gleba.....	6
1.3	Klimat - roślinność.....	7
1.4	Zwierzęta.....	8
1.5	Ptaki.....	8
2	Mieszkańcy.....	9
2.1	Czasy przedhistoryczne.....	9
2.2	Czasy wczesno – historyczne.....	10
2.3	Pochodzenie.....	11
2.4	Dzieje Rusi Czerwonej.....	13
2.5	Początki walki narodowościowej i jej przebieg. Polacy i Rusini.....	15
2.6	Nadchodzi wojna światowa.....	19
3	Religia - wyznanie.....	26
3.1	Zmaganie z pogaństwem, chrzest Polski, Apostołowie Słowian.....	26
3.2	Historia Unii Kościelnej na Rusi.....	32
4	Parafia rzymsko-katolicka w Dublanach.....	39
4.1	Czas powstania.....	39
4.2	Fundacja kościoła.....	42
4.3	Powiększenie fundacji:.....	45
4.4	Kościół parafialny, księży proboszczowie i wikariusze.....	49
4.5	Proboszczowie i Wikariusze w Dublanach.....	63
4.6	Parafia grecko - katolicka w Dublanach.....	65
5	Życie kulturalno – oświatowe.....	66

5.1	Oświata i kultura w Dublanach	66
6	Zwyczaje i obyczaje.....	72
6.1	Ślub i wesele	73
6.2	Narodziny i chrzest.....	77
6.3	Zgony i pogrzeby.....	78
6.4	Boże Narodzenie.....	79
6.5	Wielkanoc	82
6.6	Stypy	83
7	Chłopska dola.	84
7.1	Pańszczyzna	84
7.2	Przeludnienie – zarobki.....	88
7.3	Chałupnicze tkactwo.....	92
7.4	Kurne chaty	93
8	Z Historii Dublan – Władysław Krokosiński	98
9	Ksiądz Piotr Szkolnicki – O Autorze.....	106

1 DOBLANY

1.1 POŁOŻENIE I KRAJOBRAZ.

We wschodniej części powiatu Samborskiego, przy linii kolejowej Sambor - Drohobycz, w odległości 15 km od Sambora na tle pięknego, bardzo urozmaiconego krajobrazu leży wieś Dublany. Nazwa Dublany stanowi skrót od "dubowych łąnów" tj. od ornych łąnów pól, które zarosły lasem dębowym. Duża to wieś, licząca ostatnio ponad 700 numerów, ciągnie się aż 6 km od zachodu ku wschodowi, wzdłuż linii kolejowej i gościńca drogi powiatowej. Nad potokiem Werytyna, dopływem pobliskiej Bystrzycy, w wielkim skupieniu rozsiadły się dublańskie chaty.



Od południowej strony wsi rozciągają się szerokim pasem gromadzkie wspólne pastwiska i łąki, ku północy zaś bardzo wąskie - aż śmieszne - zagony uprawnej i urodzajnej roli.

Zachodnia część Dublan tzw. Horyn (górną część) bardziej pagórkowata, leżąca około 300 m nad poziomem morza, ma położenie piękniejsze. W zieleni drzew i krzewów, otoczona z dwóch stron pobliskim lasem liściastym góruje nad Dołem, tj. dolną częścią wsi, opadającą ku wschodowi w szeroko rozciągającą się równinę (do 200 m n.p.m), przechodzącą w końcu wsi w błotniste pastwiska i łąki, a nawet miejscami w bagna i moczary. Z okna pociągu, jadącego ze Sambora do Drohobycza, już od wsi Kulczyce, widnieje po prawej stronie toru kolejowego ciągle coraz wyżej wznoszące się pasmo Podgórze, przechodzące dalej w górzyste Bieszczady i silny na horyzoncie masyw Karpat. Tuż przed Dublanami uderza nas świeży powiew liściastego lasu "Osikowca", ciągnącego się długim pasmem z jednej strony, z drugiej zaś kobiercem kolorowych w lecie łąk i pastwisk, a dalej znowu las Korytwina i Rosochy pięknie urozmaicający krajobraz.

Z lasu, po lewej stronie nieco dalej od toru wyrasta wieś "Horyn": otulona zielenią drzew tuż przy torze, obok stacji kolejowej rozciąga się zaś niewielki obszar pastwisk zwany Stawisko.

Dalej - 2 km w głąb wsi góruje ponad domami strzelista wieża parafialnego kościoła, w lecie z pociągu mało widoczna, otoczona wysokimi, wiekowymi lipami niknie w zieleni, obok piętrowy budynek plebanii, piękny, gotycki kościół i duży piętrowy budynek szkolny - to chluba wsi i całej parafii dublańskiej. W dolnej części wsi (na Dole) znajduje się drugi budynek szkolny, piękny i dość obszerny tzw. Dublany II.

1.2 GLEBA

Gleba w Dublanach i okolicy, pochodzenia przeważnie aluwialnego jest bardzo urodzajna, pod względem jakości rozmaita: od gliniasto - piaszczystych pól (w niewielkiej ilości less), poprzez rędziny przechodzi w torfowiska i mady. Ta glina mamutowa, nawiana w epoce lodowej, jak i torfy nizinne tutaj doskonale nadające się pod uprawę, pierwsza pod uprawę pszenicy i buraka cukrowego, druga pod uprawę roślin pastewnych i okopowych.

Duża część ziemi to podmokłe łąki i torfowiska, niestety ciągle czekające na melioracje, ciągnące się zwłaszcza w dolnej części (na Dole) długim pasem ku Bystrzycy. Mieszkańcy wyzyskują je na pastwiska. Ostatnio po przyłączeniu tych terenów do Rosji Sowieckiej rozpoczęto eksploatować w dużej ilości, torf na opał.

W czasie ulewnych deszczów, gdy potok Warytyna wyleje, przez szereg tygodni pastwiska te nie są zdadne do pasienia wskutek naniesionych przez wodę mułów. Miejscami pozostają przez całe lato moczary i trzęsawiska nie do przebycia (tzw. Przyczynki) - (Sine Jeziora na Skosach). Całe to pasmo błot i bagien jest przedłużeniem Niziny Naddniestrzańskiej (Dniestr oddalony od Dublan o 6km w Kornalowicach).

1.3 KLIMAT - ROŚLINNOŚĆ

Cała południowo - wschodnia część powiatu Samborskiego pozostaje pod wpływem klimatu kontynentalnego, stąd często wieje tu wiatr wschodni przynoszący w zimie mróz, a w lecie susze i upał. W Nizinie Naddniestrzańskiej przeważa jednak strefa klimatu środkowo - polskiego: wiatr zachodni, obfity w parę wodną wiejący od Atlantyku sprowadza w zimie odwilż a w lecie deszcz. Łagodny klimat stwarza doskonałe warunki roślinności. W średniowieczu cały ten obszar był pokryty lasami, zwłaszcza jak nazwa wsi wskazuje dębami (dubne - dębowe łąny). Obecnie pozostały po nich resztki. Drzewa szpilkowe - (świerk, rzadziej jodła) należą do rzadkości. Przeważają drzewa liściaste: dęby, buki, graby, brzozy, na mokradłach olcha. Wieś tonie w zieleni jesionów, kasztanów, rozłożystych lip, czeremchy. Topola prawie ginie, natomiast panoszy się pospolita polska wierzba i to wszędzie, zwłaszcza nad potokiem Warytyna, obok domostw, stodół, na miedzach. Tak przyzwyczailiśmy się do niej, że trudno wprost wyobrazić sobie wieś polską bez wierzby. Mieszkańcy ze względów praktycznych cenią wierzbę, gdyż wystarczy wbić kol wierzbowy w ziemię, by za kilka lat doczekać się wyrosniętego drzewa, które odtąd będzie eksploatowane co drugi rok na ogrodzenie (płot), a nawet na opał. Sady stosunkowo duże, ale rosną prawie dziko: bez kultury, nie szczepione, nie obcinane dzikie pędy, stąd wartość ich znikoma. Na łąkach rosną trawy pospolite w całej Polsce dla moczarowatych terenów. Na wiosnę, zielony kobierzec traw łąkowych jest gęsto przetykany żółtym kaczeńcem, a nieco suchsze miejsca różową smulką. Z leczniczych roślin najczęściej spotykane są: rumianek, centuria, piołun, śláz, podbiał. Ogrody zachwaszczają mokrzyce, pokrzywy różnego gatunku (żegawki, głuche), rosnący koło płotów bieluń i lulek (zw. kulba baba). Do roślin uprawnych na polach należą: żyto, pszenica, owies, proso, kukurydza, len, konopie, groch, bób, fasola w wielu odmianach, ziemniaki, buraki cukrowe i pastewne, rzepa (jako poplon). Ze względu na karłowate gospodarstwa plantacji buraków cukrowych nie ma. W zbożach plenią się: bławaty, mak polny, kąkol, wszelkiego rodzaju osty, goryczka (gorczyca), lebioda.

1.4 ZWIERZĘTA

W pośród bogatej roślinności mają schronienie liczne gatunki zwierząt. Wprawdzie do rzadkości już należy tu dzik (dzika Świnia), ale ciągle jeszcze na polach bliżej lasów (w Garbie) czynią wielkie szkody. Znikł wilk, niewiele pozostało lisów. Spotyka się, choć rzadko, kuny i tchórze, w okolicznych lasach czasem smukłe sarenki, uciekające w popłochu. Powszechnie spotyka się zającą, kreta, jeża, łasice, wiewiórkę, myszy polne i domowe są często prawdziwą plagą. Z płazów reprezentowane są: jaszczurka zwinka i wiele gatunków żab, które od wczesnej wiosny urządzają wieczorami daleko słyszalną żabią muzykę, zwłaszcza na bagnach i strugach.

Często i w dzień nawołują się znanym zawołaniem kum - kum, dając znać o sobie wysokonogiemu boćkowi. Z gadów rzadko pokaże się żmija zwana gadziną, w potoku ułowią chłopcy czasem szczupaka lub jelca, w rowach piskorza a nawet raka.

1.5 PTAKI

Już wczesną wiosną z pierwszymi promieniami słońca zjawia się na polach skowronek, przy domach pełno świergotu naszych szarych wróbli, latem gołocących pszenicę i proso.

Za pługiem oracza zwłaszcza jesienią kroczy cała masa wron i gawronów, wnoszą krakaniem melancholijny, jesienny nastrój. Jaskółki - przynoszące rzekomo szczęście - budują swe gniazdko nad oknami domów, na strychach i stodołach, one to cieszą się specjalną sympatią. Nie wolno zabić jaskółki, uchodzi to za wielki grzech. Tu i ówdzie na starych, słomianych dachach widnieje gniazdo bociana, to znów spotyka się go kroczącego po moczarach i łąkach. Mieszkańcy uważają za złą wróżbę dla siebie widzieć boćka po raz pierwszy na wiosnę - na ziemi a za szczęście - w locie. Często zakrada się sroka i porywa małe kurczątko lub kaczątko, jastrząb wpada znienacka na młodego gołąbka. Na wieży kościelnej gnieźdzą się kawki i sowy. Od czasu do czasu odezwie się kukułka (tu zwana powszechnie zazulą): podobno najpierwsze posłyszane na wiosnę ku - ku trzeba natychmiast zadzwonić pięniędzmi w kieszeni, a będzie się ich miało sporo przez cały rok.

Zastuka w stare drzewo dzięcioł, w zimie błysnie krawatem gil, tu dziobie coś sikorka, tam znów podskakuje na podwórzu czubata śmieciuszka.

2 MIESZKAŃCY

2.1 CZASY PRZEDHISTORYCZNE.

Już w epoce przedhistorycznej, wśród dębowych lasów, na urodzajnych wyrębach, nad potokiem lub rzeczką osiadali tu pierwsi mieszkańcy. Zabrali się do pracy na dobre, karczowali dęby, wycinali lasy, rozszerzali coraz bardziej uprawne zagony. Do miasta daleko - żyli więc głównie z uprawy roli, a początkowo i z łowiectwa. Na ślady ich pobytu na tych ziemiach jeszcze w czasach prehistorycznych i prasłowiańskich naprowadzają nas liczne wykopaliska dokonane w ostatnich czasach przez lekarza Samborskiego dr. Włodzimierza Kobielnika. W latach 1931 i 1932 ciekawych danych dostarczyły rozkopiska trzech mogił starożytnych, tzw. kurhanów, dokonane we wsi Horodyszcz (5 km od Dublan, 11 km od Sambora), opisane w roczniku "Bojkiwszczyna" za rok 1933. Rozkopana pierwsza mogiła (wysoka na 150 cm) miała formę prawidłowego koła o średnicy 30m. W głębokości 25-30cm natrafiono na krzemienno, nadburzański skrobacz, importowany z północy. Przy 75cm głębokości znajdował się silny podkład drewnianego węgla o średnicy 5m. Najwięcej węgla znaleziono w samym środku koła. W głębokości 85cm były rozsypane kości ze śladami spalania. Kości na powietrzu rozsypały się i kruszyły na biały proszek. W głębokości 125cm natrafiono na 9 wielkich okrągłaków piaskowca o średnicy 20-30cm, pochodzących z tutejszych potoków.

Na kamieniach widać było wyraźne ślady ogniska z wielką ilością węgla drzewnego. Znaleziono tu okrągłą kulę rogowca wielkości jabłka, służącą prawdopodobnie do obrabiania krzemienno przedmiotów. Na kamieniach leżały dwie brązowe bransolety, żelazna igła i dwa kaolinowe naszyjniki. Bransolety wyrobione z brązu, pięknie patynowane. Znalezione przedmioty nie noszą na sobie śladów spalania, widocznie wrzucono je do mogiły po spaleniu ciała, na co wskazuje i to, że leżały one nie bezpośrednio na kamieniu, ale na warstwie węgla, grubości 2cm. Znajdowały się tam też potłuczone naczynia gliniane, wyrobione ręką. podobnie jak w czasach średniowiecznych kruszono kopie

na mogiłach znakomitych wojowników, tak wtedy w sakralnym lub symbolicznym znaczeniu tłuczono naczynia gliniane na znak, że pochowana osoba płci żeńskiej, nie będzie już odtąd zajmować się gospodarstwem domowym.

Rozkopane dwie dalsze mogiły dowiodły, że są to całopalne groby z resztkami kości, włożonymi do grobu bez popielnicy. Oprócz potłuczonych czerepów naczyń nie znaleziono - co jest bardzo znamienne - ani kamiennych, ani metalowych darów. Wszystkie te trzy mogiły, jak wykazały szczegółowe badania, pochodzą z epoki halsztackiej tj. 800 do 500 lat przed Chrystusem. (Halsztackie - nad-dunajskie brzozy - Halsztacka - brzozywa kultura nad Dunajem według Hernesa i systemu Pawła Reineke 1912).

Zaznaczyć należy, że podobne starożytne mogiły rozsiiane są po całej niemal Samborszczyźnie, a nawet dwie znajdują się na pastwisku gromadzkim w Dublanach, inne w bliskiej odległości od Dublan, a to: 6 w lesie w Kulczycach, 2 w Lulczycach Eustykalnych, 5 na polu w Szadem, 2 na łące w Oziminie. Oczywiście nie są one dotąd zbadane, w każdym razie nasuwają podobieństwo do owych rozkopanych. Powyższe archeologiczne wykopaliska upoważniają nas do wniosku, że w okolicy Dublan i same Dublany były zamieszkałe dość licznie jeszcze w czasach prehistorycznych, w każdym razie około 1000 lat przed Chrystusem, kiedy to mieszkańcy Samborszczyzny własnoręcznie wyrabiali przedmioty domowego użytku z miejscowego kamienia pasiastego, a wyroby narzędzi i ozdób z brzozy importowali z południa.

2.2 CZASY WCZESNO – HISTORYCZNE.

Idąc dalej z biegiem historii z niezachwianą już pewnością stwierdzamy istnienie na tych terenach ludności w czasach wczesno - historycznych. Dowodu dostarcza nam znowu rozkopane przez dr. Kobielnika wczesno - historyczne grodzisko w Stupnicy Ruskiej. Ślady podobnych grodzisk znaleziono w kilku miejscach Samborszczyzny (Stupnica, Spaś, Smolnica i Graziowa).

W nieznacznym oddaleniu od Dublan 13 km (od Sambora 16) w starożytnym osiedlu Stupnica Ruska dotąd oglądać można, rozłożone nad rzeką Bystrzyca,, wczesno - historyczne grodzisko. Stanowi ono olbrzymie koło o średnicy 112m , otoczone wysokimi na 6m wałami ziemnymi. Grubość wału wynosi u podstawy około 8m, szerokość wierzchu około 2m. Zachodnia część wału dotyka brzozy rzeki i jest

jakby jego dopełnieniem, tu wysokość wału wynosi blisko 20m. Dotąd widoczne są w wale dwie bramy w postaci wyrw i wyłomów. Dokoła wału biegnie rów rozmaitej głębokości i szerokości. Przed wałami od wschodu jest usypany prostoliniowy drugi wał ziemny w oddaleniu 300-400 m, bardzo dobrze zachowany, wysoki na 3,5m.

Rozkopaliska terenu, utrudnione częściowo ze względu na znajdującą się wewnątrz grodziska obecnie cerkiew greko- katolicką i zabudowania probostwa dostarczyły jednak ciekawego materiału. Znalaziono tu ślady przepalanej gliny i węgla drzewnego, pochodzące z tych dawnych czasów, kiedy nieznany nam bliżej wróg dobywał grodu, paląc dokoła palisady z twardego drzewa. Resztki spróchniałych kości ludzkich i zwierzęcych, wydobyte na terenie między wałami, na powietrzu rozpadały się za dotknięciem, widocznie dr. Kobielnik nie posiadał odpowiednich urządzeń w tym celu, albo zbyt pochopnie zabierał się do badania, a szkoda, bo rozpoznanie kości ułatwiłoby znacznie dokładniejsze określenie czasu powstania, względnie życiowego trwania grodziska. Niemniej jednak dopomogły mu w tym wydobyte tam skorupy naczyń glinianych i wyroby żelazne (przechowywane w ukraińskim muzeum w Samborze).

Na podstawie wydobytych części glinianych naczyń i ich ornamentyki, pochodzącej z okresu ceramiki grodziskiej stwierdzono istnienie tegoż grodziska w czasach wczesno - historycznych, między VIII a XII stuleciem naszej ery.

Historia dostarcza nam bliższych szczegółów o istnieniu wówczas takich grodzisk. Były one obronnymi ośrodkami, znajdując się zwykle w miejscach z natury obronnych i zabezpieczonych, dawały ochronę okolicznej ludności, zebranej tu w chwilach trwogi przed wrogiem. Grodziska te dawały początek rozwojowi handlu i przemysłu, po stwierdzeniu zamieszkania okolic Dublan w czasie wczesno - historycznym, mimo woli budzi się pytanie kim byli owi mieszkańcy? A biorąc pod uwagę ciągłą wówczas migrację ludności, ustawiczną wędrówkę z miejsca na miejsce, pytamy skąd przybyli tu pierwsi nasi przodkowie.

2.3 POCHODZENIE

Nauka historii i antropologii stwierdza zgodnie, że ludność na tych terenach jeszcze przed 981 r. należała do szczepów Słowian Zachodnich i że zmieszana była z migracją tracko - rumuńską od po-

łudnia. Już Herodot, historyk grecki z V-ego w. przed Chrystusem wspomina o naszych bagnach nadniestrzańskich, jako wielkim jeziorze na granicy między Scytami a Neurami. Scytowie, naród słowiański, mieszkali na wschód od bagien. Na północ od źródeł Dniestru umieszcza Herodot tajemnicze plemię Neurów. Co do nich ma Herodot bardzo niedokładne wiadomości. Dalsi historycy dowiedli, natomiast, że Neurowie byli Sławakami, stanowili plemię Słowian Zachodnich, zwane Wenedami i byli podzieleni na Chrobatów i Lachów.

Językoznawcy popierają zdanie historyków, widząc w nazwie Neurów słowiański pień "nur" i porównują z tym źródłem nazwę rzeki Nur, stanowiącej dopływ Bugu (ziemia nurska). Neurowie więc, plemię słowiańskie zmieszani w malej ilości w drodze pokojowej kolonizacji z plemionami trackimi od południa (Dacja) zamieszkiwali dawną Samborszczyznę. Jordanes, historyk grecki z połowy VI-tego wieku po Chrystusie, uczony biskup z Krotony, pisze, że na północ od Dunaju, nad Wisłą i Dniestrem mieszkali Słowianie zachodni zwani Winidami.

Na wschód od Winidów, nad dolnym Dniestrem i nad Dnieprem mieszkali Słowianie wschodni - Antowie. Cesarz bizantyjski i historyk, Konstanty VII Porfirogeneta (912 - 959) zna dokładnie Chrobację Wielką i Chrobację Czerwoną (późniejsza Ruś Czerwona) jako terytoria zamieszkałe przez plemiona Słowian Zachodnich, zwanych Winidami. W ten sposób Konstanty VII Porfirogeneta niejako urzędowo potwierdza w sposób jeszcze bardziej dobitny wzmiankę o 400 lat wcześniejszego Jordanesa, że nad Dniestrem mieszkali Winidowie.

Słowianie, nazwa ustalona dopiero w VI-tym wieku po Chrystusie, nie używali wówczas nadanej im przez cudzoziemców nazwy Wenedo i Antow, lecz nazywali się wedle rozmieszczenia poszczególnych plemion np. Buzanie, Luczanie, Wołynianie, Wiślanie, Lehowie nadwiślańscy itp., gdyż nie mieli centralnej organizacji i świadomości jedności narodowej. Dopiero na początku X-tego wieku ustala się wśród Słowian wschodnich Antów, na oznaczenie sąsiadów 15 mieszkających w Chrobacji, Mazowszu i nad Wisłą, wspólna nazwa Lechów lub Lachów, pochodząca bądź to od słowa "lecha" tj. obszar ziemi, łan, na którym siedzieli Słowianie zachodni i uprawiali lechy, bądź też od dzielnego plemienia Lachów, mieszkających nad Wisłą. Natomiast Lehowie odwzajemniając się Antom, zaczęli ich nazywać obcym nazwiskiem Rusami, od nazwy plemienia normańskiego, które dało początek dynastii książąt ruskich Rurykowiczów. Stary kronikarz ruski Nestor w Kijowie, mnich w klasztorze na Peczersku (1056-1114) w kronice swej zwanej powszechnie w całym kulturalnym świecie opisuje: *poszedł Włodzimierz na Lachów i zabrał ich miasta : Przemyśl, Czerwień i inne, które do dziś dnia Rusi podlegają.*

Ten dokument jasny i nie wymagający żadnych komentarzy, zamyka przytoczone wyżej dowody. Z nauki historii wiemy, że Przemyśl, gród założony przez Lachów, leżący na ziemi lackiej, istniał już jako gród przy końcu X-tego wieku. W 981 r. zajął go wraz z Czerwieńskim Włodzimierz Wielki, książę ruski, a więc grody te i ziemia wokół nich leżąca od dawna należały do Lachów.

Tak więc historycy niepolscy: Jordanes, Konstanty Porfirogeneta, a zwłaszcza Nester i inni stwierdzają tezę historyczną, że przed zajęciem tych terenów przez Włodzimierza Wielkiego zamieszkiwali je jedni i ci sami Słowianie, zwani kolejno Wenedami, Chrobatami, Lachami. Badania antropologiczne w całej rozciągłości potwierdzają tezę historyczną. Antropologia udowadnia, że między ludnością Samborszczyzny a ludnością mieszkającą na północ od niej, zwłaszcza u wideł Wisły i Bugu, jest ścisły związek rodowy, gdyż ludność obydwóch tych terenów należy do tego samego typu antropologicznego.

Nie sposób tych dowodów przytaczać ze względu na ich rozciągłość. (Patrz: Al.Kuczera, Samborszczyzna t.II str.45 -53). Stąd logiczny wniosek, że Mazury znad Wisły i Bugu skolonizowali Samborszczyznę jeszcze w czasach prehistorycznych, w każdym razie przed 981r. Znakomity sławista rosyjski Szachmatow, na podstawie badań czasu powstania i rozmieszczenia rozmaitych dialektów słowiańskich przyszedł do przekonania, że zanim ludność ruska załała w czasach historycznych Ruś czerwoną i Karpaty, terytoria te były już zamieszkałe przez plemiona słowiańskie, należące do wielkiej grupy Słowian zachodnich lub plemion lechickich.

Czy nie przemawiają za tym i wykopaliska? Rozkopaną starożytną mogiłę w Horodyszczu (o czym wyżej) przykrywał krzemienny nadburzański skrobacz, nie spotykany nigdzie na Podkarpaciu, a więc sprowadzany znad Bugu, w Samborszczyźnie bowiem znajduje się tylko kamień zwany rogowiec i krzemień pasiasty. Liczne wykopane na tym terenie narzędzia pracy z tego okresu pochodzące, są również wykute z nadburzańskiego skrobacza. Sprowadzali go osadnicy ze swoich stron, znając jego wytrzymałość i wartość.

2.4 DZIEJE RUSI CZERWONEJ

W nurcie historii Polski czas po zajęciu Rusi Czerwonej przez Włodzimierza Wielkiego w 981r. a więc i Samborszczyzny, można by nazwać drugim okresem tych ziem (okresem wpływów ruskich). Ruś Czerwona jednak i w tym okresie podlega kolejno już - to książętom ruskim, już - to królom polski. Stan taki

trwa do 1340r. Bolesław Chrobry, król Polski odbiera z powrotem Rusinom Przemyśl i Czerwińsk w 1018r., w drodze powrotnej z wyprawy na Kijów. Niedługo potem za panowania Mieszka II zajmują je znowu Rusini w 1031r., odbiera zaś Bolesław Śmiały w 1071 roku, po wygnaniu Bolesława Śmiałego zdobywają Przemyśl na Polsce Rościszlawowicze za Władysława Hermana w 1087r. i zakładają tutaj osobne księstwo. Pierwszym księciem przemyskim jest Ruryk Rościszlawowicz. Po śmierci Ruryka (1092) podzielili się pozostali bracia jego księstwem tak, że Wołodar otrzymał Przemyśl a Wasilko Trembowłę. Od tego czasu Przemyśl był z małymi wyjątkami pod panowaniem ruskim aż do zajęcia go przez Bolesława Jerzego II Trojdenowicza, otrutego przez bojarów za gorliwe sprzyjanie katolicyzmowi.

Kazimierz Wielki jako krewny Bolesława Trojdenowicza przyłącza Ruś Czerwoną do Polski. Drugi okres historii Rusi i Samborszczyzny, o którą nam specjalnie chodzi, trwający od 981 - 1340 pozostawał pod przeważnym wpływem książąt ruskich i cerkwi wschodniej. W drodze pokojowej i dobrowolnej asymilacji dotychczasowi Chrobaci i Lachowie przyjmują język i zwyczaje Rusów, zaznaczając swą odrębność językową w zmienionym akcencie i pewnych wyrażeniach, które to odmiany pomimo upływu 1000 lat, dochowały się do dnia dzisiejszego i odróżniają jeszcze Rusina ziemi Samborskiej od Rusina (Ukraińca), zamieszkającego właściwą Ukrainę i Kijowszczyznę.

Od 1340r. (Ruś przyłączona przez Kazimierza Wielkiego) do 1772r. t.j. do I-szego rozbioru Polski, kiedy to przyłączono tzw. Galicję do Austrii, trwa trzeci okres w historii Samborszczyzny. Okres ten początkowo jest bardzo burzliwy, z czasem ulega unormowaniu. Oto w 1349r. wybuchła długa wojna o Ruś między Polską a Litwą, trwająca do 1366r. W tym roku dopiero zawarł Kazimierz Wielki traktat pokojowy, na mocy którego otrzymał ziemię lwowską, halicką i całą zachodnią część Wołynia z Włodzimierzem. Do Rusi zgłasza pretensję i Król węgierski Ludwik, dlatego, że Ruś Włodzimierzowsko - Halicka podlegała przedtem chwilowo kilkakrotnie królowi węgierskiemu. Obaj pretendenci Kazimierz i Ludwik zawarli układ w Budziszynie (1350r) mocą którego Ludwik darowuje Ruś w dożywocie Kazimierzowi, zastrzegając sobie prawo wykupu od męskich następców. W razie, gdyby Kazimierz nie miał syna, Ruś bez wykupu miała wrócić do Węgier. I tak się stało. W 1379r, obejmuje Ludwik Ruś i wciela do Węgier. Po śmierci Ludwika (1382) panuje na Węgrzech i Rusi jego córka Maria. Ona to wyposaża biskupstwo przemyskie, dokumentem z 3.06.1384. Pod panowaniem węgierskim zostaje Ruś do 1387r, kiedy to znowu królowa Polski Jadwiga odbiera ją zbrojną wyprawą. Lwowianie dowiedziawszy się o zbliżaniu się wojsk wychodząc naprzeciw i z radością wielką dobrowolnie poddają się pod rządy

królowej. Odtąd Ruś Czerwona pozostaje już przy Polsce aż do rozbiorów w 1772r. W tym okresie żywioł polski stara się wyrównać straty poniesione poprzednio przez dobrowolną kolonizację kresów wschodnich i stworzyć jak najdogodniejsze warunki wzajemnego braterskiego współżycia na wspólnej prastawiańskiej ziemi. Niestety kolonizacja nie osiąga zamierzonych celów. Polscy koloniści, którzy mieli być awangardą polskości w prastarej polskiej ziemi, pozostawieni bez opieki sami sobie, zruszczyli się. Winę ponoszą wielmożowie polscy, którzy pochłonięci interesem swych rodów i krwawymi waśniami, nie zajęli się tą sprawą. Zresztą nie rozumieli jej sami i nie przewidywali następstw. To niezrozumienie sprawy ziem wschodnich i ludności tam mieszkającej będzie pokutowało do naszych czasów, aż skończy się tragedią polskości w latach 1945/46. Oto co mówi o tej asymilacji żywiołu polskiego prof. Bujak: „Chłop polski chętnie uczył się śpiewać tęskne dumki ruskie, zdobić swe ubrania i życie tak, jak patrzył otaczający go - zawsze daleko liczniejszy lud ruski i wynaradawiał się”. Trzeba podkreślić, że i wyznanie łacińskie, wskutek braku kościołów słabo broniło chłopca polskiego od wynarodowienia. Natomiast cerkiew ruska, jak dziś tak i dawniej była najsilniejszą ostoją rusycyzmu.

Dużą rolę odgrywa tu język liturgiczny, starocerkiewny, jak i ceremoniał dostosowany do sentymentalności bujnej wyobraźni ludu. Reszty dokonała unia kościelna, która zrównując oba obrządki osłabiła i tak niewielką siłą elementu polskiego.

2.5 POCZĄTKI WALKI NARODOWOŚCIOWEJ I JEJ PRZEBIEG. POLACY I RUSINI.

Rokiem 1772 wchodzimy w czwarty okres dziejowy interesujących nas terenów, okres trwający do 1918 r. Okres niewoli jest smutniejszy jeszcze od drugiego okresu wpływów ruskich.

Ruś Czerwona dostaje się pod zabór austriacki. Nowi władcy chcąc się utrzymać za wszelką cenę na zabranej Polsce ziemi, stosują perfidne metody, a ulubione hasło: "divide et impera". Dotąd różnicy obu narodowości prawie nie było. W każdym razie nie mogło być mowy o jakimś wrogim i nieprzyjaznym stosunku. Dopiero teraz rząd austriacki coraz częściej wygrywa jeden naród przeciw drugiemu, wzbudza nieufność i niezgodę, a przez to czyni ich ślepyimi i uległymi do osłabienia.

W roku 1848 Polacy zasilają powstanie węgierskie. Austria w obawie o swoją skórę organizuje Rusinów (w Wiedniu nazywa się ich Tyrolczykami Wschodu), którzy się po jej stronie wypowiedzieli. Oddziały rusińskie posiłkowane przez chłopów nie wpuszczają na Węgry ani Polaków, ani oddziałów węgierskich stacjonowanych w Galicji, powstanie upada, zgniecione przy pomocy Rosji. Ani Polacy ani Rusini nic na tym nie zyskali, ale jad nieporozumienia zasiany zręczną ręką polityki austriackiej zaczął wydać owoce. Odtąd różnice narodowościowe potęgują się coraz bardziej.

O początku ruchu narodowo - politycznego u Rusinów tak pisze prof. F. Bujak: Wprawdzie rząd austriacki już w XVIII-tym wieku pragnął przeciw Polsce i polskiej idei politycznej wysunąć Rusinów, ale mu się to aż do 1848 r. nie udawało, przedtem ruchu politycznego żadnego nie było, a nikły ruch literacki romantyczno - słowianofilski Rusinom jako odrębnemu narodowi widoków wcale jeszcze nie otwierał. To też słusznie twierdzą Polacy, że ruch ruski o charakterze politycznym stworzył dopiero hr. Stadion (Rada Ruska-Świętojurcy). Nawet nie był to jeszcze ruch samodzielny narodoworuski, lecz początkowo ukryty, potem coraz jawniejszy ruch narodowo-rosyjski, głoszący na razie jedność kulturalną, a w następstwie tejże jedność polityczną z Rosją. Ruch narodowy zaczyna się ze słabych początków między 1862 (śmierć Szewczenki) a 1880 r. - założenie "Diła".

Od 1850 r. rząd austriacki popiera w szkołach język ruski (ze szkodą dla polskiego). Zawiązana w tym czasie partia moskalofilska cieszy się również poparciem Wiednia. Drażni to Polaków ze względu na konflikt polsko - rosyjski pod zaborem carskim, a tym samym rośnie niechęć do Rusinów, jako przyjaciół Rosji. I tak niemal z każdym rokiem stosunki między obu narodami psują się coraz bardziej. W Dublanach rozdział ten odbija się bardzo słabym echem. Tutaj Polacy z Rusinami żyją, rzecz można, idealnie, podobnie sprawa przedstawia się i w najbliższym sąsiedztwie Dublan. W samych Dublanach Rusinów jest stosunkowo niewielu. Na Horyniu mieszkają sami Polacy, na Dole jest Rusinów mniej niż połowa, tak więc na całą wieś wypada tylko 25% Rusinów. Natomiast większość absolutną stanowią oni w parafii dublańskiej. Okoliczne wsie prócz Kranzbergu, Nowoszyca i Karnatowic, zamieszkałe są przez Rusinów prawie w 90-ciu %.

Sami Polacy zamieszkują też przysiółek Kulczyc i Oleksiat.

W Dublanach, co zresztą działo się i w innych wioskach mieszanych, stosunki wzajemne były tak serdeczne, że obie narodowości były powiązane węzłami pokrewieństwa i powinowactwa. Często w jednej rodzinie byli Polacy i Rusini.

W myśl rozporządzenia Stolicy Apostolskiej i tzw. Concordii (o czym niżej), w małżeństwach mieszanych chłopcy przyjmowali obrządek ojca, a dziewczynki matki. W niedzielę chłopcy szli do kościoła, a dziewczynki do cerkwi, lub odwrotnie. Święta ruskie, według kalendarza juliańskiego, przypadały w innym czasie niż święta kościoła łacińskiego. To właśnie było wspaniałą okazją do wzajemnego współżycia. Na Boże Narodzenie i na Wielkanoc przychodzili krewni Rusini do Polaków : a znów na "Riztwo" lub "Weiykden" Polacy szli do swoich krewnych Rusinów. Śpiewano wzajemnie pieśni polskie i ruskie, zwłaszcza kolędy, opowiadano ciekawostki, bawiono się. Większe święta albo odpusty obydwu obrządków obchodzili uroczyście Polacy i Rusini wstrzymując się od pracy, zwłaszcza w polu. Polacy chodzą do cerkwi z okazji pogrzebów, ślubów, chrztu swoich krewnych Rusinów, ci znowu w podobnych wypadkach chodzą do kościoła. Często i w niedzielę Polacy idą do cerkwi, do której jest bliżej, niż do kościoła. I to właśnie okazało się nieszczęściem dla polskości. Zamiast iść o 2 lub 3 mile dalej, do swego kościoła, spracowany chłop wstępuje na nabożeństwo do cerkwi, która znajduje się w każdej niemal większej wsi, przywyka do obrządku greko-katolickiego i wynaradawia się (Prof. Bujak).

Polacy nie tylko chodzą na nabożeństwa do cerkwi położonej bliżej ale tutaj chrzczą swoje dzieci. Wprawdzie duchowieństwo obrządku greko-katolickiego ma obowiązek odsyłać metryki do urzędu parafii rzymsko-katolickiej i czasem to czyni, ale w większości wypadków zaniedbuje, a raczej "zapomina" celowo, by mieć więcej dusz.

I nic dziwnego, przecież to duchowni ruscy są pierwszymi propagatorami odrębności narodowej. Powodem tego jest znikoma liczba kościołów na terenie przemyskiej i lwowskiej diecezji rzymsko-katolickiej. Oto dowody: w r.1830 do parafii Dublany należy 36 wsi, odległych nawet do 20-tu i 30-tu km od kościoła parafialnego. Czy więc było możliwe, by Polacy z tych wsi chodzili do kościoła w Dublanach, skoro mieli w swojej wsi cerkiew?.

Z czasem poprawia się ten fatalny stan, powstają nowe parafie na terenie parafii dublańskiej, ale w stopniu zupełnie nie wystarczającym, by złu zapobiec. I tak powstaje nowa parafia w Podbużu (w 1860r), odległym od Dublan ponad 20 km, w Nowoszycach (w 1934 r.) odległym też prawie 10 km.

Nic więc dziwnego, że we wioskach położonych daleko od kościołów liczba Polaków spadała coraz bardziej, mimo wielkiego w nich przyrostu ludności. Wieś Prusy należącą do parafii Dublany notuje w 1869 r. jeszcze 82 Polaków, wieś Łuzek 63, a już w 1938 r. w Prusach jest tylko 32 Polaków, a w Łuzku 58, którzy i tak do kościoła nie chodzą, a przez to i ducha polskiego w nich nie masz.

W latach 1913-16 w szkole w Prusach uczył dzieci polskie religii ks. Jan Dzik, a latach 1925/35 nie było tam już kogo uczyć. To też ciekawy epizod ze swej pracy duszpasterskiej opowiada ks. Jan Dzik, wówczas wikariusz w Dublanach: "Kiedy w latach 1913-15 dojeżdżałem do Prus na naukę religii, wszyscy Polacy tam zamieszkali mówili po rusku, a więc i dzieci. Kilku Polaków, ulegając namowie żon Rusinek, posyłało swych chłopaków na naukę religii do księdza ruskiego. Starąłem się jakoś odzyskać tych chłopaków, pomagał mi miejscowy nauczyciel Rusin, który nie lubił swojego parocha. Próbowałem początkowo chłopcom perswadować, zachęcać, ale nic nie pomogło, nawet cukierki. W końcu uciekłem się do groźby, nawet jednego zuchwalca za aroganckie zachowanie uderzyłem. Ten z płaczem pobiegł do domu. Za chwilę przychodzi matka, zapiekła Rusinka, zaczyna się awantura, krzyk. Ale cóż - chłopcy już nigdy nie wrócili na naukę religii rzymsko-katolickiej, a przez to zostali straceni dla polskości". Zrozumiałe. Prosty lud, nieświadomiony narodowo, buntowany przez miejscowego parocha, może nieraz zależny od niego materialnie, bo dzierżawił u niego pole, albo jejmość (żona parocha) taniej sprzedawała mu kacze lub gęsie jaja, dał się wciągnąć do cerkwi i coraz bardziej ulegał jego wpływom. Wiadomo jak wielki wpływ na wsi ma kobieta: mężczyzna dla świętego spokoju, by uniknąć ciągłych gderań żony, godził się na wszystko, zwłaszcza że i jemu było z tym wygodniej - bliżej do cerkwi.

Tak samo, albo może gorzej przedstawiała się sprawa w diecezji lwowskiej.

W 1908 r., na obszarze diecezji rzymsko-katolickiej lwowskiej znajdowało się 223 parafii łąc. (jedna na 3.726 parafian), a ruskich było 1.184 (jedna na 1.601 parafian), kościołów łąc. 312 (jeden na 2.663) a ruskich 1.983 (jeden na 256 dusz). Duchowieństwa łąc. 495, a ruskiego 1.478. W całej Galicji, jak pisze prof. Bujak, ma wyznanie greko-katolickie o 110 % parafii, a o 32 % duchowieństwa więcej niż wyznanie rzymsko-katolickie. I dlatego ginęli Polacy w morzu ruskim. Triumfowali księża ruscy, budząc coraz bardziej szowinistyczną odrębność. Coraz częściej na ambonach w cerkwi słyszy się wrogie Polsce i polskości słowa. Znane jest w tym okresie zeświedczenie ruskiego kleru i obniżenie pod względem

moralnym (popiki). Oni i ich dzieci (panyczi i doczki) stali się głównymi propagatorami ruchu politycznego. Młoda inteligencja ruska, wspomagana amboną cerkiewną, stawała się coraz bardziej buńczuczna i arogancka w stosunku do Polaków.

W tym czasie pisał o nich prof. Bujak: Inteligencja ruska podniecona widokiem wyższej kultury polskiej, świadoma swej słabości roztacza głośnie żale i skargi, folgując przy tym rzewnej nucie w charakterze narodowym, która to miękka rzewność nie przeszkadza z drugiej strony głębokiej zazdrości i nienawiści do polskiej kultury i Polaków, zajmujących miejsce, które według nich im przypadać powinno. Brak kultury wyższej sprawia, że nie przebijają w środkach walki politycznej, tak w piśmie (napad Franki na Mickiewicza 1898r.) jak w mowie (iście hajdamackie występy oratorskie W. Budzynowskiego w parlamencie 1907r., broszury zawierające otwarte groźby mordu i pożogi) i w czynie (awantury na uniwersytecie lwowskim). Trudno, by kierownicy, nie mający z reguły ani szkoły, ani tradycji politycznej, tak samo jak sam naród, umieli obywać się bez gwałtów i brutalności w walce. "(Galicja I str.91).

Na szczęście w Dublinach poza księdzem ruskim inteligencji ruskiej nie ma, co w wielkiej mierze tłumaczy ciągłą zgodność współżycia aż do naszych czasów.

2.6 NADCHODZI WOJNA ŚWIATOWA.

Rozbite wojska austriackie cofają się, przychodzi armia rosyjska. Rusini niechętni Polakom, zwłaszcza moskalofile nasyłają rewizje, zachęcają żołnierzy rosyjskich do rabunku polskiego i żydowskiego mienia. Całe wsie okoliczne z greko-katolickiego obrządku przechodzą na prawosławie. Głosi się, że prawosławie i wiara greko-katolicka niczym się nie różnią.

W 1915 r. powodzenie wojenne odwraca się od Rosjan, wycofują się a wraz z nimi wyjeżdża wielu Rusinów z okolicy. Armia austriacka zachowuje się wobec Polaków jak okupacyjna. Ludność polska cierpi za winy "Tyrolczyków Wschodu", którzy porzucili z kolei cesarza dla cara. Pod koniec wojny wśród Rusinów całej Galicji biorą górę nacjonalistyczne żywioły ukraińskie. Teraz nazwa "Ukraina" przyjmuje się coraz bardziej; staje się synonimem walki z polskością, a przecież pochodzenie tej nazwy jest niewątpliwie polskie. To Polacy dawniej nazywali ziemie kresowe - krańcowe albo ukraińskie i stąd

Ukraina. Ukraińcy cieszą się dużą sympatią Austrii i Niemiec, które wbrew proklamacjom nie chcą dopuścić do powstania państwa polskiego, toteż 9 lutego 1918 r (traktat brzeski) odłączają skrycie od Polski Chełmszczyznę i Podole.

W całej Polsce ludność samorzutnie organizuje protesty. W tydzień potem Ukraińcy urządzają swoją demonstrację, której hasłem: "Galicja po San do Ukrainy". Na twarzach demonstrantów można było wyczytać wrogię dla Polaków uczucia, które wkrótce miały się wyładować w bratobójczej walce. Jakoż istotnie walka wybuchła. Wywołali ją nacjonałiści ukraińscy w Galicji Wschodniej chcąc utworzyć Zachodnią Republikę Ukraińską. W najcięższej dla nas chwili, w chwili kształtowania się niepodległego Państwa Polskiego, nasi bracia Rusini gotowali nam zdradę. Ośrodkiem organizacyjnym w najbliższej okolicy był Sambor, gdzie działacze ukraińscy próbowali uzbroić ludność ruską i rzucić ją na bezbronych Polaków, obiecując rabunek dworów, plebanii i bogatszych gospodarstw.

Należy przyznać, że ludność ruska ogólnie biorąc była walce niechętna. Na ulicach Lwowa i Przemyśla leje się bratnia krew, Polacy licho uzbrojeni - ale niezwyciężeni. Ukraińców uzbroiła Austria. W okolicy sporadyczne napady band ukraińskich. Od listopada 1918 r. tworzy się front, jednak nie łatwo na froncie o rozstrzygnięcie. Na terenach opanowanych przez Ukraińców znęcanie się nad wszystkim co polskie. Rabunki, gwałty, bicie nahajkami, to codzienna strawa terroryzowanej ludności. Używanie języka polskiego wzbronione. Ze szkół usuwa się mowę polską, niszczy się polskie pomniki i książki. W kościele zabrania się śpiewać pieśni polskich. Parochowie temu wszystkiemu patronują, przychwalają, błogosławią a gorliwsi zachęcają do rzezi Polaków. Na szczęście nie długo trwa ich władza, pokonani – spokornieli. Po roku 1920, gdy na ziemiach polskich zapanował już zupełny spokój, wystraszeni Ukraińcy czekali na odwet ze strony polskiej. Polacy jak zawsze przebaczyli i darowali. Cóż kiedy poprzednie zaufanie i współzycie już nie wróciło nigdy, owszem z biegiem czasu nieufność pogłębia się i rośnie. Sanacyjny rząd polski niebezpieczeństwa ukraińskiego nie docenia, sytuacji nie rozumie, wprost ją lekceważy. Powstają nacjonalistyczne średnie szkoły ukraińskie. Wychowawcy ukraińscy, fanatycy, robią wszystko, by w młodzieży zaszczepić jad nienawiści do Polaków, których teraz pogardliwie nazywają Lachami, szerzą kult "bohaterów" walk z 1918/19r. Jawne i tajne organizacje młodzieżowe wysyłają do miasteczek i wsi agitatorów. Kooperatywy, mleczarnie, "Masłosojuzy" i "Proświty" rosną jak grzyby po deszczu.

Pod płaszczykiem organizacji spółdzielczo-gospodarczych rośnie agitacja polityczna. Tajne organizacje mają ścisły związek z emigracją polityczną. W Berlinie cieszą się moralnym i finansowym poparciem faszystowskiego rządu Niemiec, który to rząd pod wodzą Hitlera planuje najazd na Polskę, do czego przydadzą się Ukraińcy. Szpiegostwo, sabotaże dokonywane na rozkaz i za pieniądze niemieckie w całej pełni okazały się dopiero w 1939 r. we wrześniu, chwili uderzenia Niemiec na Polskę. W Dublanach pod tym względem spokój. Nic dziwnego, nie mają siły. "Panichidy"- manifestacyjne uroczystości, pochody na groby poległych z 1918/19 i w Dublanach i okolicy są niespokojne. Sypią sztuczne "Mohyły", bo przecież tu ofiar nie było, maszerują z jednej wsi do drugiej, śpiewają nienawistne nam pieśni, ciągle wołają: "krywda, krywda, smert Łacham" - a właściwie sami nie wiedzą czego chcą. Pod tym względem i dublański paroch, niestety nie został w tyle. Był nim niejaki x. Polański. Polacy przyjmują postawę obronną.

Organizacje młodzieżowe podrażnione zaczepną postawą Ukraińców, nawet czynnie reagują przeciw manifestacjom. Pomagają policji polskiej w rozpędzaniu prowokacyjnych "uroczystości". Niezręczne, grubo spóźnione posunięcia rządu sprawę pogarszają. To, co mogło się udać po 1920 r., usiłuje się przeprowadzić w 1938/39-tym. Spóźniona akcja pacyfikacyjna wprowadzona przez ministra Sławoj-Składkowskiego pogorszyła sprawę do reszty, przygotowała wypadki w 1939 r. i jeszcze gorsze z 1945 r. Nie pomogła akcja z tzw. "szlachtą zagrodową", choć wiele sobie po niej obiecywano. Zakrojona na wielką skalę, początkowo zdawało się skuteczna, okazała się tylko propagandowym trickiem. Na tym terenie, w tym względzie, z ramienia rządu działał ks. Kap. Miedoński z Przemyśla. Zapalony sprawą, jeździ po wsiach szlacheckich, montuje koła "szlachty zagrodowej", wydaje specjalne pismo, ale jak się później okazało, było to wszystko daremne.

Wreszcie rok 1939 - nieszczęsna II-ga wojna światowa. Teutonowie Zachodu napadają zdradziecko na ziemie polskie. Współdziałają z nimi i teraz ukraińskie partyzantki, nawet dobrze uzbrojone. Armia polska zdemoralizowana, bezradna w popłochu ucieka. Zastępują jej drogę bandy ukraińskie, strzelają z dachów domów, ze stodół i kryjówek. Pamiętny dla Dublan zostanie dzień 16 września 1939 r. Od rana dochodzą odgłosy walki z zachodu, to dzielny oddział polskich żołnierzy walczy na polach radłowskich pod Samborem z przeważającą siłą Niemców. Wreszcie muszą ustąpić, cofają się. Ale co to? Na tyłach strzelanina. To Ukraińcy ze wsi Horodyszczce i Ozimina zasypują ich gradem kul, nawet karabinów maszynowych. Rozpraszają się strudzeni żołnierze, uciekają lasami. Około południa przechodzą

przez Dublany zmęczeni, spoceni, strasznie dlatego jeszcze, że w kościele dublańskim odprawiał pierwszą Mszę św. ks. Stefan Zawadzki, przy wtórze pękających bomb i huku armat.

Niedaleko, bo zaraz we wsi Tatary, Ukraińcy znowu traktują wrogo przechodzących żołnierzy. Trzeba było w przemarszu kierować się ku polskim wsiom, by ratować życie.

Jak hieny obdzierają zwłoki zabitych żołnierzy i ludności cywilnej bombardowanej w czasie ucieczki. Nie szcędzą i rannych, dobijają, pastwiąc się, rabują, obdzierają z ubrania. Niemców witają kwiatami. Wkraczają do Dublan Niemcy, 17 września 1939 r., z miejsca aresztują księży łańskich i kleryków i razem z Żydami jako zakładników osadzają na całą noc w szopie cmentarnej, grożąc śmiercią, jeśli tylko jeden strzał padł ze strony miejscowej ludności. Tymczasem paroch ruski nie doznaje żadnych szykan; widać Niemcy są dobrze poinformowani. Młodzież ukraińska zaciąga się do służby pod znakiem swastyki i pełni funkcje w administracji i milicji. Oni to są sprawcami pierwszych okrutnych mordów inteligencji polskiej, za ich wskazaniem w Samborze padają ofiarą obydwaj dyrektorzy gimnazjum: Stefan Przyboś i Płoczek, prof. Glodt, prof. Wczelik i wielu innych bojowych Polaków. Po kilku tygodniach Niemcy wycofują się z tych terenów. Wkraczają wojska sowieckie. Ukraińcy i te wojska witają kwiatami. Chłopi rzucają się na folwarki i dwory, niszczą, rabują dewastują. Małopolska wschodnia otrzymuje nazwę Zachodniej Ukrainy i zostaje przyłączona do Z.S.R.R. Bojowi i czołowi Ukraińcy, zwolennicy Hitlera uciekają za San, by tu zaciągnąć się do służby w administracji, czy też w szeregi dywizji S.S.Galizien, specjalnie. Dnia 22 czerwca 1941 r., Niemcy rzucają swe potężne siły na Rosję. Niespodziewany atak zapewnia im powodzenie. Wśród Ukraińców entuzjazm. Władyka ruski w Przemyślu, Kocyłowski uroczystie wita armię Hitlera. Po wsiach sypią się kwiaty pod nogi żołnierzy Fuhrera. Znowu ukraińskie okrzyki: "na pohybel Lacharr, sława Ukraini". Parochy i inteligencja ukraińska wygłaszają mowy na cześć armii Hitlera, nazywając ją wybawicielką Ukrainy z niewoli polskiej i sowieckiej. Na wyścigi występują się Niemcom, pozdrawiają się faszystowskim podniesieniem ręki "heil Hitler". Wkrótce jednak nadeszło rozczarowanie i rozgoryczenie. Niemcy nie spełnili obietnicy, danej swoim ukraińskim sługusom. Zamiast faszystowskiej Ukrainy stworzyli "Distrikt Galizien" i przyłączyli go do Generalnego Gubernatorstwa. Ukraińcy muszą zdjąć z budynków instytucji i urzędów swoje godło "Tryzub" i odtąd za mętne tylko przyrzeczenie służą pod znakiem złowrogiej swastyki. Teraz pokazało się znowu, jak im niewiele potrzeba, choć musieli się pożegnać z marzeniem o "samoistnej Ukraini", jednak ochotnie

wstępują do armii (SS Galizien), do urzędów, a zwłaszcza do policji. Wielu z nich zapisuje się na listę "Volks-deutschów", wyprzedzają się w wydawaniu Żydów i ich mordowaniu.

W całej Galicji Ukraińcy panoszą się niemiłosiernie, w miastach opanowują handel i przemysł, na ulicy nie słyszy się polskiej mowy, tylko szwargot niemiecki i ukraińskie rozmowy. Na wsiach denuncjuje się Polaków a nawet zdarzają się tajemnicze morderstwa. W Dublanach sprawa ma się nieco inaczej. Kranzberg, dawna kolonia niemiecka roi się od "volksdeutschów", trafiają się oni i w Dublanach. Co więcej na widownię wychodzą nawet "Reichsdeutsche". Oni tu wodzą rej w pierwszym rzędzie. Wójt gminy Dublany zostaje taki właśnie młokos, reichsdeutscher świeżo upieczony, Tadeusz Bissingier, polskim wykarmiony chlebem i w polskiej wychowany szkole. Bissingier, zwany powszechnie "Tadzio", wyrafinowany i perfidny, wszechwładny teraz pan życia i śmierci, przy pomocy ukraińskich szpiegów, niszczy wszystko co polskie. Mówi tylko po niemiecku, sam strzela do Żydów, chodzi ciągle z bronią.

Smutną pamięcią zapisał się w umysłach i sercach Dublańczyków ten młodzieniec, zamordowany zresztą później przez "ludzi z lasu", jak się powszechnie mówiło. Niemcy wywierają presję na ludność by ta zapisywała się na listę volksdeutschów, zwłaszcza na mieszkańców Kranzbergu, a także na wielu z Dublan. Kranzberg z małymi chlubnymi wyjątkami ulega, w Dublanach trafiają się tylko "odstępcy". Co gorsza "Volksdeutschami" zostają : Sienicki - kierownik szkoły w Kranzbergu, Juliusz Frey - kierownik szkoły w Dublanach i Kazimierz Ziegler - kierownik szkoły w Dublanach.

Dzielnie jednak trzymał się lud, nie poszedł na obietnice, na ułatwione życie, choć zdradzili go jego dotychczasowi kulturalni przywódcy - nauczyciele. Ludność miejscowa odwróciła się od nich ze wstrętem; nic dziwnego, wszak to ludzie "uczeni", mówiono, a bez charakteru. Dla marnego chwilowego powodzenia materialnego zaprzędali swoje narodowe ideały. Zamiast świecić ludowi przykładem, zamiast go dźwigać w tak ciężkich zmaganiach, pierwsi stchórzyli. Co więcej, ci właśnie ludzie bez charakterów obecnie w Polsce Ludowej zajmują znowu stanowiska. Przenieśli się na Ziemię Zachodnie i tu nieznanymi, zamaskowanymi uchodzą nadal za patriotów, zapewne z bojaźni przed zasłużoną karą starają się wykazać: bojowość i zapał w szerzeniu idei marksistowskich. Nie wielki pożytek przyniosą oni narodowi i prędzej czy później pozna się na nich społeczeństwo.

Na specjalną wzmiankę zasługuje jeszcze okres z lat 1942–43. W latach tych w powiecie zwłaszcza drohobyckim, a także i Samborskim panuje niesłychany głód. Posucha, urodzaj nie dopisał, resztę wyciągali okupanci jako należny kontyngent; ludność została bez kawałka chleba, bez ziemniaka. Nie było mowy o sprowadzeniu żywności z innych terenów, bo okupantowi zależało na tym, by wyniszczyć naród polski. Zaczyna się istna wędrówka pociągami, pieszo, do powiatów zachodnich, nawet aż po Kraków. Początkowo ludzie biorą do wymiany za żywność ubrania, bieliznę a kiedy i tego brakło niektórzy chodzą po domach i po prostu żebrzą. I tu również przejawiała się bezlitosna i okrutna polityka władz niemieckich i ich ukraińskich sługusów w stosunku do Polaków. Specjalna kolejowa policja "Bahnschutz - polizei" najczęściej z Ukraińców złożona odbiera wymienione, czy wyproszone ziarno, wysypuje ziemniaki, przy tym bije pałkami, męczy okrutnie i tak już utrapioną ludność. Aż zgroza była patrzeć kiedy szkielety prawdziwe a nie ludzkie, wlekły się po tygodniowej tułaczce do domów, do głodnych dzieci, zbite i bez żywności. Nic dziwnego, że mniej zaradni, zwłaszcza chorzy padali z głodu. W Dublanach zanotowano kilka takich wypadków śmierci z wyczerpania. Żywnienie się jakiś czas lebiodą, trawą nie zaspokajało głodu, organizm się wyczerpywał. Pamiętają tamtejsi mieszkańcy z tych przykrych chwil, stacje kolejowe w Chyrowie, Zagorzu, gdzie zatrzymano pociągi, wszystkich pasażerów wypędzano do zamkniętych poczekalni i tu bez litości odbierano wszystko.

Urodzajny rok 1945 położył kres tym nieludzkim cierpieniom, jak na całym obszarze okupowanej Polski, tak i tutaj wyznaczano kontyngenty ludności na wyjazd do pracy w Niemczech. Stosowano łapanie, szykany, więzienie za opór, a w prasie ukazywały się zdjęcia roześmianej młodzieży „dobrowolnie” i z ochotą rzekomo jadącej zastąpić hitlerowskich zmobilizowanych żołnierzy w pracy na roli i w fabrykach. Wielu z nich nie wróciło już nigdy, wielu wysłano do obozów śmierci, do Majdanka, Dachau itp. Wreszcie ofensywa niemiecka załamała się zupełnie - rok 1945. Żołnierz niemiecki, zdemoralizowany zniszczeniem 6-tej armii pod Stalingradem, bombardowaniem i niszczeniem domów rodzinnych cofa się pod naporem wojsk sowieckich. Zdawałoby się zacząć się dla Polaków znośniejsze chwile, niestety teraz dopiero na terenach wschodnich zaczyna się prawdziwa gehenna. Ukraińcy sądzą, że przyszła dla nich stosowna chwila do stworzenia "samoistnej Ukrainy". Szatański pomysł - uda im się to, jeżeli wymordują wszystkich Polaków na tych terenach. Nie był to wyłącznie ich pomysł, historia osądzi, komu zależało na wytępieniu tu polskiego narodu. Zbrodnia faszystów - Ukraińców, oparta na anarchizmie, kozackiej i hajdamackiej tradycji przybrała punkt kulminacyjny. Bandy "Banderowców" złożone z

miejscowej młodzieży dokonują na bezbronnej polskiej ludności strasznych mordów. Nie sposób opisać tej potwornej zbrodni. Nocami napadają na bezbronne wsie, otaczają, palą uciekających, wrzucają żywcem do ognia, strzelają. W okrutny sposób znęcają się nad ofiarami: wykluwają oczy, zdzierają żywcem skórę, zabijają małe dzieci uderzeniem i roztrzaskaniem główki o ścianę czy pień drzewa - a to wszystko na oczach żyjącej jeszcze matki czy ojca : potem kolej na starszych. Nocami z dala we wszystkich kierunkach łuny pożarów dawały znać struchlałym od czuwania i strachu Polakom o zbliżającym się dla nich niechybnym losie. Światło dzienne zastawało już tylko zgliszcza, pogorzeliska i strasznie zmasakrowane ciała ludzkie. W najbliższym sąsiedztwie Dublan ofiarą mordów padały wsie: Oleksieta, niezapomniany nigdy masowy pogrzeb zamordowanych w Dublanach, Zady i wiele, wiele innych wsi. Tysiące ludzi, najwierniejszych synów ojczyzny znalazło śmierć w swych własnych domach. Kiedyś historia bodaj w przybliżeniu poda liczbę wymordowanych i osądzi realnych i moralnych sprawców tej bratobójczej rzezi. Dziś jeszcze nie czas, zbyt świeże to wszystko i zda się dzisiejsze, by obiektywnie i sprawiedliwie osądzić. Po rozgromieniu armii hitlerowskiej, Ziemia Wschodnie niemal po San (bez Przemyśla) zostały przyłączone do Ukraińskiej Republiki Radzieckiej. Na mocy układu między rządem polski Ludowej a rządem ZSRR. Polacy zamieszkujący tereny poza linią Curzona zostali repatriowani. Mieszkańcy Dublan wyjechali w kilku osobnych transportach na Ziemia Zachodnie. Zostało tylko 35 rodzin polskich na miejscu i ci podpisali listę obywateli Ukraińskiej Republiki. Transporty wyjeżdżających zatrzymywały się w kilku większych skupiskach na Ziemiach Zachodnich. I tak najwięcej rodzin (około 60) znajduje się w Szklarach Dolnych, powiat Lubin Śląski, inna grupa pod Koszalinem, pod Słubicami, w Opolskim i Wrocławskim.

Pojedyncze rodziny z Dublan znajdują się niemal na całym obszarze Ziemi Zachodnich (w 30 - kilku miejscowościach) . Tak więc ludność repatriantów dublańskich rozdzielona, ale niezłamana, ogromnie pracowita, zagospodarowuje Ziemia Zachodnie. Ciężką nieznużoną pracą manifestuje swoje przywiązanie do Ojczyzny, swój patriotyzm. W chwilach wolnych odwiedzają się wzajemnie, ci spod Szczecina, Starogardu, Słupska, Koszalina jadą do tych pod Legnicą, Wrocławiem, Opolem, ci znowu odwzajemniają się tamtym, jadą zwłaszcza na wesela i rodzinne uroczystości. Przy stole wspominają dawne czasy, dobre i złe chwile, krzepią się duchowo. Twardy to lud, niepokonany, w swej prostocie wielki, z nadzieją patrzy w przyszłość.

3 RELIGIA - WYZNANIE

3.1 ZMAGANIE Z POGAŃSTWEM, CHRZEST POLSKI, APOSTOŁOWIE SŁOWIAN

"Chrzest Polski - to nie jest sprawa roku 966, ani nawet panowania pierwszych Piastów, proces chrystianizacji narodu trwał znacznie dłużej. Mówiąc o chrzcie Polski ani na chwilę nie należy tracić z oczu Polski pogańskiej". Tak pisze doskonały znawca stosunków polityczno - społecznych i religijnych polski piastowskiej (Ant. Gołubiew). Przyjmujemy powszechnie, że księżę polski Mieszko I ochrzcił *cały* kraj. Nie była to jednak sprawa tak łatwa, jakby się na pozór wydawało. Nowe pojęcia chrześcijańskie ścierały się ze starymi. Tam, gdzie natrafiały na podobieństwa, wytwarzały pewną symbiozę, mieszaninę dosyć dziwną. Tam, gdzie spotykały pojęcia obce i sobie przeciwstawne, musiały je przewyciężyć. Oczywiście był to proces długi i trudny. Poziom umysłowy plemion polskich z połowy X wieku jest stosunkowo dosyć wysoki: świadczy o tym zasób pojęć abstrakcyjnych zebrany rzeczowo przez prof. Lehr-Spławińskiego z tych czasów. Spotykamy tam pojęcie ducha, duszy, Boga, bytu, prawdy i inne. Również pojęcia etyki naturalnej owych ludzi są już rozwinięte i na nich budowało chrześcijaństwo, jakby na bazie. Znana była cześć i posłuszeństwo rodzicom, zwłaszcza ojcu, głowie rodu. Wierność małżeńską zachowywano niemal w rozciągłości chrześcijańskiej, jak stwierdza Kostrzewski: "wszystkie źródła współczesne, poczynając od cesarza Maurycego z VI w. i św. Bonifacego z VIII w., a kończąc na pisa-rzach arabskich z IX i X w. zgodnie poświadczają wierność żon słowiańskich". Za cudzołóstwo mąż miał prawo żonę okaleczyć, a nawet zabić. Tietmar z początku XI w. podaje, że za Chrobrego karano cielesnie niewierność mężów, nie wiadomo jednak czy nie była to neoficka gorliwość prawa księżęcego. Małżeństwo było z reguły monogamiczne, na to mamy całkiem wystarczającą ilość dowodów. Oczywiście były i tu wypadki wielomałżeństwa, np. pogański księżę Pomorza Warcisław miał 24 żony. Mieszko przed przyjęciem chrztu miał 7 żon – co jednak nie obala ogólnej reguły. Może chodzi tu o nałożnice, albo wprost o przelotne miłostki. Niemniej wysoko stała moralność społeczna, zabójstwo było przestępstwem, karano je śmiercią. Kradzież również była przestępstwem, zarówno jeśli chodziło o własność indywidualną jak i rodową. Kary za kradzież były bardzo surowe. Złodzieja złapanego na gorącym uczynku wieszano albo ucinano mu uszy. Składanie fałszywych zeznań było traktowane jak nadużycie.

Wszystkie te nakazy i zakazy wynikały raczej z zachowania porządku rodowo-społecznego, niemniej jednak dały podłoże pojęciom chrześcijańskim. I tak np. człowiek ówczesny nie znał pojęcia miłości w znaczeniu chrześcijańskim, posiadał natomiast poczucie wspólnoty, solidarności w stosunku do rodu, do plemienia. To byli swoi w odróżnieniu od obcych, od wrogów. Chrześcijaństwo rozszerzyło to pojęcie na współwyznawców, na chrześcijan i przez parę co najmniej wieków tak właśnie pojęcie bliźniego interpretowano. Wysoko rozwinięty był kult przodków. Przodkowie to członkowie rodu, którzy wprawdzie odeszli, ale mogą wrócić po swą własność, po żywność i napój, po ciepło ogniska. Stąd to powodowani lękiem przed powrotem zmarłych żywi dostarczali zmarłym przedmioty, które mogły im być potrzebne lub które były ich własnością, stawiając im napój i żywność, paląc ognie, przy których zmarli mogli się ogrzać. Zanotowany przez niektórych zwyczaj dzielenia przez żonę śmierci z mężem może mieć podobne uzasadnienie.

Ibn Fodlan Achmed opisując pogrzeb znakomitego kupca z 922 r. po Chrystusie opowiada, że obok zmarłego położono napitek i gęśle. Majątek podzielono na trzy części: jedna przypadła rodzinie, druga dzieciom nieboszczyka, a trzecią przeznaczono na napitek i poczęstunek biesiadnikom. Pogrzeb trwał 10 dni, w ciągu których zabito wiernego psa, konia, dwie krowy, kurę i dziewczynę, która się sama ofiarowała. U Słowian ciało palono, natomiast u Rusinów chowano w ziemi, w wielkiej mogile. Często, by umarły nie wrócił, mylono drogę z cmentarza zawitym wynoszeniem zmarłego np. przez dach, a nawet przebijano go kołkiem osinowym czy żelaznym gwoździem. A mógł wrócić jako upiór lub co gorsza wysysający krew wampir. Życie zmarłego po śmierci przedstawiano sobie nie dość jasno. Z jednej strony zmarły zamieszkuje swój grób i błąka się w jego pobliżu, głównie po tych miejscach, gdzie mieszkał przed śmiercią. Z drugiej wyobrażano sobie daleką i straszną krainę - nawi, położoną za wielką rzeką, krainę mroczną i chłodną, pozbawioną żywności, napoju, ognia i wszelkich dóbr, skąd zmarli uciekają między ludzi, by się pożywić i ogrzać. Mimo tego prymitywnego ujęcia kult zmarłych dowodzi, że ludzie ówcześni wierzyli, że istnieje w człowieku coś nieśmiertelnego, co nie jest jednoznaczne z ciałem. Te właśnie wierzenia były znowu podbudową nauki chrześcijańskiej o nieśmiertelności duszy i zmartwychwstaniu ciała. Owa straszliwa kraina - nawi, mogła być oparciem dla nauki o piekle, niebo zaś miało się łączyć z wyobrażeniami astronomicznymi i kultem boga Swaroga. Oprócz kultu przodków istniał kult zjawisk przyrody, zwłaszcza uduchowione. Istniał też kult wzgórz, gór (Sobótka, Łyse Góry, Święte Góry itp.) i źródeł, i kamieni. Bardzo żywy kult gajów, drzew, zwłaszcza dębów. Czczono nie same przedmioty, ale potężne duchy, ożywiające wzgórze, zwierzęta, drzewa. Duchy te należało sobie

zjednać, zapewnić sobie ich opiekę, uchronić się przed ich gniewem. Stąd rozpowszechnione zaklęcie (magia), wróżbiarstwo, badające wolę owych potężnych sił. Cały świat był ożywiony, duchy i duszki zamieszkiwały obejścia, chaty i obory, studnie i rozstaje dróg, drzewa i łąny zbóż. Były wśród nich dobre i złe, opiekuńcze i złośliwe. Misjonarze poradzili sobie z duchami po prostu, choć niezbyt ortodoksyjnie - uznali wszystkie te duchy za moce piekielne, wygnali je na pustkowia i moczary (najtrudniej było ze skrzatami i innym drobiazgiem domowym). Ludziom dali broń do ręki w postaci modlitw, znaku krzyża, wody święconej. Kult zmarłych, animizm, fetysyzm i magia - to jakby jedna tylko strona wierzeń religijnych Słowian. Drugą był kult bogów. Naczelnym bogiem ogólnosłowiańskim był Swaróg, bóg ognia i nieba a także słońca, który władał wszystkim, co żyje. Oprócz Swaroga byli i inni bogowie. Jak wyglądał olimp słowiański, dokładnie nie wiemy, zdaje się jednak, że nie był liczny. Dadźbóg był zapewne tym samym Swarogiem. Ze Słowiańszczyzny Zachodniej znamy wiele bóstw lokalnych: Swarozyc w Radoszcu, Trzygław w Szczecinie i Wolinie, Świętowit czy Światowid w Arkonie, Jarowid w Wołoszcu i Hawelbergu, Rzujewit czy Porewit w Grodźcu na Rugi i, jakieś bóstwo z tarczą i włócznią w Gostkowie na wschód od Odry. O bóstwach tych wiemy niewiele, przypuszczalnie jednak pod wieloma nazwami czczono jako bóstwa samego pana słońca i nieba, zwanego u nas Swarogiem. Kronikarz z XII w. Helmond, autor *Chronica Slavorum*, stwierdza wyraźnie, że Słowianie czcili jedno bóstwo naczelne, rządzące innymi bogami, co zdaje się odpowiadać rzeczywistości. Ma to niezmiernie znaczenie dla misjonarzy katolickich, głoszących naukę o jednym Bogu, Stwórcy świata. Na kult bóstw składały się modły, ofiary, tańce obrzędowe, śpiewy i wspólne uczty. U Słowian Zachodnich wytworzyła się z czasem specjalna warstwa kapłańska, która zdobyła decydujący wpływ na całe życie publiczne. W Polsce było inaczej, tu kapłan przodujący modłom i składający ofiary tzw. żerzec (od rzec - sławić, wzywać) nie był członkiem warstwy kapłańskiej. Raczej bywał nim starosta rodowy. Nie jest pewne czy Polacy posiadali świątynie, czy też wszystkie uroczystości odbywały się w świętych gajach, u stóp dębów, na ołtarzach kamieniach. Lecz istnienie świątyń jest prawdopodobne. Słowianie zachodni je posiadali. Stara tradycja mówi, że pierwszy kościół gnieźnieński stanął w miejscu pogańskiej świątyni, a w każdym razie, że Gniezno było siedzibą kultu pogańskiego. Taki był, w ogólnym zarysie, zespół wierzeń i poglądów, z którym się zetknęło nadchodzące chrześcijaństwo.

Kto i kiedy ogłaszał Ewangelię na obszarze Rusi Czerwonej? Dokładnej odpowiedzi z braku źródeł dać nie można. Znakomity znawca stosunków kościelnych w dawnej Polsce, prof. Wł. Abraham, stwierdza

w swym dziele naukowym pt. „Powstanie organizmu Kościoła łaćnińskiego na Rusi”, że wedle dokumentów historycznych, przechowywanych w sławnej bibliotece Watykańskiej, około roku 900 cała Czerwona Chrobacja (Ruś Czerwona) aż po rzekę Bug i Styr, wchodziła w skład łaćnińskiej prowincji metropolitalnej wielkomorawskiej, gdyż wedle ówczesnych pojęć Chrobaci Biali i Chrobaci Czerwoni aż po Bug i Styr na wschodzie stanowili jedno zwarte plemię, używając tego samego języka, ulegające wpływom kulturalnym zachodnim. Czytamy w historii świętego Metodego, że usiłował on nawrócić między innymi potężnego księcia Wiślan, a istnieje również twierdzenie, zgoła prawdopodobne, że obrządek słowiański sięgał aż do Krakowa i ziemi krakowskiej włącznie.

Tak więc św. Cyryl i Metody, apostołowie Moraw byli i naszymi pierwszymi apostołami i to już około roku 885. Rzuca na to światło i inna jeszcze sprawa; mianowicie biskupi niemieccy już wtedy myślą o wysłaniu swoich misjonarzy na Ruś, powodowani nie pragnieniem większej chwały Bożej, czy zbawienia dusz, ale swoją polityczno-zaborczą racją stanu. W tym to zapewne celu wnoszą dwie skargi przeciw wielko-morawskiej organizacji kościelnej do Stolicy Apostolskiej w Rzymie, by sparaliżować tam ich działalność apostolską. Niemiecki katolicyzm już wtedy służył celom politycznym, tępiąc żywioł słowiański mieczem i opacznie stosowanym słowem Bożym, pragnęli prowincję metropolitalną wielkomorawską poddać zwierzchnictwu biskupów niemieckich i ich organizacyjnym wpływom. Po przyjęciu chrześcijaństwa przez pierwszego księcia polskiego Mieszka I, z całą pewnością i do Chrobacji Czerwonej docierała praca misyjna, prowadzona z ramienia biskupa poznańskiego Jordana. W drugiej połowie X wieku apostołowali na Rusi misjonarze łaćnińscy: Libucjusz, wyświęcony na biskupa misjonarza przez arcybiskupa hamburskiego Adaldaga i Adalbert, który przybył do Polski w 961 r., późniejszy arcybiskup magdeburski. Kiedy w 1000 r. założono biskupstwo w Krakowie, rozległa diecezja krakowska obejmowała część Rusi aż po Bug i Styr. Biskup krakowski Mateusz Cholewa (1142-1165) myśli o nawracaniu Rusi. W tym celu pisze list do św. Bernarda z Clairveaux i prosi go, by tu przybył w celach misyjnych, ale usiłowania te spełzły na niczym, próbuje i następca jego bp. Gedko, ale i jego starania niewielkie wydały owoce. Na początku XI w. pracuje nad nawróceniem Rusi św. Bruno z Kwerfurtu, przedtem kanonik kapituły magdeburskiej. W 997 lub 998 przywdziewa habit zakonny przybierając imię zakonne Bonifacego. Niemiec z pochodzenia, przybył do nas w charakterze „arcybiskupa pogan” wraz z licznym orszakiem kleru misyjnego około 1006 r. Krajowi naszemu przyniósł niepospolite korzyści, bo nie tylko głosił misję ale pisał o nim i w jego interesie. Powstały mianowicie spod pióra Bronona niezwykle cenne dla znajomości ówczesnych stosunków żywoty św. Wojciecha i 5-ciu Braci Męczenników a prócz nich

znakomicie ujęty list do cesarza niemieckiego Henryka II. Autor wyrzuca w nim Henrykowi, że złączył się z poganami przeciw krzewicielce chrześcijaństwa - Polsce i podnosi zasługi kościelne Bolesława Chrobrego, o którym mówi, że ceni go i kocha „więcej niż swoje życie”. Z Polski wyjechał na jakiś czas na Węgry. Następnie poprzez Ruś Kijowską przeszedł do kraju pieczyngów, gdzie spędził kilka miesięcy. W początkach 1009 r. wrócił znowu na pogranicze Prus, Litwy i Rusi do ziemi jadźwingów, oczywiście w porozumieniu z Bolesławem, gdzie po chwilowym powodzeniu spotkała go wkrótce śmierć męczeńska (1009r). Kontynuatorem dzieła Brunona na Rusi był biskup pomorski Reinbern, przydany przez Bolesława do orszaku córki, wydanej za mąż za księcia ruskiego Światopełka (około 1009-1010). Misja jego skończyła się niebawem tragedią więzienną w r. 1013. Późniejsi od Kestora kronikarze opisują, że św. Włodzimierz przybył z dwoma biskupami aż do rzeki Dniestru i cały ten kraj nawrócił. Tak więc św. Włodzimierz dokończyłby według nich dzieła chrystianizacji Rusi. Wiek XII przynosi Kościołowi katolickiemu olbrzymią stratę. Cały Wschód z patriarchą konstantynopolitańskim odrywa się od Kościoła, powstaje tzw. schizma wschodnia. Odtąd Ruś Czerwona dzieli losy schizmatycznego wschodu, jedynie historyczna przynależność tych ziem do Polski, z czasem wyrwa je z odmętu schizmy i przywraca z powrotem na łono prawdziwego kościoła.

Pamiętać należy, że schizmatycy na ziemiach należących do Polski są tylko nieznaczną mniejszością, za schizmą poszli tylko Rusini należący do cerkwi. Polacy i Niemcy przybyli tu jako koloniści „do żyznych ziem wschodnich” - są katolikami, i tu jakby rozdzielają się dwie drogi na Rusi Czerwonej, jedna szeroka coraz doskonalsza, coraz żywotniejsza - droga kościoła katolickiego i druga skłaniająca się co prawda od czasu do czasu ku tamtej, lecz ciągle uparcie ku wschodowi prowadząca, zasklepiona w swoich poglądach - schizmatycka. Misjonarze Kościoła łacińskiego pracujący niestrudzenie na tych terenach nie tracą nigdy z oczu braci schizmatyków, ku nim wyciągają co chwila przyjazne ręce i nie spoczną aż ich pozyskają. Nie obejdzie się to bez heroicznych wprost wysiłków, wkładu ogromu energii i pracy. Kościół katolicki na ziemiach ruskich w tym czasie buduje fundamenty pod swą wspaniałą budowę, zwłaszcza od czasu powrotu tych ziem do polski od 1340r.

W końcu XII w. i początkach XIII Ruś podlega jurysdykcji biskupów lubuskich. Z ramienia biskupa lubuskiego mianowany został opat Gerard Cystres (1256r.) biskupem ruskim dla katolików, na Rusi żyjących. W XIII w. zaczynają tu już owocną pracę Dominikanie i Franciszkanie. Dominikanie osiadają się w Haliczu w 1238r., a prawie równocześnie i w Przemyślu. Papież Grzegorz XI wysłał do nich piękny list

zachęcający do gorliwej pracy. Oni znowu wysyłają do Stolicy Apostolskiej sprawozdanie o stanie moralnym i religijnym Rusi. Najprawdopodobniej już wówczas powstało biskupstwo w Przemyślu, posiadające ściśle granice, mimo tego, iż potwierdzenie tego faktu mamy dopiero w akcie erekcyjnym Grzegorza XI z r.1375. Pierwszy jak się zdaje pasterz jego Iwan, jakby z imienia sądzić należało, Rusin z pochodzenia, zmarł około 1351r. Planem Kazimierza, króla polskiego, jest zaprowadzenie na Rusi stałej organizacji w obrządku rzymskim, stworzenie odrębnej metropolii łacińskiej, tak by każdemu z istniejących tam biskupstw schizmatycznych, odpowiadało równoległe biskupstwo katolickie. Było to potrzebne zarówno dla wzmocnienia władztwa królewskiego, jak i ze względu na licznych miejskich oraz ziemskich przybyszów, którzy w ślad za jego podbojami tam się osiedlali. Mimo to ludność schizmatyczną zjednywał Kazimierz Wielki przede wszystkim zaprowadzeniem dobrobytu i nie tylko tolerancją religijną, ale także i życzliwą opieką okazywaną cerkwi. Kiedy w r. 1349 zdobył prawie całe dziedzictwo halicko-włodzimierskie przedkłada Stolicy Apostolskiej projekt utworzenia siedmiu diecezji z metropolią na ziemiach ruskich. Niestety nowe wojny i utrata części zdobytych terenów znowu udaremniły plan, przez szereg lat przestaje Kazimierz Wielki na razie na popieraniu istniejących placówek misyjnych i fundowaniu nowych franciszkańskich i dominikańskich.

Częściową realizację planów kazimierzowych spotykamy dopiero w 1375 r. W tym roku papież Grzegorz XI wydał wielkiej doniosłości bullę erekcyjną, zaczynającą się od słów: „Debitum pastoralis officii”, o której jak pisał archidiakon gnieźnieński: „Okolo r. 1375 lub 1376 przy pomocy Ludwika, króla polskiego i węgierskiego, ojciec św. Grzegorz XI erygował i utworzył trzy episkopaty a to: przemyski, chełmiński i włodzimierski, oraz archiepiskopat halicki. Stan diecezji przemyskiej, obrządku łacińskiego w chwili wydania bulli erekcyjnej był smutny”. W całej diecezji znajdowały się kościoły tylko w następujących miejscowościach: Przemyśl (św. Piotra), Krosno, Sanok, Lubaczów, Sadowa Wisznia, Krościenko, Drohobycz, Sambor, Rzeszów, Łańcut, Strzelczysko (koło Mościsk) i Jarosław. Według źródeł historycznych znajdował się już wówczas kościół w Wołoszczy, należący wtedy do diecezji lwowskiej względnie halickiej. Stan diecezji, pisze ks. Sarna, nie był ściśle oznaczony, szczupła nader była liczba wiernych a i tej brakowało duszpasterzy. O tym dowiadujemy się z reskryptu papieża Grzegorza XI do teologów i doktorów w sprawie wyjaśnienia pewnych wątpliwości, nadesłanych przez brata Bartłomieja z Awerny, Wikariusza Braci Mniejszych w krajach ruskich. Nie było kościołów katedralnych ani parafialnych na Rusi ani też nie było rządców tychże, na których by spoczywała troska o dusze i tak wielkie

było mnóstwo niewiernych i schizmatyków, że wiernych można było uważać za małą garstkę w porównaniu z mnóstwem błędzących. Była to prawdziwie „tabula rasa”, ziemia leżąca odłogiem, na której wszystko od fundamentów trzeba było budować, wszystko do życia powołać.

W takich stosunkach, bullą z 13 kwietnia 1377r. wydaną przez papieża Grzegorza XI-tego, mianowany zostaje biskupem przemyskim Eryk Winser (1377-91). Od 1392-1420 rządzi diecezją przemyską biskup Maciej Janina i następnicy, znani nam bliżej. Odtąd Ruś Czerwona mając stałą administrację kościelną, biskupów i kapłanów, gorliwie pracujących w warunkach prawie misyjnych, z czasem doprowadza stan religijny i moralny ludności do poziomu terenów zachodnich, wcześniej i lepiej zorganizowanych. Wiele w tym względzie zasług położyli królowie polscy. Po krótkich rządach węgierskich na Rusi (1378-87), sprawą Kościoła serdecznie zajmuje się świętobliwa królowa polski Jadwiga. Za jej to rządów zasiadał na stolicy metropolitańskiej halickiej błogosławiony Jakub Strepa, zasłużony dla misji ruskich jeszcze przedtem zanim został arcybiskupem. Zajmował wtedy stanowisko gwardiana Franciszkanów lwowskich (1385-88), a później wikariusza zakonnego na Rusi. Zbawienną dla Kościoła pracę kontynuuje mąż Jadwigi Władysław Jagiełło. Za jego panowania w 1414 r. została przeniesiona stolica metropolitalna z Halicza do Lwowa, przy tym wielką rolę odegrał także następca błogosławionego Strepy, ostatni arcybiskup halicki, będący równocześnie podkanclerzem państwa polskiego, Mikołaj Trąba, późniejszy prymas. Pierwszym arcybiskupem lwowskim zostaje Jan z Rzeszowa, pochodzący z rodziny osadniczej na Rusi za Kazimierza Wielkiego. Z aktu przeniesienia stolicy biskupiej dowiadujemy się, że w międzyczasie powstało jeszcze biskupstwo kamienieckie i kijowskie na ziemiach ruskich, i je poddano zwierzchnictwu arcybiskupstwa, obok wcześniej powstałych: przemyskiego, chełmskiego, włodzimierskiego, jako też sereckiego (Mołdawia). Arcybiskup Jan z Rzeszowa zastąpił jako dzielny szermierz w nawracaniu schizmatyków i Ormian, on też brał czynny udział w zbieraniu materiałów do beatyfikacji królowej Jadwigi.

3.2 HISTORIA UNII KOŚCIELNEJ NA RUSI.

Rozwój kościoła łańskiejskiego na ziemiach ruskich związanych ściśle z historią państwa polskiego jest ogólnie znany i nie potrzebuje specjalnego naświetlania. Natomiast niewiele wie, jak doszło do unii

schizmatyków z Kościołem Katolickim i jak drogo była ona okupiona zwłaszcza na ziemiach należących do Polski. Tą więc sprawą zainteresujemy się tutaj bliżej. Znana nam już opiekuńcza polityka nad cerkwią, Kazimierza Wielkiego znalazła naśladowców u jego następców, chociaż może nie u wszystkich miała ten sam charakter. Podczas gdy Jagiełło, jak i syn jego Władysław Warneńczyk w nawracaniu schizmatyków postępowali drogą odgórną tzn. pozyskiwali najpierw hierarchię kleru schizmatycznego oraz magnatów, drugi syn Jagiełły Kazimierz Jagiellończyk poszedł śladami Kazimierza Wielkiego. Kler zostawił w spokoju, bezpośrednio wpływał na lud.

W liście wysłanym w 1451r. do św. Jana Kapistrana pracującego nad nawróceniem upartych Czechów, zaprasza go na Ruś i chwali lud tutejszy: „lud ruski jest poczciwy, szczery i dobry i przy błędach swoich mało się upiera, a tylko przywiązanie do obrzędów, w których się urodził i wychowany został, trzyma go z dala od Stolicy Apostolskiej i jedności wiary”. Stolica Apostolska okazuje w tym czasie wiele zabiegów i troski o zjednoczenie kościoła schizmatycznego z łańskim, na ziemiach ruskich. Po wielu staraniach sobór florencki w 1439 r. ogłasza akt unijny, jednoczący kościół grecki i ruski ze Stolicą Apostolską, w skutkach jednak, jak okazuje się, niewykonalny. Arcybiskupi ruscy ciągle skłaniają się to w jedną to w drugą stronę. Izydor, metropolita kijowski, po podpisaniu unii we Florencji wraca jako legat apostolski na Polskę, Litwę i Ruś, wprowadza unię w życie. Na Rusi przyjmują go życzliwie. Król Władysław Warneńczyk w 1443r. wydaje przywilej, równający we wszystkim zjednoczone duchowieństwo ruskie z duchowieństwem łańskim. Następcą Izydora zostaje opat Grzegorz. Mianowała go Stolica Apostolska, a konsekracji udzielił mu patriarcha carogrodzki, przebywający wtedy w Rzymie i pojednany z Kościołem Powszechnym.

Niestety następni metropolici kijowscy prawie aż do pocz. XVI w. wprawdzie utrzymują łączność ze Stolicą Apostolską, ale nie zrywają wcale ze schizmatycznym Carogrodem. Zwracają się kilkakrotnie o potwierdzenie wyboru do patriarchów Konstantynopola. Ostatnim metropolitą, wyraźnie zjednoczonym tzn. uznającym autorytet papieski, był Józef Bułharynowicz (1498-1501). Nikłe i tlejące przejawy unii florenckiej na ziemiach ruskich gasną zupełnie od 1519r., gdy metropolitą kijowskim zostaje dyzunita Jonasz, zresztą za zgodą Zygmunta Starego. Zła dopełnia szerzący się i tutaj protestantyzm, którego wyznawcami stają się liczne koła szlachty ruskiej. W okresie soboru trydenckiego wielkim protektorem unii jest rozumny i wielki na owe czasy kardynał Hozjusz, nie brak dzielnych kapłanów i panów

świeckich, którzy mu w tym pomagają. Wymienić tu należy ks. Stanisława Orzechowskiego, ks. Benedykta Herbesta, zaprzyjaźnionego z Hozjuszem (pochodził z diecezji przemyskiej), a zwłaszcza ks. Piotra Skargę, niestrudzonego w tym względzie ks. biskupa lwowskiego Solikowskiego, bp. Łuckiego, Maciejowskiego i innych. Zabiegi o unię ze strony Kościoła łacińskiego znajdowały żywe echo w samej cerkwi ruskiej (biskupi: Gedeon Bałaban, Hipacy Pocij, Terlecki) zwłaszcza, że przechodziła ona wtedy okres największego pod każdym względem poniżenia. Cały kler świecki i zakonny, niższy i wyższy, pograżony był w ciemnocie i całkowicie zapomniał o obowiązkach stanu. Toteż społeczeństwo nie tylko nie okazywało mu szacunku, ale wstydziło się go i pogardało nim. Szlachta i biskupi traktowali kler parafialny, na równi z chłopami pańszczyźnianymi. Bystrzejsi i mądrzejsi Rusini poczęli zwracać oczy ku odradzającemu się pięknie Kościołowi katolickiemu. Po wielu trudnościach papież Klemens VIII, bullą „Magnus Dominus et laudabilis nimis” przyjął Ruś na łono Kościoła w 1595 roku. Zagwarantował unitom cały ich obrządek starosłowiański, z wyjątkiem tego, „coby się nauce wiary katolickiej sprzeciwiało i coby łączność z Kościołem rzymskim wykluczało”. Ponadto zgodził się papież na zostawienie Rusinom kalendarza juliańskiego, metropolitom ruskim dał prawo zatwierdzania podległych im biskupów. Króla Zygmunta III prosił Ojciec św. w specjalnym liście o zrównanie episkopatu unickiego z łacińskim. W Polsce ogłoszono unię na synodzie biskupów ruskich w Brześciu 1596r, gdzie kazanie o jedności Kościoła i korzyściach dokonanego połączenia, wygłosił ks. Skarga. Niestety w synodzie nie wzięli udziału biskupi ruscy, lwowski Bałaban i przemyski Kopystyński, popierani przez zacieklego przeciwnika unii księcia Ostrońskiego, owszem urządzili odrębny sobór antyunijny. Znaczna więc część społeczeństwa oraz kleru ruskiego i całe dwie diecezje: lwowska i przemyska, pozostały nadal przy schizmie. Rozgorzała straszna walka dyzunitów z unitami. Przeciwnicy unii rozpoczęli przy pomocy kozaków terrorystyczną agitację. W walce padło wiele ofiar, do połowy XVII w. zostało zamordowanych około 100 księży świeckich, nie licząc unickich bazylianów. W okresie walk odpadła od unii diecezja łucka, dawna diecezja bp. Terleckiego. Znaleźli się jednak dzielni obrońcy, jak św. Józefat Kuncewicz (ur. 1623 r.). Święty ten tchnął w unię, jak słusznie zauważono „swą duszę”. Ofiarą walk padł w okrutny sposób zamordowany św. Andrzej Bobola. Niemordowanie w obronie stanęli metropolita Raheza, Hipacy Pocij, energiczny jego następca Welamin Rutcki. Pomagali im w tym Jezuici i Karmelici. Nadmienić należy, że w trakcie tych walk prymas Wawrzyniec Gembicki (1616 - 24) i współczesny mu episkopat polski żądali po prostu zniesienia unii i przeprowadzenia unitów na obrządek łaciński motywując to swoje stanowisko, zupełnie słusznie, jak się potem okazało, nietrwałością unii. Bywało, że sami schizmatycy przechodzili wprost na obrządek łaciński (duża część bazylianów), uważając unię za coś

połowicznego i niepewnego, wskutek czego nie mieli zaufania do obrządku greckiego. Niestety chwili nie wykorzystano. Sambor i najbliższa okolica stały się również widownią podobnych walk. Nie mamy wprawdzie bezpośrednich źródeł historycznych świadczących o tym, że i Dublany brały udział w nich, w każdym razie tak bliskie sąsiedztwo ze Samborem niewątpliwie wciągnęło w wir walki i dublańskich Rusinów. A oto kilka szczegółów bardzo charakterystycznych w owych zmaganiach. Kiedy w przemyskiej diecezji władzą unickim został mianowany Krupecki, dyzunickie duchowieństwo i wroga unii drobna szlachta ruska, popierana gorliwie przez archimandryte kijowskiego Piotra Mohyłę, wystarał i się u króla o ustanowienie osobnego dyzunickiego władcy i oddanie mu pewnej części dóbr kościelnych i trzech monasterów: w Spasie, Ławronie i Smolnicy.

Polityka Zygmunta III w kwestiach cerkwi ruskiej była niestety zawsze chwiejna, bez stanowczego programu, a zatem i bez konsekwencji. Dyzunickim władzą zostaje początkowo Jan Romanowicz Popiel, ale ten nie mając silnego poparcia okolicznej szlachty, czuje się słaby by walczyć z unią. Toteż wykupił u niego dyplom królewski na władztwo energiczny i sprytny Hulewicz za 3.000 zł. O teologiczne wiadomości w takich wypadkach nie dbano, kilka tygodni pobytu w jakimś monasterze, postrzyżyny zakonne, obznajomienie się z niezbędnymi szczegółami rytuału - oto wszystko czego wymagano od takiego kandydata. Tenże Hulewicz, mając dyplom królewski w kieszeni i zapewnioną pomocną rękę szlachty okolicznej, około Zielonych Świąt 1636 r. wyrusza na Przemyśl. Moment był dobrze wybrany, starosta przemyski Mikołaj Daniłowicz bawił akuratnie poza granicami swej jurysdykcji, a Wład. Krupecki, jakby przewidując najazd wyjechał do monasteru św. Spasa. W sam dzień Zielonych Świąt zajmuje Hulewicz cerkiew na Wilczu, pod samym miastem. Stąd wzmocniwszy dostatecznie swoje szeregi rusza wojowniczy władca traktem Samborskim na Spaś. Ruszyli z nim razem wszyscy schizmatyccy mieszcianie przemyscy, okoliczni popi i chłopci, ruszyły zastępy drobnej ruskiej szlachty, a po drodze z każdej prawie wsi, którą mijano, przyłączał się lud wiejski. Jak lawina rósł zastęp Hulewicza, siłę jego obliczono na 10tys. ludzi. Spaś zajęto siłą, a władkę Krupeckiego wywleczono przed lud na szyderstwo. Sam potem w proteście do króla skarży się, że tłum plwał na niego, hańbił go i policzkował. Potem wrzucono go do lochu na dwa dni i wreszcie wypuszczono. Hulewicz tymczasem opanowawszy Spaś, zajmuje dalsze dwa monastery w Ławronie i Smolnicy, a wraz z nimi i wsie Władyczne, Straszewice, Nanczułkę, Wołkowice i Duszowce. Niedługo potem Krupecki wystarał się o egzekucje - zwrot monasterów, ale tylko na piśmie, bo faktycznie tylko Spaś wrócił do niego, Ławrów i Smolnica zostały przy dyzunicie. Hulewicz, skazany na infamię, niedługo wystarał się o słabo i niezaradnie wychodzi na

tym tle władza królewska. Bo przecież Krupecki pierwszy w piśmie królewskim miał poręczone bezpieczeństwo wyżej wspomnianych monasterów. Według postanowień z 1641 r. Hulewicz miał być już ostatnim dyzunickim władzą przemyskim, ale po jego śmierci Jan Kazimierz 24 kwietnia 1650r. mianował znowu władzą dyzunickiego w Przemyślu. Został nim Antoni Winnicki z Winnik, ongiś należącego do parafii dublańskiej. I znowu rozgorzały walki. Winnicki ponawia zbrojny najazd na Ławrów, Smolnicę, a potem i Spaś. Stary niedołyżny Krupecki ucieka się pod opiekę króla i trybunału. Specjalna komisja królewska załatwia spór, Winnickiemu nakazuje oddać zajęte wsie i wzbrania mu wszelkich pretensji do władztwa przemyskiego i samborskiego. Aby zamknąć drogę Winnickiemu do stolicy Władyczej także i pośmierci Krupeckiego, król mianuje jego koadiutorem i sukcesorem O. Prokopa Chmielewskiego. Winnicki nie czeka jednak na śmierć Krupeckiego, w pierwszych dniach maja 1651r. nocą zbrojnie staje pod Przemyślem, zajmuje pałac władcy, wiąże domowników, zabiera cały skarbiec katedralny. Krupecki jest dogorywający, przebywał wtedy w Waławie: gdy dowiedział się o tym co zaszło w Przemyślu, umiera. Nie liczy się wcale z jego śmiercią Winnicki, jeszcze w tym samym dniu zajmuje wieś Walawe z całym inwentarzem i poddanymi. Chmielewski, który otrzymał po śmierci Krupeckiego od króla formalny dekret na władztwo przemyskie, wystąpił teraz energicznie w obronie, odbiera zrabowany skarbiec katedralny. Winnickiemu wytacza proces, w wyniku którego zostaje skazany na infamię. Tak wreszcie kończy się długa, niemiła walka władcyków. Ileż światła rzuca ona na ówczesne stosunki. Jan Sobieski, by położyć wreszcie kres walkom kościelnym na Rusi, spowodował zwołanie do Lublina w 1680 r. specjalnego kolokwium biskupów i wybitnych świeckich z obu stron, ale i tu nie doszło do porozumienia. Jednak starania prounijne króla i wielu jednakowo z nim myślących doprowadziły wreszcie do tego, że częściowo za jego życia, częściowo po jego śmierci, przystąpiły do unii diecezje: przemyska w 1692 r., lwowska w 1700, łucka w 1701. Biskupami tych diecezji w chwili ich pojednania byli: w Przemyślu - Innocenty Winnicki (ur.1700), we Lwowie - Józef Szumlański (ur. 1715), w Łucku - Dionizy Zabokrzycki (ur.1715).

W ten sposób z początkiem XVIII w. unia objęła wszystkie ziemie ruskie w Polsce. Organizacja unicka obejmowała wtedy dziewięć diecezji: metropolię kijowską z siedzibą metropolitów w Wilnie, tzw. arcybiskupstwa: połocko - witebskie (dawna eparchia św. Józefa Kuncewicza) i smoleńskie, oraz 6 biskupstw: turowsko - pińskie, włodzimiersko - brzeskie, chełmsko - bełskie, łucko - ostrogskie, halicko - lwowskie i przemysko - samborskie. Oczywiście na terenie tych diecezji mieszkali i schizmatycy w niewielkiej jednak liczbie. W całkowitym zespoleniu unitów z Kościołem katolickim, obok niedbalstwa

episkopatu unickiego, przeszkadzają carowie rosyjscy. Wiek XVII, to okres wpływów rosyjskich w Polsce. Tak Piotr Wielki jak i Katarzyna II byli zdecydowanymi przeciwnikami unii. Wielu kapłanów, a nawet biskupów prounitów zostało wywiezionych do Rosji (biskup łucki Zabokrzycki za to, że został unitą, wywieziony do Moskwy, w więzieniu dokonał żywota). Z chwilą rozbiorów Polski, omawiane tereny przeszły pod panowanie Austrii. Wprawdzie przy każdym z rozbiorów monarchowie zaborcy zapewniali Kościołowi nienaruszalność praw w krajach zabranych, ale w praktyce bynajmniej tego nie stosowali. Olbrzymie połacie ruskich terenów przeszły też pod zabór rosyjski i tu otwarcie przystąpił rząd do tępienia unitów. Wywieziono arcybiskupów Felińskiego i Krasieńskiego, usunięto z Mińska bpa. Wojtkiewicza, wielu księży aresztowano, wielu odebrano życie. Po chwilowym złagodzeniu prześladowania za Pawła I i Aleksandra I, wierny naśladowca carycy Katarzyny, Mikołaj I przy pomocy niegodnego kapłana unickiego Józefa Siemieszki, doprowadził do zupełnego zerwania unii w Cesarstwie (zjazd w Połocku 1839 r.). Nieliczni tylko unicy utrzymywali się w zaborze rosyjskim w obrębie byłego Królestwa Kongresowego, na Chełmszczyźnie i Podlasiu, w diecezji chełmskiej. Ale i tu po powstaniu styczniowym 1863r., rozpoczęło się krwawe prześladowanie, znane w historii Kościoła męczeństwo ludu chełmskiego i podlaskiego. Dopiero nieszczęśliwa dla Rosji wojna z Japonią (1904/05) przyniosła złagodzenie gnębionym. Po słynnym ukazie tolerancyjnym Mikołaja II 1905r. przywiązani do wiary katolickiej unicy na Chełmszczyźnie i Podlasiu, tłumnie przechodzili na obrządek łaciński. W samym tylko 1905 r. na ziemiach dawnej diecezji chełmskiej przeszło około 150 000 unitów, a w Cesarstwie 40 000. Wizytacja kanoniczna w 1905 r. na terenach dawnej diecezji chełmskiej dokonana przez biskupa lubelskiego x. Jaczewskiego (um.1914) była jak gdyby przejściem anioła pocieszyciela wśród długo nękanego ludu. W interesującym nas bardziej zaborze austriackim w tzw. Galicji, panujący w całej Austrii system józefiński, uzależniał w zupełności Kościół od państwa, a przez to paraliżował wszelki rozwój i życie. Władze austriackie, które dążyły do germanizacji kraju nasyłały biskupów i kapłanów obcych pochodzeniem, Niemców, Czechów, Węgrów, nieraz nie władających nawet językiem krajowym. Znaczna część kleru nie wychowana należycie, grzęzła w gnuśności i wygodnictwie, pracę pasterską traktowała jak pańszczyznę. Często duchowni wystugiwali się możnym, z zaniedbaniem prostego ludu, a przez to zyskiwali sobie niechęć i nienawiść warstw uboższych. Społeczeństwo opanowywała coraz bardziej obojętność religijna i zepsucie moralne. Ale kara boża w postaci nieszczęsnej i tragicznej rzezi galickiej 1864r., śmiałe wystąpienie bpa tarnowskiego Wojtarowicza, kazania ks. Karola Antoniewicza, wzmożona działalność Jezuitów, przyczyniły się do religijnego odrodzenia. Opatrzność Boża na urządach biskupich stawiała wielkich ludzi: Albin Dunajewski, Jan Puzyna - kardynałowie, Józef Pelczar,

Jozef Bilczewski - biskupi, śmiałością poczynać, odwagą i męstwem rozbudzają w kapłanach ducha Bożego, dźwigają lud z marazmu i ospałości.

Odrodzenie rei. XIX w. objęło i unitów. Posiadają oni tu arcybiskupstwo lwowskie, podniesione od 1808 r. do godności metropolii biskupstwo przemyskie i dołączone do niego później biskupstwo Stanisławskie od 1885r. Rząd austriacki okazał się dla społeczeństwa ruskiego bardziej sprawiedliwy, dbał o wykształcenie kleru, duchownym parafialnym nadał wyższe uposażenie, biskupom przyznał miejsce i głos w sejmie krajowym. Wiele do wzrostu życia religijnego przyczynili się Bazylianie, zreformowani w 1882 r. Ale i wpływy józefińskie zrobiły swoje, oziębłość w przywiązaniu do Kościoła wśród kleru, nienawiść narodowa ku Polakom budzona przez rząd, były tak wielkie, że gdy Rosja krwawo niszczyła unię, w łonie duchowieństwa ruskiego w Galicji nie było głosów oburzenia, co gorsza, znaleźli się i tacy, którzy świadomie pomagali w tym Rosji. Coraz bardziej potęgują się tarcia narodowościowe, a w ślad za nimi występują nieporozumienia obydwu obrządków. Duchowni unicy rozumiejąc swoją słabość kulturalną i liczebną, starają się nieuczciwą drogą powiększyć zastępy swoich wiernych, po prostu kradną dusze, chrzcząc dzieci polskie w cerkwi.

Ojciec św. Pius IX, uwiadomiony o tym, listem z 1862 r., wzywa biskupów ruskich do czuwania nad jednością wiary i całością liturgii unickiej. W 1863 r. proponuje u siebie coś w rodzaju sądu rozjemczego. Podpisana wtedy tzw. "Konkordia", nie wiele przyczyniła się do usunięcia nieporozumień, które z każdym niemal dniem zaogniały się coraz bardziej. "Konkordia" postanawiała, by w rodzinach mieszanych dla uniknięcia raz na zawsze nieporozumień, chłopcy przyjmowali chrzest w obrządku ojca, a dziewczęta w obrządku matki. Księża unicy, gdy chrzczą, w nagłym wypadku, dzieci łacinników, winni odsyłać metryki do odpowiednich urzędów rzym. kat. Oczywiście postanowienia nie wszędzie respektowano. W odrodzonym państwie polskim, zbytnia tolerancja narodowa rozzuchwiała kler ruski. Duchowni ruscy w wielkiej mierze zamiast głosić miłość Chrystusową, stali się propagatorami nienawiści i szowinizmu narodowego. Patronował im w tym metropolita lwowski Andrzej Szeptycki. Arcybiskup Szeptycki, zresztą Polak z pochodzenia, a raczej tzw. "perekińczyk", był naprawdę złym duchem w sprawie unii obrządków. Sam zatruty jadem nienawiści do Polaków i wszystkiego co polskie, wychowywał w tym duchu zastępy kapłanów. Kąkol zasiany przez kler ruski, wydał plon w 1939r. gdy ludność ruska mordowała i obdzierała do naga bezbronnych uchodźców polskich. Szkoda, że biskup Szeptycki nie doczekał roku 1944/45. Strumieniami lejąca się krew polska, niewinnie mordowane kobiety, starcy

i dzieci zabijane na oczach rodziców, okropna rzeź Polaków przez Rusinów i hajdamaków ukraińskich, to doprawdy bolesny plon propagandy i nawoływań z ambon cerkiewnych.

Spełniło się świetne powiedzenie "graeca fides -nulla fides", tzn. "grecka wiara - żadna wiara". Przyszła też widoczna kara Boża, biskupi i kapłani ruscy wywiezieni w głąb Rosji, kończą tragicznie. Większość kleru, tłumacząc swoje tchórzostwo obowiązkami wobec rodziny, razem z poddanymi bezmyślnie przechodzili na schizmę. Część tylko i to bardzo znikoma, zaledwie kilku, przechodzi w granicę państwa polskiego, przyjmuje obrządek łaciński, by dalej głosić Królestwo Boże na ziemi. Ludność ruska, zawiedziona sromotnie przez swoich prowodyrów, może kiedyś przejrzy i opamięta się, ale zaufanie u Polaków straciła już chyba na zawsze.

4 PARAFIA RZYMSKO-KATOLICKA W DUBLANACH

4.1 CZAS POWSTANIA

Czas powstania : Ośrodkiem życia kulturalnego w dziejach narodu polskiego od najdawniejszych czasów po dziś dzień był zawsze kościół - była parafia. Kościół parafialny, to centrum wokół którego ześrodkowywały się wszelkie poczynania miejscowej ludności na polu religijnym, moralnym, społecznym a nawet politycznym. Tu gromadzono się chętnie w chwilach radości, a zwłaszcza w chwilach smutku, bo znajdowano moc i siłę do walki życiowej, w myśl starego powiedzenia : " jak trwoga, to do Boga". Tak było wszędzie, tak było i w królewskiej wsi Dublanach. Niestety źródła historyczne nie pozwalają nam tu stwierdzić dokładnie czasu budowy pierwszego kościoła i powstania parafii. Niemniej jednak da się ustalić pewne ramy historyczne w przybliżeniu, drogą wnioskowania ze źródeł pośrednich. Pierwsza dotacja rzym. - kat. parafii zaginęła: niewątpliwie we wsi królewskiej opierała się ona na dobrach królewskich . Biskup przemyski Albert Baranowski w 1586 r. nakazał spisać uposażenie kościoła na wieczną pamiątkę wedle zeznań zaprzysiężonych świadków. Toteż wezwano poważnych świadków, mieszkańców Dublan, mieszkających tu z dziada pradziada, którzy odnośnie powstania parafii zeznają

co następuje: pierwszy świadek "szlachetny" Marcin Czibil, gospodarz dublański, dobrze uposażony, mający sześćdziesiąt kilka lat twierdzi, że królewska wieś Dublany posiada kościół parafialny od niepamiętnych czasów. To samo zeznają dwaj inni świadkowie szlachetny" Maciej Philipowicz, gospodarz w Dublanach, mający lat czterdzieści kilka i Piotr Luczkiewicz, dobrodziej kościoła dublańskiego, gospodarz dobrze uposażony, mający lat około czterdzieści. Według ich zaprzysiężonego świadectwa początki kościoła w Dublanach sięgają niepamiętnych czasów. Z czego wnosimy, że co najmniej jedno lub dwa pokolenia przed nimi nie pamiętały czasu powstania parafii, bo przecież przekazałyby tak ważną wiadomość swoim dzieciom. Tak więc z całą pewnością wnosić można, że początki Parafii sięgają pierwszych lat wieku XV - tego albo nawet końca wieku XIV – tego. Wprawdzie w spisie kościołów diecezji przemyskiej, podanej przez ks. Sarnę z roku 1375 jeszcze Dublany nie figurują, w każdym razie zapewne niedługo potem kościół tu wybudowano. W roku 1390 staraniem Spytka z Melsztyna, wojewody krakowskiego i dziedzicznego pana na ziemi Samborskiej, powstaje Nowy Sambor, w odróżnieniu od Starego Sambora, istniejącego dotąd, założony na prawie magdeburskim, na miejscu dawnego grodziska, zwanego Pohonicz. Wywarło to ogromny wpływ na całą najbliższą okolicę, a przecież wieś Dublany jest oddalona od Nowego Sambora tylko 15 km, z pewnością i o niej nie zapomniął troskliwy opiekun ziemi Samborskiej Spytko z Melsztyna i niedługo po założeniu Sambora postarał się o fundację kościoła w Dublanach. Na prośbę tegoż dziedzicznego pana i nieustraszonego rycerza Spytka z Melsztyna, król Władysław Jagiełło pismem z dnia 1 stycznia 1394r. wydanym w Radomiu, uwalnia miasto Sambor i powiat Samborski od wszelkich danin, a przede wszystkim od podymnego. Mieszkańcy wsi Dublany i całego powiatu, zwolnieni od gniotących ich ciężarów w bliskiej stosunkowo odległości od miasta, mogą swobodnie pracować nad rozwojem wsi i własnym wzbogaceniem. Wiemy bowiem jak bardzo przyczynia się do podniesienia kulturalnego wsi bogactwo materialne.

Niestety niedługo powiat Samborski cieszył się protekcją wpływowego wojewody Spytka z Melsztyna, albowiem w 1399r. nasz bohater kresowy wziął udział w wyprawie Witolda przeciw Tatarom, w czasie której zginął śmiercią bohaterską pod Worskłą 12 sierpnia 1399 r. Po śmierci Spytka z Melsztyna dziedzicami ziemi Samborskiej zostaje potężna rodzina Odrowążów. W okresie władania ziemią Samborską przez Odrowążów, król Władysław Jagiełło dokumentem z dnia 12 grudnia 1432r. z Łańcuta zatwierdził kupno - sprzedaż czterech łąnów gruntu we wsi Dublany przez Piotra Odrowąża, starostę Samborskiego, a równocześnie obdarowuje go czterema innymi łąnami w tejże wsi. O tym szczególnie dowia-

dujemy się z późniejszego sporu, jaki powstał między królem Zygmuntem I a starostą Samborskim Stanisławem Odrowążem. Dnia 23 maja 1537r. wydaje król Zygmunt dekret w sprawie wykupu dóbr królewskich, położonych w starostwie Samborskim, przez królową Bonę z rąk rodziny Odrowążów. Określa ten dekret zasady, na podstawie których ma być dokonane to kupno, rozstrzyga też spory w poszczególnych kwestiach, powstałe na skutek zgłoszonych przez Stan. Odrowąża praw dziedzicznych do niektórych włości. I tak Stanisław Odrowąż wniósł sprzeciw o wyłączenie spod prawa wykupu dziedzicznych włości Dorożowa i Kupnowic, dziedzicznych wójtostw w Nowym Samborze, Olszaniku i w Dublanach. Na uzasadnienie swojego wniosku przedłożył Odrowąż przywilej wydany we Wieluniu w 1374 przez Władysława Opolczyka, który włość Dorożow podarował niejakiemu rycerzowi Jaśkowi, odnośnie zaś Kupnowic okazał przywilej tegoż Władysława Opolczyka z 4 lipca 1377r. którym obdarowano rycerza Matiasza włością Kupnowice wedle prawa feudalnego. Co do wójtostwa w Nowym Samborze przedstawił przywilej Spytka z Melsztyna z 13 grudnia 1390r., w którym tenże sprzedał to wójtostwo za 80 marek Henrykowi Wójtowi z Łańcuta. Odnośnie sołtystwa w Olszaniku ważnym był dokument z 15 listopada 1423r, którym król Jagiełło sprzedał tę własność szlachcicowi Mikołajowi i Stefanowi, braciom z Tarnowa, za 50 marek. Gdy chodzi o sołtystwo w Dublanach, wykazał się Stanisław Odrowąż dokumentem z datą Łańcut dnia 12 grudnia 1432r., którym Władysław Jagiełło zatwierdził kupno-sprzedaż czterech łanów gruntu we wsi Dublany przez Piotra Odrowąża, starostę Samborskiego dokonane, a równocześnie podarował mu inne cztery łany w tejże wsi. W końcu odnośnie sołtystw w Bilinie, Kable, Dorożowie i Szadym Potoku (Szade) przedłożył dokument króla Władysława Jagiełły z data 28 sierpnia 1442r. w którym tenże król nadał Piotrowi Odrowążowi sołtystwa w powyższych włościach, każde o czterech łanach gruntu, na własność dziedziczną. Król po dokładnym zbadaniu sprawy orzeka, że wszystkie te włości podlegają jednak wykupowi a mianowicie: sołtysostwo w Olszaniku za cenę 50 grzywien waluty polskiej, zaś wszystkie inne włości i sołtystwa wyżej wymienione, za cenę ustaloną przez specjalną komisją królewską. W dekrete królewskim, wśród innych włości podlegających wykupowi, między 77-mioma znajdują się Dublany, Dorożow, Tatary i Ozimina, należące do parafii Dublany. Równocześnie orzeka król, że królowa Bona uprawniona jest zatrzymać z ceny wykupu kwotę 367 grzywien, dopóki Stanisław Odrowąż nie wykaże w jaki sposób wieś Siekierczyce, pierwotnie razem z innymi włościami zostawiona jego przodkom, przeszła w posiadanie innych osób. Ostatecznie sprawę załatwiono w 1545r. Królowa Bona wypłaciła Stanisławowi Odrowążowi 25.025 florenów 26 groszy. Po śmierci Bony i Zygmunta I dobra te przejść miały na spadkobierców królewskich. Na skutek powyższego sporu w międzyczasie usunięta została rodzina Odrowążów od urzędu i dzierżawy

starostwa Samborskiego około 1538r. Starostą Samborskim z ramienia królowej Bony zostaje mianowany Rafał Czosnowski, a do większych wpływów w Samborskim dochodzi rodzina Herburtów z Felsztyna.



Rysunek 1 Pierwszy kościół rzymsko-katolicki, drewniany, wybudowany w XV wieku. W 1624 roku spalony przez Tatarów

4.2 FUNDACJA KOŚCIOŁA

Po ramowym określeniu okresu powstania parafii w Dublanach, przejdziemy do jej fundacji. W 1586r. wyżej wymienieni, zaprzysiężeni świadkowie, podają dokładnie jakie uposażenie posiadał wówczas kościół. Pierwszy świadek, Marcin Czibil, stwierdza: kościół parafialny posiada łan pola między polami Pawła Janowicza Rusina i Jana Gruszki, leżący w trzeciej części wsi. Na tym łanie cztery staja są uprawiane, reszta leży odłogiem. Tam też znajdują się dwie sadzawki i dwa pastwiska. Gdy chodzi o dziesięciny świadek zeznaje: dotychczas kościół pobierał dziesięciny, obecnie odmówił płacenia dziesięcin pan Stostoński gubernator dóbr starostwa Samborskiego. Tak Rusini jak i Polacy płacili również proboszczowi meszne, a to z pół łanu pola - pół miary żyta i tyleż owsa.

Dziesięciny płacono:

- ze wsi królewskiej Ozimina. (Obecnie Stostoński odmówił, powołując się na brak u proboszcza aktu fundacyjnego).
- ze wsi królewskiej Bilinka. Od 26 lat nie płacą, od czasu, gdy Bilinkę objął w posiadanie "szlachetny" Dionizy Jan Derszniak a po nim obecny właściciel D.Korytko.
- ze wsi Dorożów również płacono. Dopiero za czasów proboszcza Dublańskiego Stanisława i plebana Samborskiego Jerzego Szymonowiańskiego, dziesięcina owa przeszła na kościół Samborski (z jakiego powodu świadek nie wie).

To samo stwierdza drugi świadek Maciej Philipowicz, trzeci Piotr Luczkowicz dodaje, że z Bilinki płacili jeszcze Mikołaj Derszniak i jego żona, odmówił płacenia dopiero ich syn Jan. Z aktu kurii przemyskiej z 13 listopada 1614r. dowiadujemy się, że za czasów biskupa przemyskiego Stanisława Siecirtskiego (1609-1619), pleban dublański Jan Gawroński odebrał zeznanie świadków, w sprawie spornej o dziesięciny z pól tzw. tatarskie i mesznego z pól zw. "puste". Świadców ci zeznają co następuję: 1-szy świadek Sebastian Maćkowiak, Polak z Dublan, który był w poprzednich latach inspektorem rolnym i doglądał robót poddanych, że tak dziesięciny z Tatarskiego jak i meszne z pól pustych płacono nieboszczykowi plebanowi i obecnemu aż do tego roku. 2-gi świadek Błażej Szkolnik (scabinus iuratus) który jakiś czas pełnił urząd adwokata tzn. wójta, zeznaje, że nawet jego chłopak woził te dziesięciny do domu plebańskiego. 3-ci świadek "szlachetny" Marcin, dobrodziej kościoła dublańskiego sam woził dziesięciny na plebańię. 4-ty świadek "szlachetny" Stanisław Sroka zeznaje podobnie. Z tego widać, że do dziesięcin, wyżej wymienionych, należy dodać jeszcze dziesięciny z Tatarskiego. Ten sam pleban dublański Jan Gawroński, 9 listopada 1636 r. osobiście złożył w Kurii przemyskiej dekret wielmożnego pana Stanisława de Fusztyń Herburt, kasztelana lwowskiego i starosty Samborskiego jak też drohobyckiego, wystawiony w Samborze 20 stycznia 1570 r. potwierdzony przez wielmożnego Jacka Młodzianowskiego, skarbnika królewskiego. Dekret ten wydany w sprawie sporu plebana Jana Gawrońskiego z Rusinami, obywatelami wsi Dublany, o meszne z dwóch lat, nakazywało zapłacić im z jednego łanu po dwie kłody (tunna) żyta i jednej owsa. Za słusnością dekretu przemawiało świadectwo poprzedniego plebana Stanisława ze Sambora, jak i innych godnych świadków z Dublan, a to: Polaków - Walentego Piwonia, Macieja Niemca, Marcina Filipowicza i Rusinów - Teodora Lachody i Wasyla Czer-

nego. Hiacynt Młodzianowski, nadworny skarbnik królewski, nakazuje Piotrowi Stostońskiemu, dzierżawcy madynickiemu, aby dopilnował. W 1637 r. wizytuje parafię Dublany ks. Fryderyk Alembek, wizytator diecezjalny.

Biskupem przemyskim był wówczas Piotr Gembicki herbu Nałęcz (1637-1643). Sam biskup, jako wicekanclerz, a potem i kanclerz królewski nie mógł przebywać w swojej diecezji, toteż mianował oficjałem i wikariuszem generalnym x. Samuela Malickiego kustosza przemyskiego. Ks. Malicki znowu mianował wizytatorem na całą diecezję ks. Fryderyka Alembeka. W aktach wizytacyjnych ks. Alembeka znajdujemy szczegółowo wymienione uposażenie kościoła w Dublanach, pokrywające się zresztą z poprzednim wyżej podanym, nieco jednak dokładniejsze. Uposażenie obejmuje jeden łan pola w trzeciej części wsi, na którym znajdują się cztery stajnie, dwie sadzawki, dom plebański z ogrodami i sadem, szkoła z ogrodem i pastwiskiem. Na tym łanie osiadło dziewięciu poddanych (hortulani), którzy są obowiązani do pracy trzy dni w roku i płacą czynsz: jeden 5 floreny, drugi 2 i 12 groszy, dwaj po 2 floreny 15 groszy, czterej po 2 floreny, ostatni po 1 florenie. Ponadto jeden z nich ma obowiązek dawać rocznie pół sztuki przędzy, drugi cztery łokcie, inni po trzy łokcie. Oprócz tego pleban posiada pastwisko leżące wśród pastwisk gospodarzy dublańskich, nazywa się ono Ninichów, a leży między lasami królewskimi zwanymi Garb.

- dziesięciny z gruntów dublańskich
- dziesięciny z Bilinki - ale te od 20 lat ustały, z Bilinki Małej tylko pobiera pleban 24 floreny.
- dziesięciny ze wsi Dorozów, obecnie przeszły na kościół Samborski.

Poza tym jak wynika z protokołów i aktów Konsystorza przemyskiego:

- dziesięciny z pól zwanych Tatarskie, ale obecnie te pola zostały obrócone na wspólne pastwiska, gromady Tatary
- dziesięciny z pól wsi Ozimina, które zwykle wydzierżawia proboszcz tzw. "Błonie ozimińskie"
- meszne z pól Polaków i Rusinów, mieszkających w Dublanach
- meszne z tzw. "pól pustych" wsi Dublany, ale i z tych obecnie plebania nie korzysta.

Rektor szkoły położonej na gruncie plebańskim od dawna posiada półwierci łanu pola, leżącego między łanem plebańskim a polami jednego z poddanych królewskich.



Rysunek 2 Drugi kościół rzymsko-katolicki, murowany, wybudowany w 1737 roku, przetrwał do 1939 roku. Był Pod Wezwaniem Najświętszej Marii Panny Bolesnej.

4.3 POWIĘKSZENIE FUNDACJI:

W 1660r. na prośbę ks. Alberta Beczkowskiego, plebana dublańskiego, Stanisław Skorszewski, ekonom Samborski przyłącza do beneficjum już istniejącego jeszcze jeden łan pola. O zatwierdzeniu tegoż aktu prosi króla Jana Kazimierza pismem następującym: "Odnajmuję tym listem, iż ja mając z łaski Jego królewskiej mości Pana Mojego Miłościwego powierzoną sobie w Administrację Ekonomią Samborską, ponieważ ta powinność na mnie włożona jest, aby bez wiadomości i konsensu mego, żadne prawa i

przywileje wpraszane nie były, a to dlatego, aby bez wiadomości mojej jako uyma i szkoda w prowentach do Stołu Jego Królewskiej Mości należących nie działa się. A iż Kościół Rzymski Katolicki pod tytułem św. Mikołaja we wsi Jego Królewskiej Mości Dublanach przez częstą nieprzyjaciela koronnego w Ojczyznę naszą inkurzyją, częścią też iniguitete temporis do znacznego to funduszu swoim przyszedł ogołocenia i spustoszenia, także i grunty onemu nadane spustoszały, iż żadnego z nich pożytku pomieniony kościół mieć nie może. Zaczym, aby Kościół św. pomieniony we wsi Dublany miał swe słuszne opatrzenie i x Pleban tameczny przystojne i dostateczne wychowanie. Łan pola pusty we wsi tejże między miedzami Ignacego Zolnią z jednej a Jana Hayduka Wolnika z drugiej strony leżący, tak jako się sam w sobie ma, ze wszystkimi do niego przynależnościami polami, łąkami, ogrodami, chaszczami, wyżej mianowanemu kościołowi wiecznymi czasy dają i konferuję i do dawnego i oryginalnego przyłączam funduszu. Podobnie Jego Król. Mości upraszając u Pana Mego Miłościwego, aby to ode mnie pomienionemu Kościołowi nadanie, powagą swoją Pańską stwierdzić i umocnić raczył. A dla lepszej wiary i wagi listu tego ręką się swoją podpisuję i pieczęć przycisnąć rozkazałem." Dan z Zamku Samborskim dnia 10października Roku Pańskiego 1660. Król Jan Kazimierz potwierdza powyższe pismo : "My przeto Jan Kazimierz Król powyższą prośbę łaskawie aprobujemy i potwierdzamy". Datum Samboriae, die 15.X.A.D.1660. Król Michał Wiśniowiecki pismem z dnia 24 stycznia 1672 w Warszawie powiększa znowu beneficium kościoła w Dublanach, przyłączając do łanu kościelnego jeszcze pół ćwierci pola.

"Michał z Bożej łaski Król Polski, Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Zmudzki. Oznajmujemy tym listem Przywilejem naszym komu to należy wiedzieć, na tym Panowaniu Naszym nic innego osobliwie nie przestrzegamy, jeno aby największa chwała Boża rozszerzała się i pomnażała, do której i teraz przychylając się umyśliliśmy Wielebnemu Wojciechowi Bęczkowskiemu Plebanowi Dublańskiemu we wsi Dublanach, półćwierci Roli, na ćwierci nazwanej Szkolnikowska pusto leżący, przy miedzy łanu kościelnego z jednej a miedzy Stanisława Bietrocza z drugiej strony leżący, pożytku żadnego naszemu skarbowi nieczyniący, owszem gruntom kościelnym do chwały Bożej należącym, szkodę czyniący, dać conferujemy i przyłączamy te pół ćwierci Roli do łanu kościelnego wiecznymi czasy, ze wszystkimi przynależnościami i przyległościami. Czynsz jednak do Skarbu Naszego płacić powinien. Obiecując po nas i Najjaśniejszych Sukcesorów Naszych, że Wielebnemu Wojciechowi Bęczkowskiemu Plebanowi Dublańskiemu od tej pół ćwierci Roli nie oddalimy, ani komu mocy i władzy do oddalenia

nie damy, owszem całe i nienaruszenie przy tym prawie dzisiejszym zachowamy. Prawa jednak Nasze Królewskiej Rzeczypospolitej i kościoła świętego katolickiego rzymskiego wcale zachowując".

Dan w Warszawie II maja. Roku Pańskiego 1672.

Michał Król.

Powyższy dokument stwierdza ks. Jan Metlam, generalny wizytator przemyski w czasie wizytacji generalnej w Dublanach, w okresie rządów w diecezji przemyskiej biskupa Jana Kazimierza Bokum 28 maja 1702r. W roku 1700 pleban dublański ks. Ambroży Getkowski toczy spór o dziesięciny z dóbr Bilinka Mała z ówczesnym ich właścicielem Bazylim Ustrzyckim. Jak widzieliśmy wyżej dziesięciny z Bilinki płacone od niepamiętnych czasów proboszczom dublańskim, dopiero około 1560 r zatrzymane złą wolą Jana Derszniaka, były powodem ciągłych sporów pomiędzy proboszczami dublańskimi a właścicielami Bilinki. Obecnie wyrok króla Augusta II rozstrzyga je z korzyścią na rzecz proboszcza dublańskiego ks. Ambrożego Getkowskiego, powołując się na identyczne załatwienie sporu za poprzedniego proboszcza ks. Wojciecha Bączkowskiego. Z roku 1728 roku zachował się dokument, w którym Kahal żydowski mieszkaniowiec miasta Sambora zobowiązuje się płacić plebanowi dublańskiemu, na rzecz kościoła w Winnikach procenty (10 od sta) od 1000 zł polskich, wypożyczonych na budowę bożnicy w Samborze od chorążego czernichowskiego Franciszka Nahujowskiego. Pleban dublański ks. Ambroży Getkowski potwierdza odbiór należnej sumy od Kahalu za lata 1728 do 1734. Król August III aktem :*"innovatio Erectionis Parochialis Dublanensis, una cum Confirmatione iurium eiusdem"* - Wznowienie erekcji kościoła parafialnego w Dublanach, oraz potwierdzenie praw jego: wydanym 27 czerwca 1750r. potwierdza dekrety fundacyjne króla Jana Kazimierza i Króla Michała Wiśniowieckiego, doręczone mu przez plebana dublańskiego ks. Jana Jaworskiego. Wyraźnie stwierdza przynależność do fundacji kościoła parafialnego Łąki, zwanej Ninichów, leżącej pośród lasów królewskich Garb, oraz stawu do niej przytykającego (widocznie owa własność była wówczas kwestionowana). Ponadto udziela plebanowi dublańskiemu prawa korzystania z wolnego przemiału, bez odsypu w młynie królewskim w Oziminie, oraz wolnego wyrębu w lasach królewskich, drzew służących tak do budowy, jak i na opał. W listopadzie 1752 r. król August III rozstrzyga spór o meszne z Rusinami na korzyść proboszcza. Na wzmiankę zasługuje przywilej króla Augusta III z 20 lipca 1753r. w myśl którego ks. Jan Zbierzchowski, kanonik lwowski i pleban dublański otrzymują wolną propinację wszelkich trunków we wsi Dublany. Ks. Jan Zbierzchowski wydzierżawia ją za 300 zł polskich majorowi wojsk saskich w ekonomii Samborskiej,

Ludwikowi grafowi de Nostycz Drzewieckiemu, zastrzegając sobie, by poddani kościoła mogli kupować wódkę po tej samej cenie, jaką płaci się polskiemu skarbowi. Ten sam ks. Zbierchowski wówczas deputat na trybunał koronny podpisuje układ o dziesięciny z dóbr wsi królewskiej Łąka, z Eliaszem Turkotem pułkownikiem wojsk koronnych w 1762 r. Pismem z 1799 r. wieś Tatary zobowiązuje się płacić w trzech ratach należną sumę kościołowi parafialnemu ob. łańskie w Dublanach 1000 florenów polskich, w myśl dekretu sądu okręgowego, z 29 sierpnia 1785r. Wieś Wola Jakubowa ma zapłacić 600 florenów, wieś Dublany 1990 florenów. Z tego można wnosić, że wsie niechętnie spełniały swój obowiązek, proboszczowie dublańscy musieli uciekać się po wymiar sprawiedliwości aż do sądu. Następcą na probostwie ks. Jana Zbierchowskiego, ks. Teodor Zbierchowski zawiera układ z Dyрекcją Kamery Królewskiej w sprawie wyrębu w lasach królewskich, podpisany w Łące 14 października 1793 r. Powołując się na prawną erekcję króla Augusta III z 1750r. i dekret z 1782r. (bliżej nam nie znany), zarząd lasów zobowiązuje się od 1793r. wydawać corocznie proboszczowi dublańskiemu 40 miar dotychczasowego prawa wolnego wyrębu w lasach królewskich. Konsystorz przemyski był z tej umowy niezadowolony, widocznie zawiadomienie przyszło już po dokonaniu tejże, bo referent Konsystorza Fredro już w czerwcu 1794 r. stosuje pismo do ks. Zbierchowskiego, w którym gani go za takie załatwienie sprawy, uzasadniając swoje zdanie ujemnymi następstwami układu, powodującymi uszczupleniem dochodów jego i jego następców. Sprawa chwilowo zostaje niewyjaśniona.

Dopiero biskup przemyski Michał Tomasz Korczyński herbu Sas (1834-39) w czerwcu 1836r w piśmie do dziekana drohobyckiego ks. Zalewskiego, prosi o zbadanie i odpowiedź, czy umowa ks. Zbierchowskiego w sprawie wyrębu w lasach jest istotnie szkodliwa dla kościoła parafialnego w Dublanach, czy raczej dawne prawo wolnego wyrębu nie było by bardziej pożyteczne. Ks. Zalewski, dziekan drohobycki, porozumiewając się z proboszczem dublańskim ks. Lachowiczem, odpowiada 15 lipca 1836r., że lasy i tak są zniszczone, więc wolny wyręb nie byłby wskazany, zwłaszcza, że już od 43 lat proboszczowie korzystają z drzewa w myśl umowy i są zadowoleni. Za długiego pasterzowania w Dublanach ks. Dionizego Lachowicza nie wiadomo nam bliżej o większych zmianach fundacji parafii dublańskiej. W 1861r. powstaje wikariat exponowany w Podburzu, który po kilku latach przemienia się w odrębną samoistną placówkę. W 1900r. powstaje znowu samodzielna parafia w Stupnicy. Nowopowstałe parafie, jako filie parafii Dublany, należało uposażyć, toteż z ogólnego obszaru 80 ha pola, należącego do

parafii dublańskiej, wydzielono 27 ha, a to łąki należące na Dole, koło Hajduka i oddano parafiom Podbuż i Stupnica Polska. Odtąd Dublany posiadały 53 ha, w tym pole orne, łąki i las. Po objęciu parafii przez ks. Fr. Kędziora, patron kościoła Feliks Sozański złożył specjalny fundusz w kasie w Przemyślu, nie wiadomo bliżej wysokości, na utrzymanie drugiego wikariusza przy kościele w Dublanach. Tenże Feliks Sozański po porozumieniu się z proboszczem ks. Kędziorem, złożył też w kasie przemyskiej specjalny fundusz na drzewo opałowe dla proboszcza dublańskiego, zwalniając równocześnie dwór w Kornalowicach od obowiązku corocznego dostarczania 24 sagów drzewa opałowego, jakie na nim ciążyło. Odtąd ks. Kędzior sam kupował drzewo za pobierane odsetki od funduszu, złożonego na konto oszczędności. Odnośnie fundacji mszalnych, znajdujemy wykaz z 30 września 1847r. sporządzony przez ks. Lachowicza:

- 12 Mszy św. Aleksander Ustrzycki 1662r.
- 12 Mszy św. Jan Jaworski 1731r.
- 12 Mszy św. Franciszek Nahujowski 1729r.
- Mszy św. Jan Jaworski 1722r.
- 12 Mszy św. Stanisław Markuszewski 1722r.

Przed wojną 1914r. nagromadziło się sporo fundacji na tzw. "wieczne nabożeństwo" za zmarłych. Krewni zmarłych składali przeważnie po 100 reńskich austriackich (200 koron) na książeczkę oszczędności w kasie przemyskiej, procenty pobierał proboszcz dublański i odprawiał co roku odpowiednią ilość Mszy św. Wojna 1914r. przekreśliła wszystkie powyższe fundacje, a więc fundacje drugiego wikariusza, na opał, oraz fundacje mszalne. Do ostatnich czasów, jako fundacja parafii, pozostały tylko pola, łąki i niewielki las zw. „Dąbrówka”, wszystko razem nie przekraczające 53 ha. W 1936r. po powstaniu wikariatu eksponowanego Nowoszyce, na skutek małego uposażenia na rzecz nowopowstającej parafii przez tamtejszego dziedzica p. Strzeleckiego, na własność parafii Nowoszyce miały przejść z probostwa dublańskiego łąki leżące blisko Nowoszyce tzw. "Skosy", prawnemu jednak wydzieleniu przeszkodziła wojna w 1939r.

4.4 KOŚCIÓŁ PARAFIALNY, KSIĘŻA PROBOSZCZOWIE I WIKARIUSZE.

Wiek XVII przygotowujący tragedię upadku, już w swych początkach za czasów króla Zygmunta III-ego zapisał" się w dziejach narodu jako okres specjalnej niemocy, niezaradności i upokorzenia Rzeczypospolitej. Jakby złe widma nadciągają raz po raz od południa i wschodu krwiożercze zagony Tatarów, Turków i Wołochów. Niszczą, palą, pustoszą ziemię, rabują i mordują, wywożą w jasyr mieszkańców. Prywata szlachty, wzajemne kłótnie i najazdy (Stadnicki St. zwany diabłem łańcuckim), brak zorganizowanego wojska, zdecydowanych rządów, uniemożliwiają stawienie skutecznego oporu. Najwięcej cierpi ludność kresów południowo-wschodnich. Mieszkańcy powiatu Samborskiego przeżyli nie jeden taki napad. Ofiarą padają i Dublany. Rok 1624 krwawo zapisany jest w dziejach parafii dublańskiej. W oktawę Bożego Ciała wpada horda tatarska ,rabuje i niszczy wieś, zapewne morduje wielu mieszkańców, z dymem puszcza plebanię i piękny drewniany kościółek parafialny. W płomieniach giną wszelkie dokumenty dotyczące historii parafii, od początku jej powstania do chwili najazdu, giną wszystkie metryki i zapiski przebywających tam proboszczów. Z późniejszych tylko aktów dowiadujemy się coś niecoś o rządach parafii i kościele z okresu przedpożarowego. Około 1550r. proboszczem dublańskim jest ks. Stanisław z Sambora. Współczesny mu prób. Samborski ks. Grzegorz Szymonowiański rezyduje w Samborze od 1536r do 1562r. Na te więc w przybliżeniu lata wypadłby pobyt w Dublanach ks. Stanisława z Sambora. W 1586r. za biskupa przemyskiego Alberta Baranowskiego wezwani świadkowie w celu ustalenia Fundacji Kościoła parafialnego w Dublanach, wspominają o ks. Stanisławie ze Sambora, jako o byłym, poprzednim proboszczu. Mianowicie ks. Stanisław podpisał układ z ks. Grzegorzem Szymonowiańskim, proboszczem Samborskim, mocą którego dziesięciny ze wsi Dorożów dotychczas płacone prob. dublańskim miały wpływać na rzecz kościoła w Samborze.

Następcą ks. Stanisława na probostwie dublańskim jest ks. Jan, niewiadomego bliżej nazwiska. Spotykamy go w akcie z dnia 20 stycznia 1570r. wydanym w Samborze przez Stanisława de Fulsztyn Herburt, kasztelana lwowskiego, Samborskiego i drohobyckiego starostę. Akt ten rozstrzygał spór o meszne z 30-tu łańów i trzech ćwierci, między ks. Janem prob. dublańskim a Polakami (katolikami) i Rusinami z Dublan, nakazując płacić proboszczowi z jednego łańu jedną miarę zw. kłoda, żyta i taką miarę owsa. Decyzje starosty potwierdza biskup przemyski Walenty Herburt oraz Hiacynt Młodziański skarbnik królewski, aktem wydanym w Samborze dnia 4 lipca 1586r. Pobyt i praca duszpasterska ks. Jana w Dublanach wypadłby na koniec XVIIw. Biskup przemyski Maciej z Burzenina Pstrokoński herbu Poraj (1606-1609), listem wydanym w Przemyślu 26 grudnia 1601r. zapowiada wizytacją pasterską

siedmiu parafii, rozkazując, aby do większych kościołów przybyli proboszczowie z sąsiednich parafii, ze względu na to, że dla krótkości czasu nie może i ich odwiedzić. I tak między innymi do kościoła w Samborze mieli przybyć księża proboszczowie ze Starego Sambora, Soli, Felsztyna, Sąsiadowic, Wojutyecz, Łanowic, Katkowic i Dublan. Wszyscy oni mieli się stawić z dokumentami, metrykami i spisami parafii i to pod grozą kary ekskomuniki. Niestety akt ów nie podaje nazwisk proboszczów, kto był wówczas proboszczem w Dublanach?

Może ks. Jan, a może nieznaną nam bliżej jego następcą. Tenże biskup listem wydanym w **1763r.** zapowiada znowu częściową wizytację diecezji. Pragnie odwiedzić całą diecezję i uskutecznił by to, gdyby nie szalejące zarazy. Obecnie udając się na sejm do Krakowa, nakazuje dokonanie wizytacji dziekanom. Dziekanem Samborskim mianuje ks. Jakuba Mroszkowskiego, proboszcza z Nowego Miasta - Bybel i poleca mu zwiedzić cały dekanat Samborski. Parafia Dublany od początku swego istnienia należy do dekanatu Samborskiego, dekanat drohobycki do którego ostatnio Dublany należały, utworzono dopiero później, w związku z nową terytorialną organizacją diecezji w 1787r. za biskupa Antoniego Gołaszewskiego. Gdy biskupem przemyskim był Stanisław Sieciński (1606-19), proboszczem w Dublanach jest ks. Jan Gawroński. Z nazwiskiem jego spotykamy się gdy wnosi skargę do Konsystorza przemyskiego o dziesięciny z "Tatarskiego" i tzw. pól pustych w Dublanach. On to przeżywa, napad Tatarów na Dublany. Wyrokiem Bożym sam uchodzi z życiem, by wkrótce zabrać się do budowy nowego kościoła. Niezrażony nieszczęściem, mimo ciągłych jeszcze napadów tatarskich, a jeszcze częstszych pogłoskach o mających nastąpić napadach, zabiera się do dzieła. Głównym fundatorem kościoła jest Jan de Żurow Daniłowicz, największy skarbnik królewski, Samborski i drohobycki starosta. Przyczyniają się do budowy większymi datkami: Paweł Wyszel, dziedzic z Bilinki, który na ten cel zapisał 100 florenów i Wojciech Jastrzębski następca kapit. Samborskiego. Akta wspominają o ogromnych zasługach i wielkiej pomocy pieniężnej przy budowie proboszcza ks. Jana Gawrońskiego. Także i miejscowa ludność chętnie śpieszy z pomocą. Na specjalną wzmiankę zasługuje fundator Jan Daniłowicz. Obok fundacji kościoła w Dublanach przeznaczył on 30.000 florenów na rzecz klasztoru św. Brygidy w Samborze, w którym ksienią była jego córka Urszula Daniłowiczówna. Biskup przemyski Achacy Grochowski herbu Janina (1624-27) w czasie wizytacji kościoła w Samborze odwiedził także klasztor św. Brygidy, założony w 1611r. Zastało w nim tylko sześć zakonnicek. Ta mała liczba nie pozwalała na wybór ksieni, toteż w jednym dniu konsekruje ks. biskup 12 zakonnicek, a na drugi dzień nową wybraną ksienią

Urszulę. Było to 19 września 1626r. Ks. Sarna mówiąc o tym fakcie nazywa Mikołaja Daniłowicza bardzo pobożnym mężem, o czym świadczy i jego ofiarność na rzecz kościołów, jak też i powołanie zakonne córki.

Ks. Jan Gawroński hojny i ofiarny, gdy chodziło o chwałę bożą, pochłonięty sprawą budowy nowego kościoła i jego urządzenia, nie zaniedbuje troski o beneficium i uposażenie swoje i swoich następców. Oto 9 listopada 1636r. toczy spór o meszne z Dublan, dla udowodnienia swej słuszności osobiście przedkłada w Konsystorzu przemyskim dokument w tej sprawie, dekret Stan. Herburta, kasztelana lwowskiego z 1570r. W 1637r. ks. Fryderyk Alembek, za biskupa Piotra Dembickiego dokonuje wizytacji kanonicznej parafii dublańskiej. Z aktów wizytacji dowiadujemy się, że ks. Jan Gawroński został instytuowany na probostwo dublańskie w 1612r. Znajdujemy tu też wzmiankę o poprzednim kościele sprzed 1624r. Według relacji parafian stary kościół był piękny. Ozdobiony różnaitością rzeźb, posiadał artystycznie wykonane ołtarze i był zaopatrzony w dostateczną ilość szat liturgicznych. Prawdopodobnie jeszcze za ks. Gawrońskiego, biskup przemyski Jan Chrzyciel Zamoyski (1649-1654) każe zbadać i spisać przywileje i prawa kościoła w Dublanach na skutek zniszczenia poprzedniego przez Tatarów i potwierdza je.

Probostwo w Dublanach po ks. Gawrońskim obejmuje ks. Wojciech Bączkowski i rezyduje tu aż do 1700r. Jego troska o zabezpieczenie kościoła, zachowanie i powiększenie beneficium (o czym wyżej), każe wnosić o jego dzielności i niepospolitym charakterze. Nazwisko ks. Bączkowskiego jest ściśle związane z dotacją łanu pola na rzecz kościoła przez króla Jana Kazimierza w 1660 r. A już wyraźnie jest zaznaczone w akcie króla Michała Wiśniowieckiego z r.1672 przyłączającym do fundacji kościoła w Dublanach jeszcze pół ćwierci pola. Po ks. Bączkowskim pasterzuje w Dublanach ks. Ambroży Getkowski i to długo, bo aż pół wieku. Za jego to czasów wizytuje Dublany ks. Zygmunt Drohojewski, dziekan kat. przemyskiej i wizytator diecezjalny, dnia 25 maja 1721 r. Wydany przy tej okazji tzw. dekret reformacyjny dla kościoła w Dublanach, chwali zasługi i cnoty nowego proboszcza, wzmiankując o starym kościele. Własnym kosztem przyozdobił on kościół i zaopatrzył w paramenta kościelne. Mimo wydatków na swój kościół, pamiętał i o innych kościołach: oto darował 1000 f 1. na kościół w Czukwi, dla kościoła katedralnego posłał kapę wielkiej ceny, złotem haftowaną. Przy okazji wizytacji przyznano proboszczowi dziesięciny ze wsi Bilinka Mała, będącej wtedy własnością Bazylego Ustrzyckiego. Cenny ów dekret podaje liczbę parafian w 1721 r. Jest ona zadziwiająco mała. Tak słabe wówczas zaludnienie

Dublan i okolicznych wsi, da się wytłumaczyć chyba tylko niedawnym, bo zaledwie 100 lat temu, napadem tatarskim. Widać rany zadane wtedy długo bolały. A zresztą pierwsze lata XVIII w. nawiedzają tę okolicę klęski elementarne i przeróżne choroby. Oto co pisze A. Kuczera o Samborze i jego przedmieściach: " Do tego (napady Tatarów, Turków i Wołochów) liczne i częste pożary, wylewy, zarazy i morowe powietrze dziesiątkowały ludność w latach 1705-1710, zmuszając zarząd miasta do sprowadzenia nowych osadników z Mazowsza". Szczegółowe dane odnośnie poszczególnych wsi są następujące : Dublany posiadały wówczas około 100 mieszkańców -Polaków, Kornalowice 60, Ordinia (Hordynia) 20, Bilinka Mała 15, Stupnica 15, Horodzyszcze 6, Tatary 2, razem wszystkich parafian 281. Dalsze wsie należące do parafii, widocznie ze względu na znikomą w nich ilość Polaków zostały pominięte. Czy i do Dublan sprowadzono wtedy kolonistów, na pewno nie wiadomo, przemawia jednak za tym statystyka parafian z 1860r, było ich już wtedy około półtora tysiąca. Trudno sobie wyobrazić, by w ciągu stu lat przybyło tylu mieszkańców drogą przyrostu naturalnego. Staraniem ks. Getkowskiego, Franciszek Nahujowski, chorąży czernichowski funduje kościół w Winnikach w 1728r. należących do parafii dublańskiej. Akta fundacyjne jako współfundatora wymieniają ks. Gętkowskiego. Kościół w Winnikach to wynik troski proboszcza o zaniedbane dusze parafian we wsiach odległych od macierzystego kościoła. Ale i własny kościół stuletni, już chylił się ku upadkowi, troskliwy proboszcz myśli o nowym kościele, gromadzi materiały. Jakoż staje nowy kościół murowany, wybudowany kosztem samego proboszcza w 1737r. Konsekuje go biskup przemyski Wacław Hieronim Sierakowski w 1743r. pod wezwaniem Najśw. Marii Panny Bolesnej, św. Stanisława i św. Mikołaja Biskupa.

Kościół ten pozostał aż do dzisiejszych czasów, powiększony tylko za ks. Weisa w latach 1896-1900.

W trosce o moralny poziom swoich parafian ks. Gętkowski często sprowadza na rekolekcje wielkopostne O.Jezuitów ze Sambora, słynnych w tym czasie z kazań na całym Podkarpaciu.

Po ks. Gętkowskim proboszczem w Dublanach jest ks. Jan Jaworski. Nie długo bawił on tutaj, bo już w 1753r. akta wymieniają ks. Józefa Zbierzchowskiego ,jako proboszcza dublańskiego. O ks. Janie Jaworskim dowiadujemy się z okazji przywileju króla Augusta III dla kościoła w Dublanach z r.1750, potwierdzającym beneficium parafii dublańskiej. Mianowicie ks. Jan Jaworski zwraca się z prośbą do króla Augusta III o wznowienie erekcji kościoła parafialnego, ponieważ pierwotne akta erekcyjne zaginęły. Życzeniu ks.Jaworskiego stało się zadość, aktem królewskim: "innovatio Erectionis Ecclesiae Paroch.Dublanensis una cum confirmatione iurium eiusdem", z datą 27 czerwca 1750r.

Ks. Józef Zbierzchowski, kanonik lwowski i przemyski, jest proboszczem dublańskim od 1753-1780r. Jemu to król August III nadaje przywilej wolnej propinacji wszelkich trunków we wsi Dublany, pismem z dnia 20 lipca 1753r. Za jego pobytu w Dublanach kościół parafialny oprócz dziesięcin pobieranych od kilku wsi od dawna, otrzymuje dziesięciny ze wsi królewskiej Łąka, na podstawie układu ks. Józefa Zbierzchowskiego z pułkownikiem wojsk koronnych Eljaszem Turkutem w 1762r.

Po śmierci ks. Zbierzchowskiego w 1780r. spisano inwentarz kościelny: znajdujemy w nim kilka szczegółów odnośnie kościoła, godnych uwagi. Kościół murowany, kryty gontem wymaga już gruntownej naprawy. W kościele są cztery ołtarze. Ołtarz główny, bardzo stary, drewniany, koloru niebieskiego, w którego pierwszej kondygnacji znajduje się statua Matki Bożej Bolesnej i obraz św. Mikołaja, patrona kościoła, w drugiej zaś obraz Najśw. Marii Panny. Drugi ołtarz pod wezwaniem św. Benina znajduje się również w prezbiterium. Trzeci ołtarz z obrazem św. Anny jest nowy, jeszcze niemalowany. Czwarty, drewniany, pomalowany na kolor czerwony jest pod wezwaniem Matki Bożej Różańcowej, poza tym w kościele znajdują się dwa konfesjonały już zniszczone i osiem ławek. Kościół zaopatrzony jest w dostateczną ilość paramentów po kilka ornatów w jednym kolorze. Na wieży wiszą dwa dzwony wagi 30 i 15 pondów. Obok kościoła znajduje się kaplica murowana, wybudowana na miejscu starego kościoła. Z czego wnosiśmy, że obecny kościół murowany, został zbudowany w nowym miejscu, stary drewniany kościół znajdował się tam gdzie obecnie kaplica cmentarna. Po ks. J. Zbierzchowskim proboszczem dublańskim zostaje ks. Teodor Zbierzchowski. Jest on wykonawcą testamentu ks. Józefa, co nasuwa przypuszczenie, że był jego bliskim krewnym, może nawet bratankiem. Ks. Teodor Zbierzchowski zawiera układ z dyrekcją lasów królewskich w sprawie wolnego wyrębu 14.X.1793r. W Dublanach przebywa do śmierci w 1808 r. Pod koniec życia pomaga mu w pracy duszpasterskiej ks. Kasper Jasiński, jako wikariusz od 1806r., który po śmierci ks. Teodora pełni obowiązki administratora przez dwa lata. W 1810r. proboszczem zostaje ks. Michał Dąbrowski, ale w Dublanach pozostaje tylko przez rok, po jego odejściu w dalszym ciągu administratorem jest ks. Jasiński do roku 1812. W tym roku obejmuje probostwo nowy proboszcz Euzebiusz Stiasny i jest tu do r. 1818. W 1814r. pomaga mu w pracy duszpasterskiej jako wikariusz ks. Kazimierz Horwath z Zakonu Kaznodziejskiego. Po ks. Euzebiuszu Stiasnym przez r. 1819 zarządza parafią ks. Stanisław Krasicki jako administrator. Od roku 1820 proboszczem zostaje ks. Karol Mierzwiński i jest nim do roku 1827. W tym okresie wikariuszami są ks. Symfroniusz Zajączkowski z Zakonu Bernardynów od 1820 do 1822 i ks. Gabriel Dziurzyński w 1824r.

Po ks. Mierzwińskim dojeżdża dorywczo do Dublan z posługą duchowny katecheta Samborski ks. Grabowski, po nim chwilowo administruje ks. Maksymilian Wereszniewicz, proboszcz z sąsiedniej Wołoszczy i wreszcie ks. Aleks. Biliński do kwietnia 1828r.

O tych kilku rządach parafii dublańskiej po śmierci ks. Teodora Zbierzchowskiego w 1808r. pozostających zresztą niedługo na terenie parafii nie posiadamy bliższych danych dotyczących ich działalności toteż z konieczności musimy się ograniczyć do suchych dat, określających czas ich pobytu. W 1828r. na dłuższy czas, bo aż do 1862r. probostwo obejmuje ks. Dionizy Lachowicz, ur. w 1792r., wyświęcony w 1815r. Młody, bo dopiero 36-letni proboszcz z zapałem zabiera się do pracy nad parafią, zaniedbaną wskutek częstych zmian jej dotychczasowych rządców. Przez cały okres pobytu w Dublanach pomagają mu w pracy ks. wikariusze: od 1829-34 ks. Rajmund Niecielski z Zakonu Karmelitów, ur. w 1768r, wyświęcony 1792, od 1834-37 ks. Rozmuski, od 1837-48 ks. Norbert Brzeziński, od 1848-54 ks. Jan Bielenda, od 1854-56 ks. Jakub Pawlikowski, od 1856-60 ks. Wicenty Malinowski. Ks. Lachowicz przeżył w Dublanach z pewnością i piękne chwile, jako młody rządcą, widział owocne skutki swej pracy, nie brakło mu jednak i ciężkich przeżyć. Wszak to wtedy wypada okres zaburzeń i rewolt społecznych, zwłaszcza w latach 1846-47. Wprawdzie na tym terenie przechodzą one łagodnie, nie mniej jednak przysparzają wiele kłopotu i trudności, wymagają delikatności w obejściu, by zdobyć zaufanie parafian, a przez to uniknąć rozdrażnień i odwetu. Rozległa parafia, do której należy 30 wsi, niektóre odległe nawet do 30-tu km, nie łatwą była w prowadzeniu w takich właśnie czasach. W 1858 r. ks. bp. Ksawery Wierchlejski (1846-60) zapowiada wizytację kanoniczną Dublan. Zgodnie z rozporządzeniem biskupa ks. Lachowicza wysyła do Konsystorza kwestionariusz o stanie parafii, z którego dowiadujemy się co następuje: stan moralny parafian raczej ujemny, nie wszyscy spełnili obowiązek spowiedzi wielkanocnej, powszechnie spotykane pijaństwo, brak poszanowania cudzej własności, nawet proboszczowi wypasują łąki i pastwiska. Do dodatnich stron parafii zaliczyć należy brak konkubinariuszy. Religii uczą księża tylko w Dublanach i w Kranzbergu, a i w Kranzbergu ze względu na brak podwoły nauka religii nie zawsze odbywa się. W innych wioskach dzieci polskie będące mniejszością wśród ruskich są pozbawione nauki religii w szkole. Parafianie dbają o kościół, na specjalne wyróżnienie w tym względzie zasługują Stanisław Wyżyn i Jan Maćkusie, gospodarz z Dublan. Liczba parafian w 30-tu wsiach przedstawia się następująco: Dublany 1194 dusz, Bilina 30, Bilinka 20, Brinica 22, Byków 10, Bystrzyca 4, Dorozów 2, Foroszcza 4, Hordynia 58, Horodyszczka 38, Kotownia 4, Kornalowice 178, Kranzberg 262, Łąka 52, Łuzek 42, Mokrzany 2, Nowoszyce 131, Oleksięta 181, Ortyńce¹⁸, Ozimina 4, Podmansterek

4, Podbuż 52, Prusy 42, Sielec 12, Siekierczyce 14, Smolna 62, Stupnica 12, Tatary 6, Uroż 3, Winniki 18, Załokieć 5. Podbuż i Smolna proponuje ks. Lachowicz przydzielić raczej do parafii Czukiew, ze względu na wielką odległość od Dublan. W obrębie parafii znajduje się zniszczona kaplica, w której nie odprawia się Mszy św. Sam kościół wymaga przyozdobienia.

W 1860 r. ustanowiono w Pobużu wikariat exponowany i przyłączono doń sąsiednie wioski. Wreszcie najdalej oddalone wioski miały swój kościółek, chociaż tylko to częściowo rozwiązywało trudności, w każdym razie był to krok naprzód. Mimo oddzielenia kilku wiosek ks. Lachowicz coraz słabszy prosi o zastępcę. W 1860 r. ks. Józef Weis zostaje tzw. wikariuszem dirigensem i pełni obowiązki do śmierci ks. Lachowicza w 1862r. Do ostatnich czasów znajdował się jeszcze na cmentarzu kościelnym kilkadziesiąt metrów za prezbiterium kościoła skromny kamienny krzyż, a na nim napis: tu spoczywa ks. Dionizy Lachowicz, proboszcz dublański.

Proboszczem zostaje dotychczasowy wikariusz dirigens, ks. Józef Weis ur. w 1826 r. wyśw. 1849r - człowiek o niespożytej energii do końca życia. Przez 40-ci przeszło lat (1862-1904) pracuje sam bez wytchnienia i pomocy. Wyniki jego pracy wielkie, ale czyż to możliwe by w tak wielkiej parafii podołać wszystkim obowiązkom? Tymczasem z biegiem lat siły uchodzą, a do zwyczajnych obowiązków proboszcza przychodzą nowe od 1883 r. vice-dziekana, a od 1896r. dziekana. Nic dziwnego, że w dowód zasług już w 1883 r. otrzymuje przywilej noszenia Rokiety i Mantoletu. Wzorowy gospodarz w kościele i na plebanii, najwięcej jednak troski poświęca kościołowi. W Kornalowicach w 1890r. poświęca kaplicę-grobowiec Sozańskich, dużą z pięknym ołtarzem, która mogłaby służyć nawet za mały kościół. Poświęcono ją pod wezwaniem Najśw. Marii Panny. Kościół chociaż murowany i piękny z biegiem lat nie mógł pomieścić wszystkich parafian. Ks. Weis rozwiązuje trudności przez powiększenie dotychczasowego kościoła więcej niż o połowę, w latach 1896-1900. Przedłużony kościół ozdabia polichromią, buduje wielki ołtarz z wizerunkami ukrzyżowanego, ambonę, ołtarz Serca pana Jezusa. Oprócz tego w Kościele rozbrzmiewa piękna muzyka nowego organu, wtórują jej 4-ry dzwony zawieszane na wieży (starą, drewnianą dzwonnice usunięto). Zakrystię zaopatruje w potrzebne paramenta kościelne, które prawie w całości przetrwały do najnowszych czasów. Jak w kościele, tak i na plebanii jest wzorem dla Dublan w prowadzeniu gospodarstwa, podziwem dla sąsiednich wiosek. W 1900 gdy go już siły opuszczają coraz bardziej, stara się, o księdza, osadza go w Stupnicy Polskiej, czego wymagała konieczność

ze względu na osiedlanie się tam nowych osiedleńców Polaków. Ks. Jan Prawdzie pochodzący z diecezji lwowskiej mieszka w Stupnicy i w ten sposób pomaga w duszpasterstwie ks. Weisowi. Biorąc pod uwagę niezmożoną pracę ks. Wesa nie zdziwi nas potęgująca się, zwłaszcza pod koniec życia- nerwość. Fizycznie dobrze zbudowany, silny, a przy tym nerwowo był postrachem dla parafian. Kto szedł do urzędu parafialnego drżał już z daleka w obawie czy nie zostanie wyrzucony za kotnierz trafiając na zły humor ks. Dziekana. W kościele broń Boże, by kto zadrzemał w czasie kazania zaraz posypały się gromy. Po wymalowaniu kościoła nie wolno było zbliżyć się do ściany, ks. Dziekan w zdenerwowaniu nawet z ambony schodził i przywoływał opornych do porządku. Szeptem opowiadano sobie o niezwykłej sile ks. Dziekana, pewnego razu wrócił z zagranicy któryś z parafian, zachwiany w wierze: dowiedziawszy się, że ksiądz nie znosi krzyków na drodze przed plebanią, umyślnie, podpity, prowokował proboszcza. Ks. Dziekan wyszedłszy przywoływał go do porządku, a gdy to nie pomogło zdenerwowany podszedł do prowokatora, by go ukarać fizycznie. Ten jednak podstawił księdzu nogę i wtrącił do rowu. Ksiądz wciągnął go za sobą. Rozpoczęły się szamotania i zmagania. Po chwili ksiądz wstał z rowu mocno obłocony, wołając parobka, by odwiózł poturbowanego, bo "on już sam nie zajdzie" - jak zawyrokował ks. Dziekan. Wiadomość o tym lotem błyskawicy rozeszła się po parafii, potęgując szacunek dla siły fizycznej proboszcza.

Niestety nieprzystępność i niehamowane nerwy ks. Weisa miały swe fatalne skutki, oto parafianie zwłaszcza ze wsi odległych, w obawie by nie narazić się na złe traktowanie, woleli z chrztem iść do cerkwi, gdzie spotykali się z chytrą grzecznością parochów. Błędy usposobienia ks. Weisa - któż ich nie ma - naprawiają już za jego życia księża wikarzy, o których pod koniec swego życia był zmuszony prosić ks. biskupa, osłabiony i wyczerpany do reszty. Ks. Władysław Stec, a później ks. Tomasz Stankiewicz biorą się na dobre do pracy, zaczynają od podstaw, uczą dzieci katechizmu, zjednują przychyłność parafian, wnoszą nowe życie. W 1905r. po śmierci ks. Weisa probostwo obejmuje ks. Franciszek Kędzior, dotychczasowy wikariusz Samborski, urodzony w 1866r. w Świecanach, wyświęcony w 1893r. Łagodny, spokojny, zrównoważony od razu zyskał uznanie i miłość parafian. Pracy wiele. By jej podołać prosił Kurię biskupią o drugiego wikariusza, fundusz na jego utrzymanie składał p. Stanisław Sozański, kolator kościoła. Za punkt honoru uważa sobie proboszcz odzyskać utracone dusze, zaginione w "morzu ruskim". Dzielny wikariusz ks. Panas w czasie wizyty pasterskiej tzw. kolędy w r.1912 odnajduje około 250 dusz, ochrzczonych w cerkwi, chociaż ich rodzice byli Polakami. Znajdowali się oni we wsiach: Nowoszyce, Prusy, Byków, Łużek. Sprawa oparła się o starostwo w Samborze i Kurię biskupią. Niestety

wojna światowa przeszkodziła jej zakończeniu. Ks. Kędzior wzorowy proboszcz, człowiek o otwartym umyśle i gorącym sercu oddaje się całą duszą pracy duszpasterskiej. Najpierw dba o kościół, przy pomocy parafian i ich krewnych w Ameryce urządza piękny Boży grób, wzbudzający podziw parafian i zazdrość Rusinów. Jego staraniem odnowiono ołtarz Matki Boskiej. Niezapomniana statua Matki Boskiej Bolesnej, słynąca łaskami, z ciałem ukrzyżowanego Jezusa na kolanach była radością, dźwignią, ukojeniem wszystkich parafian. Stąd strudzeni odchodzili z pociechą, płaczący z ulgą, zrozpaczeni z nadzieją w sercu, z silną wolą do nowej walki. Pamięć Jej oblicza, naznaczonego bólem towarzyszy i dziś cierpieniom rozproszonych jej dzieci dublańskich, wlewa otuchę, ociera łzy, krzepi nadzieję. Parafianie wierzą, że wrócą do Jej stóp podziękować serdecznie za opiekę w tułaczym życiu, za wytrwanie w świętej wierze, za tyle, tyle łask. Przed tym ołtarzem odprawiał najczęściej Msze św. ks. Kędzior, rozszerzał Jej cześć, wierzył w Jej cudowną opiekę. Nic więc dziwnego, że tyle trudu poświęcił odnowieniu tego ołtarza, nie żałował grosza na jego ozdobienie. Poza tym za ks. Kędziora sprawiono do kościoła baldachim, chorągwie, piękny sztandar Królowej Korony Polskiej, uroczyste poświęcone, trzy duże dzwony, (dotychczasowe zabrano w czasie wojny) które umieszczono na nowej betonowej dzwonnicy, a kościół otoczono pięknym wysokim parkanem na betonowych słupkach. W latach 1912-13 dobudował ks. Kędzior na plebanii drugie piętro, by zapewnić swobodne mieszkanie dla trzech księży. Wojna światowa w 1914 r zmusza ks. Kędziora do chwilowego opuszczenia parafii. Z kolatorem Sozartskim wyjeżdża do Austrii, do Wiednia, wraca jednak niebawem po wycofaniu się Moskali. Podczas nieobecności zastępował go ks. Dzik. Pracę duszpasterską łączy ks. Kędzior z pracą oświatowo-kulturalną. Jego staraniem już w 1905 r. założono w Dublanach Kasę Stefczyka, Kółko Rolnicze, placówki wówczas ważne w kształtowaniu ducha kultury i oświaty ludności. Nie sposób pominąć jego dobroci serca i hojności w czynach miłosiernych. Okazała się ona zwłaszcza w czasie wielkiego pożaru w 1911r. Pożar strawił 283 domostwa poczynając od cerkwi aż hen ku kościołowi. Dotąd jeszcze ta część wsi nosi nazwę "Pogorzelska". Ks. Kędzior otworzył swoje spichlerze i stodoły dla biednych pogorzalców, dawał co mógł, a jeszcze więcej zrobił swoim ojcowskim współczuciem, płakał dosłownie z płaczącymi, a w ten sposób łagodził cierpienia i zyskiwał ich przywiązanie.

Wiele korzystali parafianie z jego bliskiej znajomości z p. Sozańskim. Karta od ks. Kędziora, świadcząca o ubóstwie parafianina miała wielką wagę w oczach kolatora, proszący nie odchodził bez wsparcia. Feliks Sozański, kolator kościoła w Dublanach, sam skromnych wymagań, samotny, bez rodziny, głęboko zapisał się w sercach biednych swoich podopiecznych. Piątek był dniem miłosierdzia, z daleka

nadciągali biedni, by stanąć w kolejce i otrzymać wsparcie. Przed śmiercią cały swój majątek zapisał na własność Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Ostatnie lata życia ks. Kędziora były nacechowane smutkiem i goryczą, których przyczyną był Juliusz Frey, początkowo nauczyciel, później kierownik szkoły w Dublanach. Gdzie tylko mógł tam utrudniał pracę duszpasterską. Pod płaszczykiem oświaty pozaszkolnej szerzył nienawiść do księży, podkopywał zaufanie parafian do proboszcza. Zraził się ks. Kędzior ciągłą walką i jakby zamknął w sobie, nigdzie nie wyjeżdżał, siedział godzinami na plebanii, raz w miesiącu tylko jechał ze Mszą św. do Kornalowic, gdzie odwiedzał kolatora Sozańskiego. Depresja duchowa zwiększyła się z biegiem lat, pracował jednak niestrudzenie do końca życia. W 68 roku życia nagle sparaliżowany, po kilku dniach zakończył życie w 1933r. A oto nazwiska księży wikarych za czasów ks. Kędziora: Od 1906r. ks. Stanisław Jaworski, w latach 1908-13 I-szy wikary- ks. Ignacy Drozdowicz, II-gi wikary Konwent Braci Mnichów Bernardynów ze Sambora. Od 1913-16 ks. Jan Dzik i ks. Jan Jamróz. W 1917 ks. Walenty Okulicki z Zakonu Dominikanów i ks. Juliusz Sadowski, około 1918r ks. Jan Porada, potem ks. Władysław Piotrowski i ks. Adam Pasternak. Od 1923 do 1932 pracuje tu ks. Stanisław Papczyński. Dłuższy okres jego pobytu w Dublanach zasługuje na specjalną wzmiankę, a jego praca na szczególne uznanie. Przyjechał tu jako młodzieńki wikary z Czukwi i z prawdziwie młodzieńcym zapałem zabrał się do pracy. Sam wysoko duchowo stojący podnosił dusze na wyżyny życia wewnętrznego. W celu pogłębienia tego życia zakłada III Zakon św. Franciszka, jest jego serdecznym opiekunem. Coraz więcej wiernych przystępuje do Komunii św., Kornalowic bierze udział codziennie we mszy św. i codziennej komunii. Aż w sześciu szkołach udziela nauki religii : w Dublanach I, gdzie uczy 3 siły nauczycielskie, dzieci polskich w tej szkole 99% , w Dublanach dwie siły , dzieci polskich 30%, w Kranzbergu jedna siła , dzieci polskich 20% , w Nowoszycach 1 nauczyciel -dzieci polskich 20%, w Kornalowicach 3 siły -dzieci polskich 30%, w Oleksiętach 1 nauczyciel -100% dzieci polskich. W innych 14 wioskach, należących do parafii za mało było dzieci polskich, by mogła się odbywać nauka religii obrządku łacińskiego. Po ks. Papczyńskim przez dwa lata 1932-34 jest wikariuszem ks. Konstancy Chuchła, miłośnik dzieci. Działwa szkolna zorganizowana w Krucjacie Euchar. Masowo oblega plebanię, ministranci pięknie ubrani nadają nabożeństwu splendoru i zaprawiają się w służbie euchar. Jezusa. W 1934 r. wikariuszem jest ks. Władysław Orzechowski, a po śmierci ks. Kędziora chwilowo administratorem. W krótkim co prawda czasie okazał się doskonałym rządcą i gospodarzem. W 1934 r. proboszczem zostaje ks. Adam Fuksa, ur.1896 r. w Lubnie, wyświęcony 1923 r, dotychczasowy wikary w Łańcucie. Młody, zdolny, utalentowany muzyk i dobry mówca zachwycił parafian. Nie łatwe jednak było jego duszpasterzowanie. Zamiłowany w porządku iście wojskowym, nie jedno zastał w nieładzie po swoim

dobrodusznym poprzedniku, który pod koniec swego życia nie doglądał wszystkiego. Swawolne jednostki korzystające z niedołęzności ks. Kędziora próbują teraz podważyć autorytet proboszcza, wnoszą nawet skargę do Kurii Biskupiej. W wyniku dochodzeń ks. Fuksa zostaje wicedziekanem drohobyckim, odznaczony Expositorio Canoniale (tytułem kanonika). Nowy proboszcz marzy o odnowieniu kościoła, rozpoczyna od malowania prezbiterium. Niestety olejna farba w zimowej porze wskutek pary wodnej zaciekającej po ścianach kroplami wody niszczała w krótkim czasie. Malowanie jesienny porą, niestosowna farba okazało się nietrwałe. Po kolei zabiera się proboszcz do suszenia zawilgoconej zakrystii, gdzie wskutek nadmiernej wilgoci butwiały szaty kościelne. Odprowadza wodę od fundamentów kościoła, osusza fundamenty a w ten sposób i zakrystię. Wzorowy porządek w kościele, na plebanii i w gospodarstwie oto rezultat pracy ks. Fuksy. Lecz oto druga wojna światowa przerywa wszelkie plany. We wrześniu 1939 r. uchodzi ks. Fuksa do swojej rodziny na Zachód, za San. Wikarzy za ks. Fuksy: to przybyły w 1934 r. ks. Henryk Cieśllicki, który jednak jest w Dublanach niedługo. W tym czasie powstaje expozytura parafii dublańskiej w Nowoszycach, ks. Cieśllicki więc zostaje jej pierwszym administratorem. Od 1935-37 ks. Franciszek Miotek przychodzi tu na pierwszą placówkę po święceniach. Gorliwy, zawsze radosny, prawdziwy mąż modlitwy. Pod koniec 1939r. przychodzi ks. Kącki, który razem z ks. Fuksa opuszczają parafię przed zbliżającymi się wojskami Czerwonej Armii. Po wyjeździe księży pod koniec września 1939 r. parafia przez dwa tygodnie pozostaje bez opieki. Parafianie zbierają się w niedzielę w kościele na nabożeństwo, nie ma kto Mszy św. odprawić, szloch i płacz napełnia świątynię. Przyjeżdża jednak ks. Wojciech Litwin, katecheta z Drohobycza i obejmuje administrację parafii. Ks. Litwin, urodzony w Samborze 1905 r., wyświęcony w 1930 r, jest administratorem od 1939-46 r. Człowiek o spokojnym, zrównoważonym i miłym usposobieniu, wysoce kulturalny, w ciężkich przeżyciach parafian był ich dźwignią i wsparciem. Do pomocy przyjeżdża ks. Józef Borcz, katecheta ze Sambora, niedługo jednak bawi tutaj, miejsce jego zajmuje drugi katecheta Samborski ks. Piotr Szczupiel. Ks. Litwin i ks. Szczupiel to naprawdę opatrznościowi księża, pełni ducha bożego, pogodą i serdecznością przywiązują do siebie parafian, cieszą się z cieszącymi, płaczą z płaczącymi. Więcej jednak było powodu do płaczu niż radości. Chociaż prawdę mówiąc, ks. Szczupiel w najkrytyczniejszej sytuacji znajdował dozę humoru, rozweselał, dźwigał, uspokajał. Czym byli księża w tym czasie, pełnym trwogi i grozy, pokazało się dopiero po tragicznej śmierci ks. Szczupiel. Ginie od kul wycofujących się żołnierzy Czerwonej Armii. Nie sposób opisać żalu, jaki ogarnął wszystkich po stracie tak drogiego ojca. Pogrzeb stał się prawdziwą manifestacją, nad parafią rozciągnął się kir żałoby, smutku i bólu. Uroczystość św. Piotra i Pawła w 1941 r., dzień imienin zamordowanego księdza, stał się dniem żałoby. Razem z księdzem

w tym samym dniu zginęło jeszcze kilka osób w Dublanach. Po ks. Szczupielu zostaje wikariuszem w Dublanach ks. Władysław Świętnicki i pozostaje tutaj do 1946 r., kiedy musi uchodzić przed grozą band ukraińskich. Ks. Litwin trwa nadal na posterunku, wyjeżdża jednak wraz z transportem uchodzących z życiem parafian pod koniec 1946 r. Prawie cała parafia wyjeżdża na Ziemię Zachodnie. Zostają tylko nieliczni. Plebania zostaje zamieniona na szpital, który zresztą mieścił się tu już od kilku lat, zajmując górną część budynku. Kościół służy za spichlerz, zwozi się doń zboże z okolicznych wiosek. Do Dublan przyjeżdżają nowi mieszkańcy wysiedleni zza Sanu, Ukraińcy z Beska, powiatu sanockiego. Dublany jako jednostka administracyjna zostaje podniesiona do rzędu rejonu (powiatu). Historia parafii urywa się.



Rysunek 3 Kościół w Dublanach



Rysunek 4 Kościół w Dublanach, zdjęcie z roku 194x?

Parafia Dublany bardzo rozległa uległa z czasem podziałowi. W najdalszych zakątkach powstawały nowe parafie, terenowo wprawdzie też dość rozległe, ze względu jednak na mieszkających tu w większości Rusinów liczebnie nieduże. Jak dobra matka troszczy się, uposaża i opiekuje się swoimi córami, tak i parafia Dublany, jej proboszczowie, w trosce o dobro duchowe parafian nie żałowali trudu i poświęcenia w organizowaniu nowych, samoistnych placówek duszpasterskich. Z pomocą parafian, miejscowych właścicieli większych posiadłości, budowali nowe świątynie, uposażali ich duszpasterzy.

4.5 PROBOSZCZOWIE I WIKARIUSZE W DUBLANACH

PROBOSZCZOWIE		WIKARIUSZE	
Lata	Imię i nazwisko	Lata	Imię i nazwisko
1540-1570	Ks. Stanisław z Sambora		
1570-1600	Ks. Jan		
1600-1650	Ks. Jan Gawroński		
1650-1700	Ks. Wojciech Bęczkowski		
1700-1750	Ks. Ambroży Gętkowski		
1750-1752	Ks. Jan Jaworski		
1752-1780	Ks. Józef Zbierzchowski		
1780-1808	Ks. Teodor Zbierzchowski	1806-1812	Ks. Kasper Jasiński
1809	Ks. Kasper Jasiński, administrator		
1810	Ks. Michał Dąbrowski		
1811	Ks. Kasper Jasiński, administrator		
1812-1818	Ks. Euzebiusz Stiasny	1814	Ks. Kazimierz Horwath
1819	Ks. Stanisław Krasicki		
1820-1827	Ks. Karol Mierzwiński	1820-1822	Ks. Symfroniusz Zajączkowski
		1824	Ks. Gabriel Dziurzyński
1827	Ks. Jan Grabowski Katecheta z Sambora		
1827	Ks. Maksymilian Wereszniewicz Proboszcz z Wołoszczy		
1827-1828	Ks. Aleksander Biliński Administrator		
1828-1862	Ks. Dionizy Lachowicz Ur. 1792r, wyświęcony 1815r	1829-1834	Ks. Rajmund Nieciecki
		1834-1837	Ks. Rozmuski
		1837-1848	Ks. Norbert Brzeziński
		1848-1854	Ks. Jan Bielenda
		1854-1856	Ks. Jakub Pawlikowski
		1856-1860	Ks. W. Malinowski
		1860-1862	Ks. Józef Weis

PROBOSZCZOWIE		WIKARIUSZE	
Lata	Imię i nazwisko	Lata	Imię i nazwisko
1862-1904	Ks. Józef Weis Ur. 1826r, wyświęcony 1849	1861	Ks. Juliusz Warzecha
		1900	Ks. Jan Prawdzic Polich
1905-1933	Ks. Franciszek Kędzior Ur. 1866 w Świącanach, wyświęcony 1893	1906-1908	Ks. Stanisław Jaworski
		1908-1913	Ks. Ignacy Drozdowski Ks. Józef Ulanowski
		1912-1913	Ks. Józef Panaś
		1913-1916	Ks. Jan Dzik Ks. Jan Jamróż
		1917-1918	Ks. Walenty Okulicki Ks. Juliusz Sadowski

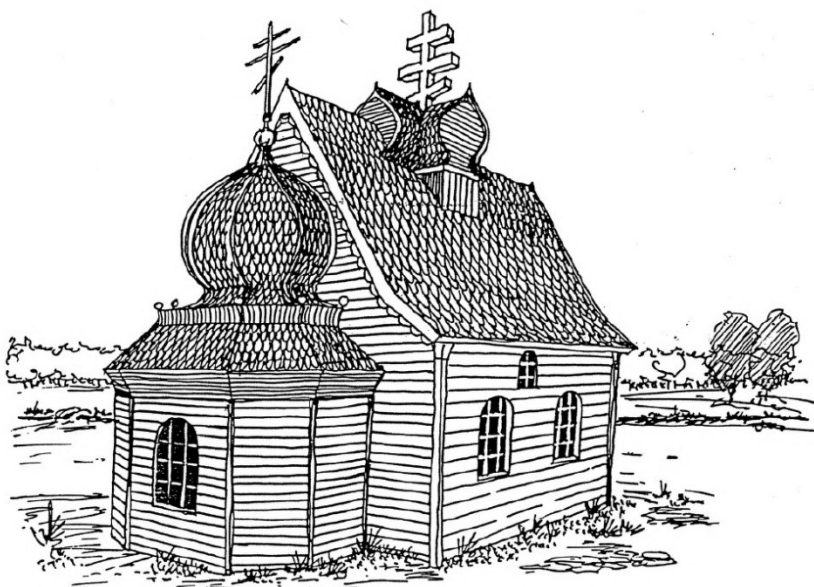
		1918-1920	Ks. Jan Porada Ks. Władysław Piotrowski
		1920-1922	Ks. Adam Pasternak
		1923-1932	Ks. Stanisław Papczyński
		1932-1933	Ks. Konstanty Chuchła
		1933	Ks. Władysław Orzechowski
1934-1939	Ks. Adam Fuksa Ur. 1896r w Łubnie, wyświęcony 1923r.	1934	Ks. Henryk Cieśliński
		1934-1936	Ks. Jan Kosior
		1936-1938	Ks. Franciszek Kmiotek
		1938-1939	Ks. Ludwik Kącki
1939-1946	Ks. Wojciech Litwin Ur. 1905r w Samborze, wyświęcony 1930r.	1939	Ks. Józef Borcz
		1940-1942	Ks. Piotr Szczupiel
		1943-1945	Ks. Władysław Świętnicki



Rysunek 5 Dublany 2017r. Pozostałości plebanii kościoła rzymsko-katolickiego. Kościół został doszczętnie zniszczony i rozebrany

4.6 PARAFIA GRECKO - KATOLICKA W DUBLANACH.

W odległości jednego km od kościoła rzym. - kat. w kierunku wschodnim ku Dublanom Dolnym, tuż przy gościńcu znajduje się mała drewniana cerkiewka. Obok cerkwi skromna plebania z zabudowaniami gospodarczymi, a po przeciwnej stronie gościńca cmentarz cerkiewny. Jak dawno istniała w Dublanach parafia greko-katolicka źródła, nawet ruskie milczy. Patronem cerkwi, zbudowanej w 1863 r. pod wezwaniem Objawienia Pańskiego był właściciel Kornalowic, Adam Sozański, a potem jego następcy. Rusini dublańscy będący tutaj mniejszością, nie wykazywali specjalnej bojowości. Niewątpliwie było to zasługą, proboszczów greko-katolickich, którzy sami spokojni, pozbawieni szowinizmu narodowego pracowali raczej nad umoralnieniem parafian, niż nad budowaniem wrogości do Polaków. Dopiero tuż przed drugą wojną światową hasła nienawiści narodowej znalazły posłuch i u niektórych dublańskich Rusinów. Wiele zawinił w tym względzie ks. Polański miejscowy paroch. Do parafii greko-katolickiej Dublany należała jeszcze wieś Ozimina z przysiółkiem Horyszniany. Ozimina, aczkolwiek nie-duża wieś, była bardziej zarażona jadem wrogości i nienawiści do Polaków i ona to wpływała ujemnie na Rusinów dublańskich. Ksiądz ruski z Dublan dojeżdżał co niedziela do Oziminy z nabożeństwem, wiedział co się tam dzieje, poświęcał tam pierwsze "mochyły", nie mógł więc i u siebie "sprawy" zaniedbać, bo co powiedzieliby sąsiedzi. Ostatnio parafia gr.-kat. w Dublanach liczyła około 1000 dusz, w tym Dublany 696 tzn. jedna czwarta ogółu mieszkańców, Ozimina z Horysznianami 403. W XIX-tym stuleciu proboszczami tej parafii byli ks. Bazyl Grabowski od 1830 do 1865. Po nim ks. Michał Miskiewicz do 1900r. Przed pierwszą wojną światową przyszedł do Dublan ks. Platyk. Długie jego pasterzowanie zostawiło najmiłszą pamięć nawet u Polaków. Po nim ok.1930 objął parafię gr.-kat ks. Polański i był tutaj do drugiej wojny światowej, w czasie której uszedł na zachód. W czasie wojny pasterzował ks. Wasyl Dyka, młody, utalentowany z tytułem doktora, bardzo zrównoważony i możliwy w pożyciu z Polakami. Na nim urwała się historia parafii gr.-kat. w Dublanach. W obrębie parafii rzym. kat w Dublanach było kilka parafii gr.-kat, bo niemal w każdej wsi ruskiej była cerkiew, ale nie sposób zatrzymać się nad ich historią.



Rysunek 6 Kościół greko-katolicki (Rusinów) 1939r.

5 ŻYCIE KULTURALNO – OŚWIATOWE

5.1 OŚWIATA I KULTURA W DUBLANACH

Kultura duchowa i oświata polskiego ludu od zarania państwowości Polski, poprzez całe średniowiecze, niemal do najnowszych czasów - to sprawa bardzo bolesna. Zależność ludu od warstw uprzywilejowanych zepchała go do roli wołów roboczych. Żmudna, w pocie czoła wykonywana praca fizyczna nad uprawą roli, nędzne domowe gospodarstwo, to cały świat polskiego chłopa. Nauka była tylko dla wybrańców losu. Szlachta, co najwyżej mieszczaństwo mogli się jej oddawać, dla chłopa mogła być tylko marzeniem. Trafił się tu i ówdzie śmiać z ludu, który sięgał po zakazany owoc, ale to już było wyni-

kiem jego fenomenalnych wprost zdolności, czy też dobrego humoru ziemianina, jego pana, albo miejscowego proboszcza. Szczęśliwe były te wsie, w których pasterzowali światli księża, współczujący z dolą ludu, rozumiejący czym jest oświata dla niego. Oni to pierwsi zakładali szkoły parafialne, wokół których gromadziła się bodaj zdolniejsza młodzież, oni nadawali ton kulturalny wsi. Do takich szczęśliwych wsi należały bezsprzecznie i Dublany. Oto już w 1637 r. w spisie fundacji parafii spotykamy się z notatką o parafialnej szkole. Szkoła, jak mówią zapiski, istnieje tutaj już od dawna, posiada własny budynek, a rektor szkoły specjalne uposażenie. Tak wczesne jej założenie mówi wiele o dorobku kulturalnym Dublan. Na jakim poziomie postawiona była owa szkoła, trudno dać dokładną odpowiedź, w każdym razie dzielni w owym czasie proboszczowie dublańscy, choćby wymienić ks. Jana Gawrońskiego, pozwalają nam wnosić o wysokim stosunkowo jej poziomie. Wprawdzie znawca Samborszczyzny A. Kuczera, przeciwstawiając wysoko postawionej szkole w Samborze szkoły wiejskie, nie zachwyca się tymi ostatnimi, mówi ogólnie o wszystkich istniejących wówczas w powiecie szkołach, co nie wyklucza wyjątków. A cel jak najchlubniejszego świadectwa o swojej szkole, też zrobił swoje na niekorzyść wiejskich, przeciwstawianych Samborskiej. Wysoko stojąca szkoła w Samborze niewątpliwie obejmowała swoim zasięgiem i Dublany, oczywiście nie należy tego mierzyć stosunkami ostatnich czasów, w każdym razie bliska odległość od Sambora dawała możliwość jednej czy drugiej zdolniejszej jednostce znaleźć się na ławie "wyższej szkoły". Nie małe znaczenie dla całego powiatu Samborskiego miało powstanie w Samborze gimnazjum jezuitów w 1701r. Stało się to z chwilą osiedlenia się w Samborze Jezuitów i zatwierdzenia przez króla Augusta II przywilejem z dnia 19.08.1699r. fundacji na ten cel Marcina Cementowskiego. Oto, co pisze A. Kuczera o szkołach parafialnych w Samborszczyźnie "Sambor od początku swego założenia (1390) miał znakomicie urządzoną jak na owe czasy szkołę parafialną, która znacznie się różniła od takich samych szkółek po miastach i wsiach ekonomii Samborskiej. Podczas gdy w niewielu tylko wioskach i miasteczkach powiatu Samborskiego dzięki inicjatywie poszczególnych proboszczów rzym. kat i popów schizmatyckich wegetowały namiastki szkół początkowych przy cerkwi lub kościele pod kierunkiem klechy czy dziada kościelnego, udzielających w wolnych chwilach od zajęć kościelnych początków nauki czytania i pisania po polsku czy po rusku (w cerkiewnym języku) głównie w celach religijnych, to tu w Samborze widzimy typ szkoły wyższej, parafialnej, prowadzonej przez przełożonego, zwanego rektorem czy dyrektorem.

O ile szkoła parafialna w Samborze zażywała u współczesnych wielkiej powagi, o tyle szkoły parafialne w powiecie Samborskim szczególnie po wsiach, o ile w ogóle istniały znajdowały się w wielkim upadku

i zaniedbania. Wszak szkoła ta istniała na wsi tylko po to, aby służyć potrzebom kościoła i cerkwi i przygotować chłopców do służenia do Mszy Św. i do śpiewu chóralnego. Kierownikiem szkółki wiejskiej był zazwyczaj sługa kościelny, klecha lub dziad, a więc osoba o wysokim stopniu zależna, traktująca zawód nauczycielski jako uboczny, po spełnieniu posług kościelnych. Na tym stanowisku nie spotykamy nigdy ludzi o wyższym wykształceniu, lecz najczęściej ludzi, którzy dla rozmaitych powodów studiów nie ukończyli, lecz waleśali się jako wykolejeńcy, niedołądzy i komiczne figury, szukające posady i szczęścia. Zaprzeczeniem niejako powyższych wywodów Kuczery była szkoła parafialna w Dublanach. Zapiski uposażeniowe z początku XVII w. nauczyciela tutejszej szkoły nazywają rektorem. Zawód nauczyciela nie był dla niego tylko czymś ubocznym, bo szkoła już od dawna ma swoje specjalne uposażenie, mianowicie "połowę czwartej części łanu pola", leżącego przy łanie kościelnym. Tak więc ów nauczyciel nie musiał szukać innego zajęcia, bo miał z czego żyć. Położenie szkoły wskazywało, że proboszcz miejscowy wydzielił część pola pod szkołę z własnej parceli, jak też na uposażenie jej rektora. Nadzór nad szkołą sprawuje proboszcz, nic więc dziwnego, że od wartości duchowej proboszcza zależała i poziom szkoły. Ksiądz świątły, energiczny to i szkoła postawiona wyżej, ksiądz opieszwały- szkoła zaniedbana. Długo szkoły parafialne pełniły wspaniałą rolę, krzewicielek oświaty i kultury wśród ludu, zanim zajęło się państwo jego dolą i szkoły wzięło pod swoją opiekę. Poważna to przestroga dla współczesnych rządów, usuwających zbawienną i tak zasłużoną rolę Kościoła od wychowania młodzieży. Półtora wiekowa niewola Polski nie sprzyjała rozwojowi szkół, a co za tym idzie podwyższeniu oświaty ludu i kultury wsi. Rząd austriacki aczkolwiek najbardziej tolerancyjny, stopniowo germanizował naród stąd w szkołach miejskich język niemiecki: czujność władz okupacyjnych nie pozwalała na rozwój uczuć narodowych w szkole. Dowodem tego wykrycie w Samborze tajnej organizacji w 1835r. zresztą o małym zasięgu i znaczeniu oraz surowa kara dla jej członków. Założyciel tajnego związku Kasper Cięglewicz, praktykant sądu karnego w Samborze i kilka uczniów z najwyższej klasy zostali skazani na kilka lat więzienia i pozbawieni możliwości kształcenia się. Szkoły wiejskie w myśl "tolerancyjnych" zasad austriackich podlegały systematycznie zruszczeniu, co uzasadniano większością, rzekomą oczywiście w wielu wioskach, elementu ruskiego, w rzeczywistości zaś chodziło o zgnębienie w nich i zniszczenie ducha polskiego. Nowo wybudowana podkarpacka linia kolejowa, przechodząca przez Dublany przyczyniła się wiele do podniesienia kulturalnego wsi. Jakkolwiek Austria budując ją w połowie XIX w. miała na myśli wyłącznie cele strategiczne, jednak pośrednio i mimochodem niejako sprawiła ludności

tutejszej ogromne dobrodziejstwo. Warunki okupacyjne uniemożliwiały w wielu wypadkach korzystanie wsi z nauki w szkołach miejskich, niemniej jednak dogodne połączenie kolejowe dawało ku temu znakomitą sposobność.

Wielu mieszkańców Dublan pracuje na kolei, początkowo jako pracownicy fizyczni, potem nawet jako umysłowi, do skrawka roli dochodzi dochód w postaci pensji miesięcznej, co wpływa niewątpliwie na podniesienie stopy życiowej wsi. Dzieci przeważnie kolejarzy, mając bezpłatne bilety kolejowe dojeżdżają do szkół w Samborze, to pierwsza awangarda dublańskiej inteligencji. Przykład podziałał dodatnio i na inne jednostki zwłaszcza zdolniejsze. Nie spotykamy w Dublanach w tym czasie jeszcze ludzi o uniwersyteckim wykształceniu, na to chłop nie mógł sobie pozwolić, wielu natomiast kończy średnią szkołę nauczycielską, by stanąć do intensywnej pracy nad oświatą polskiego ludu. Niestety wojna światowa zahamowała pęd ku wiedzy, zjawisko zresztą zupełnie normalne. Po wojnie natomiast zapal do szkoły niezmiernie się wzmacza. Z przykrością należy stwierdzić, że Dublany mało mają zrozumienia w tym względzie. Dorastające dziecko wprzęga się w jarzmo pracy domowej, pasienie krów nie pozwala na ukończenie wszystkich klas szkoły normalnej, cóż dopiero mówić o wyższej szkole. Wyróżnia się pod tym względem wieś Kranzberg, zamożni gospodarze, koloniści niemieccy kształcą niemal wszystkie swoje dzieci w Samborze: jedno z nich zostaje na gospodarstwie, inne odchodzą do pracy biurowej czy zawodowej, przez co unikają rozdrabniania gospodarstw rolnych. Naśladują ich mieszkańcy Horynia. Jako biedniejsi nie wytrzymują wprawdzie współzawodnictwa, w każdym razie podciągają się wzwyż. Na szarym końcu zostaje Dół, tu większa bieda, do stacji daleko, najzdolniejsze dzieci marnują się, nikt się nimi nie zainteresował, po ukończeniu czterech klas odchodziły ze szkoły do pasienia krów. Pod każdym niemal względem Horyń stoi wyżej od Dołu. Pomijając to, że sąsiedztwo z Rusinami stojącymi niżej kulturalnie nie wpływało dodatnio, stwierdzić trzeba, że przyczyną tego leżała w czym innym. Kościół, wyżej zorganizowana szkoła, stacja kolejowa, poczta i wszystkie urzędy znajdowały się na Horyniu, tu koncentrowało się życie kulturalne. Wiele przyczyniły się do tego i takie instytucje, jak Kasa Stefańczyka i Kółko Rolnicze założone przez ks. Kędziora jeszcze w 1905r. Światlejsi gospodarze z Kranzbergu (Sznajder, Moos), z Dublan Górnych (Wolański, Kwiatkowski, Pakos, Łuczkowski) współpracują z ks. Kędziorem, wyrabiają się społecznie i nadają ton całej wsi. Dobrze zorganizowana Kasa Stefańczyka zwłaszcza po wojnie, niesie biedniejszym pomoc nie tylko materialną, lecz przez swe zebrania, odczyty, świetlice itp. przyczynia się w wielkim stopniu do podniesienia kulturalnego wsi. Po

1920 r. kiedy prezesem jej był Moos, a skarbnikiem przez długie lata miejscowy organista Piotr Towarnicki, władze nawet wojewódzkie wyróżniają Kasę Dublańską i stawiają za wzór innym wsiom. Życie kulturalne nabierało rozmachu, niestety brakło zdolniejszej jednostki, która wzięłaby wszystko w ręce i pokierowała. Ludzie do pracy byli, brakło kierownictwa, zwłaszcza od chwili pojawienia się na terenie dublańskim Juliusza Freya. Początkowo jako nauczyciel, potem kierownik szkoły na Horyniu, Frey za cel swej pracy postawił walkę z ks. Kędziorem, któremu nie tylko w niczym nie pomagał, ale przeszkadzał na każdym kroku. Na terenie wsi nieporozumienia przywódców duchowych. Frey nie znosił wsi, nie kochał ludu, jeżeli zrobił cokolwiek dobrego, to tylko dla przypodobania się władzom. Nienawiść do księży zaszczerpa w serca młodzieży skupionej w kółku amatorskim, co więcej wzbudza w nich instynkty zawiści. Oto pewnego razu powodowany osobistymi porachunkami, napada na ks. Piotrowskiego, gdy ten wraca z naczelnikiem stacji wieczorem do domu. Kilka młodzieńców zbałamuconych przez Freya, wypada z zasadzki, szczęśliwie jednak udaje się ks. wikaremu umknąć, a złośliwych napastników rozpędza policja. Całe szczęście, że Frey nie zdobył sobie uznania w Dublanach, poznano się na nim wnet, toteż i szkody jakie wyrządził były niewielkie.

W ogóle nauczycielstwo dublańskie po wojnie światowej nie spełniło swego zadania, gdy chodzi o pracę społeczną. W całej rozciągłości dadzą się do nich zastosować słowa prof. Bujaka: "Niestety większa część to nauczycielki, do działalności organizacyjnej i do kierownictwa mężczyznami, włościanami, wyjątkowo mogą być usposobione. Przy tym na wsi przy szkołach jednoklasowych działają panienki z miast, nie umiejące nawet niekiedy rozmówić się z chłopem, nie rozumiejące życia wiejskiego, cóż dopiero mówić o wywarciu poważnego wpływu. Nauczycielstwo to nie zawsze z ludu uważa sobie za krzywdę pobyt na wsi, tęskni za miastem, jest źle wynagradzane, pochłonięte troską o rodzinę...". Nie można zaprzeczyć, że chwilowo pojawiały się na terenie Dublan i bardziej wartościowe siły nauczycielskie, brały się do pracy z zapałem np. Jan Maciela z Biskowic, ale to były przebłyski, zresztą nie wolno było wybić się ponad wszechwładnego Freya. pracę zawodową spełniali sumiennie, tego zaprzeczyć nie można, ale poza szkołą praca ich była minimalna. Da się to ocenić w całej pełni dopiero dziś, gdy się widzi, ile potrafi dać ze siebie nauczyciel dla wsi poza nauką szkolną. Podobnie przedstawia się sprawa i na Dole. Przeważnie pracują tu nauczycielki ze Sambora, korzystają z każdej wolnej chwili, by wyjechać do rodziny. Dłużej zatrzymał się jako kierownik K. Ziegler, ale i on pochodząc z mieszczańskiej rodziny Samborskiej nie umiał się zbliżyć do chłopu, wprost od niego uciekał. Toteż

wałęsała się dublańska młodzież wieczorami, wymyślała bójki, bezsensowne antagonizmy między Dolem i Górą, marnowała swoje młode lata. Nie umiał się kto nią zająć, nie miał kto dać książki do rąk, zainteresować się nią, panowała ogólnie ciemnota. Z czasem jednak sytuacja się polepsza. Coraz więcej młodzieży dojeżdża do szkół Samborskich, powszechnych i średnich. Uczący się chłopiec czy dziewczyna w szkole średniej podnosi kulturalnie swoją rodzinę i całe otoczenie. Wzbudza zainteresowanie do książki, dostarcza książek, stwarza atmosferę nauki. Na stacji w Dublanach w godzinach rannych mrowie młodzieży wsiada do pociągu, przeważnie dojeżdżają do szkoły. Dojeżdżanie to zabójstwo młodego życia i wszelkich zdolności, ale warunki zmuszają. Nauka wciąż jeszcze tylko dla najbogatszych, chłopca nie stać na zapłacenie opłaty szkolnej i stacji dla dziecka. Prawo do zwolnienia od tzw. czesnego mają tylko urzędnicy, dzieci chłopskie wyjątkowo tylko, jeżeli wykażą nadzwyczajne zdolności korzystają z łaski. Ciężkie warunki dojeżdżania, brak czasu do nauki, powoduje że niewielu kończy gimnazjum, większość nie dochodzi do matury, odpadają w niższych klasach. Mimo wszystko kilku porywa się nawet na wyższe studia. Z Dublan Stanisław Mochnacki studiuje prawo, Karol Szczepański prawo, Stefan Zawadzki teologię. Z Kranzbergu Moos kończy prawo, drugi Moos politechnikę. Mimo trudności liczna młodzież dublańska kończy maturę, przeważnie w Seminarium Nauczycielskim, bo tutaj łatwiej, nauka w mieście trwa tylko trzy potem cztery lata. Przoduje rodzina Szczepańskich, oni to pierwsi zaczęli. Jeden zostaje nauczycielem, drugi urzędnikiem pocztowym. Potem następują inni nauczyciele : dwaj Szkolniccy, Parylak, Łuczkowski, Szczepański, Bogucki, Koński. Nauczycielki: Wichańska Aniela, Rupnicka Eugenia, Łyżeczka Anna. Wielu kończy gimnazjum z Kranzbergu: z rodziny Pająków, Szwarców, Bissingierów, Wołoszańskich, Żekała. Z Dublan : Aniela Szczęsna, Koński, Szkolnicki i inni. Wszyscy dziś rozproszeni po całej Polsce, a nawet za granicą: Karol Szczepański- adwokat- obecnie we Francji, Jan Bogucki - pilot, radio-operator Polskich Sił Zbrojnych w Anglii - obecnie w Kanadzie, Stanisław Bogucki - nie żyje, Władysław Krokosiński - kapral korpusu Ochrony Pogranicza Stolpce Baranowicze - obecnie w Kanadzie. Niektórzy z nich zajmują stanowiska mniejsze i większe : Wojciech Krokosiński, Zarzycki, Szczepański - w Polsce Ludowej. Czy zjadą się jeszcze kiedy razem, czy porozmawiają, opowiedzą swe dole i niedole, tak serdecznie, po koleżeńsku jak to dawniej bywało pod magazynem kolejowym, przed pociągiem? Któż to wie? Wielu Dublańczyków skończyło średnią szkołę w okresie międzywojennym, a już bardzo wielu po wojnie, nazwisk ich nie sposób wyliczyć. Wysła więc spora liczba inteligencji spod strzech dublańskich, nawet Dół nie został w tyle, wysłał szczupłą garstkę, przyczynił się do wspólnego dzieła - dzieła podniesienia kultury. Płyną więc Dublańczycy w nurcie narodowej kultury, dzielnie i śmiało przeciwstawiają się złu, bo też ciężką przeszli szkołę, szkołę zmagania z

biedą, z ciężkimi warunkami, przebyli nie jedną Charybdę. Dziś już nawet nie znają się wszyscy, wyszły nowe pokolenia, łączy ich już nie wieś, łączy ich naród i walka o lepszą przyszłość.



Rysunek 7 Szkoła w Dublanach, 2017r.

6 ZWYCZAJE I OBYCZAJE

Każda wieś tworzy pewną zamkniętą w swoim rodzaju społeczność. Jej mieszkańcy aczkolwiek utrzymują kontakt z dalszym środowiskiem w którym żyją, małą tylko uwagę zwracają na szerszy świat, interesują się przeważnie swoimi sprawami, znają dobrze swój "mały świat", w nim żyją, kochają go i czują się dobrze. Przysłowie ludowe mówi: "Każda wieś ma swoją pieśń". Miały ją i Dublany, oczywiście

w znaczeniu szerszym, swoją pieśń tzn. swoje odrębne zwyczaje, obyczaje, swoisty sposób przeżywania zarówno radosnych jak i przykrych chwil życia. Naturalnie zwyczaje dublańskie wyrosły na glebie polskiej kultury ludowej, z domieszką zwyczajów ruskich, stąd ich podobieństwo w zarysach ogólnych do zwyczajów ludności całej byłej Galicji. Chłop dublański miał przecież radosne chwile w życiu, momenty jaśniejsze, w których odrywał się od codziennych trosk i kłopotów, zapominał o nich. Beztroskie przeżycia łączył ze swoistymi zwyczajami, a w ten sposób i sam przeżywał je mocniej i łatwiej przekazywał je przyszłym pokoleniom. Najwięcej ku temu sposobności dostarczało życie rodzinne, zwłaszcza ślub i tzw. wesele.

6.1 ŚLUB I WESELE

Zwyczaje i porządki weselne należą do najpiękniejszych, nawiązują one do prastawiańskiego sposobu zawierania małżeństw, a raczej jego zwyczajów, przez kupne lub porywanie. W nich przejawia się niezwykle żywa wyobraźnia i nie lada talent dublańskiego chłopca. Nic dziwnego, wszak gody weselne to początek świętego małżeństwa. Małżeństwo w Dublanach było wysoko cenione jako święty sakrament, jawna zdrada małżeńska do ostatnich lat była prawie niespotykana. Do żonatego mężczyzny mówiono "wy", natomiast bezżenny, stary kawaler był narażony na uszczypliwe uwagi i drwinki. Kilkuletni chłopak przemawia do 40-letniego kawalera przez TY, zaś do 20-letniego żonatego WY. Wesele dawniej trwało kilka dni. Zaczynało się od swatów. Oczywiście młodzi mieli niewiele do powiedzenia, o ożenku decydowali starsi. Kierując się zasadą "but szuka buta a chodak chodaka", rodzice młodego chłopca rozglądali się wśród sąsiadów za odpowiednim majątkiem, nie wiele zwracając uwagi na charakter przyszłej synowej, byle była zdrowa i robotna. Najważniejsze by miała dobry grunt, by leżała niedaleko, a już najlepiej, jeżeli przylegała do pola zawierającego małżeństwo. Tymi samymi kategoriami myśleli rodzice dziewczyny. Upatrzywszy odpowiednie morgi, ojciec chłopca prosił jednego ze swoich krewnych lub sąsiadów na "starostę". Starosta świadomy misji, jaką pełnił, przychodził do oznaczonego domu z miną tym razem uroczystą i tajemniczą, zdejmował czapkę (zwykle bywał w tym domu w czapce) i zaczynał w odpowiednim tonie rozmowę. Rozmowa opierała się na porównaniach, przenośniach niekiedy nawet trywialnych np: "słyszałem, że macie jałoweczkę do sprzedania?". Go-

spodarcz domu odpowiadał: "Mamy dzięki Bogu jałoweczkę, ale jeszcze młoda, trzeba by ją podcho-
wać". Starosta: "Pójdzie w dobre ręce, tam jej nie będzie gorzej, niż u was. I tak słowo po słowie do-
wiadywali się rodzice dziewczyny, kto ma być ich przyszłym zięciem. Dziewczyna tymczasem stała w
kącie izby, o ile nie uciekła do komory, przysłoniwszy oczy "zapaską", zarumieniona "po uszy". Jeżeli
rodzicom kawaler nie odpowiadał, ojciec decydował, że jałoweczki nie sprzeda z tych czy innych wzglę-
dów i na tym koniec. W razie zgody ustalono czas tzw. "zalotów" (zaręczyn). Zaloty odbywały się zaw-
sze z piątku na sobotę w nocy. Ojciec młodego z synem i wódką w kieszeni, w towarzystwie kilku (3-4)
poważnych gospodarzy, krewnych lub sąsiadów udawał się do domu dziewczyny. Tutaj przygotowano
już chleb i ser, jako zakąskę do wódki, ale udawano, że o niczym nie wiedzą. By upozorować, że śpią,
domownicy gasili światło i zamykali drzwi. Starostowie pukali do drzwi i okien: po dłuższym pukaniu
pytali od wewnątrz: "kto tam", przybyli tłumaczyli się, że są podróżnymi z dalekich stron, że zabłądzili,
proszą więc o nocleg. Po długich targach wpuszczano ich wreszcie do mieszkania tutaj omawiano do-
kładnie sprawy majątkowe przyszłych małżonków. To było sednem zalotów. Co daje jedna strona i
druga swojemu dziecku. Bywały wypadki, że jedna noc nie wystarczała na omówienie tych spraw, po-
wstawały spory, które przeciągały się i kilka tygodni. W razie pomyślnego załatwienia, narzeczona
przedstawiała się przybyłym, a raczej witała ich, wypijając pierwszy kieliszek wódki ze słowami: "Czy
zdrowiście, jak się macie?" Teraz następował poczęstunek, skromny zresztą, składający się z chleba,
sera i wódki.

W sobotę dawano na zapowiedzi, opłacał ojciec młodego. Do ruskiego "jegomości" trzeba było wziąć
gęś lub koguta, ale na tym nie koniec. Jejmość zapraszała do pracy na plebanii, czasem na kilka dni,
rzekomo miała to być praktyka wzorowego gospodarstwa. W rzeczywistości młodych zapędzano do
żaren, lub do młócki, co jednak nie było dla nich zbyt ciężarem, przecież to ich pierwsza wspólna
praca, pierwsza miła zaprawa do trudów życia. W najbliższą niedzielę przed ślubem młoda z drużką,
przystrojone w kwiatki we włosach, szły do kościoła. Kwiatki wplecione we włosy, zwisające kolorowe
wstążki, korale głosiły wszystkim, że w najbliższym tygodniu będzie wesele, a dziś młoda będzie prosiła
o błogosławieństwo i na wesele. Istotnie po południu młoda z drużką idąc przez wieś kłaniały się każ-
demu spotkanemu, młoda prosiła o błogosławieństwo, drużka zaś na wesele. Na słowa: "proszę was
o błogosławieństwo, odpowiadano: "niech cię Bóg błogosławi". Drużce zaś: "weselcie się zdrowi". Do
krewnych i bliższych przyjaciół zachodziły do domu, starszych całowały w rękę i prosiły: "Tatunio i ma-
musia was proszą i ja was proszę, żebyście przyszli na wesele". Wedle zwyczaju otrzymywała młoda

jakiś podarek, bodaj "ładzinkę" Inu. W przeddzień ślubu odbywały się u panny młodej "wieńczyny". Wieczorem schodziły się do młodej koleżanki, z barwinku i mirtu wity wieńce dla panny młodej na głowę, dla pana młodego na kapelusz i bukiety dla wszystkich gości weselnych. Wiciu wieńców towarzyszył odpowiedni śpiew, koleżanki śpiewały sentymentalne pieśni, tu zwane żałosne. Młoda zaczynała płakać. Łzami żegnała swoje panieństwo, koleżanki i swoich najbliższych. Płacz młodej trwał od tam już aż do końca wesela. W ten sam wieczór u młodego pieczono tzw. "korowaj", był to duży, nieforemny bochen białego chleba, przetykany ozdobami z ciasta, w dniu wesela, goście zjeżdżali się najpierw do młodego. Stąd furmankami wyruszali do młodej, gdzie zwyczajnie odbywało się wesele. Przed wyruszeniem do kościoła odbywał się uroczysty akt błogosławieństwa. Na środku izby siadali rodzice młodych, przed nimi stali przyszli małżonkowie, z boku wśród gości zajmował miejsce starosta, zwyczajnie "umowny" chłop. Zaczynał on piękne, uczuciowe przemówienie, któremu towarzyszył ogólny płacz, żegnał rodziców w imieniu młodych, przeproszał za przykrości, prosił o błogosławieństwo. Młodzi klękali przed rodzicami, trzykrotnie całując ich nogi, ręce i usta. Rodzice zaś błogosławili ich znakiem krzyża, składając na czołach pocałunek. Goście przy wtórze muzyki i głośnego bicia w bęben wołali: "Niech Bóg błogosławi". Teraz młodzi przez rozestany na izbie kozuch (ilość skór dawniej oznaczała bogactwo) wychodzili przed dom, by udać się do kościoła na ślub. Młody jechał w towarzystwie družbów, młoda wśród družek. Towarzyszyła im zawsze orkiestra (trzech skrzypków i bęben), chłopcy - družbowie udając pijanych, jechali stojąc, wyśpiewywali przez całą drogę pieśni, aż do ochrypnięcia. Ślub odbywał się z powagą i w skupieniu. Z kościoła młodzi małżonkowie wracali już razem. Powracających witała "matka - gospodyni wesela u progu domu. Mając dwa bochenki chleba na głowie, związane lnem, obchodziła skupionych gości pod domem, trzykrotnie obsypując ich pszenicą, (by się ich trzymał chleb), za nią szła druga "swacha" i kropiła gości święconą wodą, nie żałując jej zwłaszcza młodym. Ostatnio w pszenicy wyrzucano drobne cukierki (by im było zawsze słodko) co było nie lada uciechą dla czekającej dziatwy. Obrzędem tym przygrywała z boku muzyka, "swaszka" zaś śpiewała odpowiednie pieśni. Chleby odbierała młoda i na głowie zanosila je do domu kładąc na stole. Teraz zaczynała. Dawniej dla wszystkich „gości wystarczało trzy lub cztery talerze, czy miski/ jadło z jednej miski kilkoro, z jednego też kieliszka pili wszyscy wódkę, po kolei jeden przepijał do drugiego ze słowami: "na zdrowie". Nie żałowano jadła ni napoju. Zabita krowa i świnia często nie wystarczyły, wódkę też pito garncami.

Muzyka tymczasem ochoczo przygrywała, goście śpiewali różne, najczęściej swawolne piosenki, brzydsze po rusku, piękniejsze po polsku. Po obiedzie zaczynały się tańce w stodole. W lecie w czasie pięknej pogody - na podwórzu przed stodołą. Tutaj też w czasie upałów zastawiano stoły w cieniu drzew do obiadu. Wieczorem tego samego dnia, albo jeżeli wesele było bogatsze, następnego dnia odbywały się przenosiny młodej do domu męża. Według zwyczaju młoda w tym momencie zniknęła, ukrywała się tak sprytnie, że nie raz długo trzeba było jej szukać. Żartobliwe podanie mówi, że jednego razu młoda żona zniknęła istotnie. Ukryła się mianowicie za konarem starej rozłożystej lipy, nieostrożnie zsunęła się do wydrążonej w niej dziupli, nie zauważona przez nikogo tam nie mogąc się wydostać. Dopiero przy ścinaniu drzewa odnaleziono jej kości. Po odszukaniu młodej zabierano wszystkie jej przedmioty, całą wyprawę, a więc pierzynę, poduszki, wiadra, garnki, międlice i ruszał osobliwy pochód. Goście weselni, zwłaszcza druźbowie w czasie takich przenosin posuwali się wprost do rabunku. Rodzice młodej musieli dobrze czuwać i w porę ukryć co należało, by nie zabrano im wszystkiego. Osobliwy ten rabunek tłumaczono sobie życzliwością dla młodego małżeństwa. Pochód do domu młodego urozmaicono muzyką, żartami, śpiewem i krzykiem. Z przodu szli druźbowie, jeden trząsał międlicą, drugi pałką uderzał o wiadro, inny na plecach dźwigał pierzynę, ten bodaj najzabawniej wyglądał. Z tyłu w otoczeniu starostów i swachów szła para młodych. On z wiankiem na kapeluszu, ona w wianku na głowie, miała narzucony na ramiona "rantuch" (cztery miary lnianego płótna). U wrót domu śpiewano: "Otwyraj maty chatu, wedemo tobi pelechatu, Otwyraj maty skryniu, wedemo tobi gospodyniu". Tu przed domem matka witała synową chlebem i solą. Synowa odbierała chleb i wchodziła do domu ze słowami: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, czy zdrowicie, jak się wam powodzi". Teraz następowała wieczerza. Rodzice młodego hojnie częstowali gości, starając się podkreślić dobrobyt i gościnność. Goście też nie żałowali sobie, jedli i pili wśród śpiewów i tańców. Po wieczerzy odbywały się tzw. oczepiny. Młoda jeszcze we wieńcu (ostatnio już we welonie) tańczyła z każdym z gości raz dokoła izby, a ten rzucał jej do fartucha odpowiedni podarek pieniężny. Starościna zachęcała śpiewem: "A wy drodzy goście, wy się Boga bójcie, Naszej pannie młodej na czepiec darujcie, Bo terchata chodzi, jej się to nie godzi, Trzeba by jej czepczysko." Młody ostatni musiał wykupić wieniec. W roli sprzedającego występował druźba. Toczono zawzięte targi. Wreszcie następowały właściwe oczepiny. Młoda siadała na stołku, do niej podchodziła starościna, zdejmowała z głowy wieniec i zakładała czepiec, jaki nosiły kobiety zamężne. Wszystkim tym obrzędom towarzyszyły pieśni, dziś już niestety zapomniane. Wesele przeciągało się do późna w nocy, a nawet do rana, starzy rozchodzili się wcze-

śniej, młodzi bawili się dłużej. Rano kilku młodszych wybierało się do wszystkich innych gości weselnych na "dzień dobry". Przewodził im tzw. "prandyka" (od słowa prandyczyć opowiadać wesole dowcipy). I teraz nie obeszło się bez wódki, w każdym niemal domu przyjmowano ich ze śpiewem, śmiechem i tańcem. Zanim goście odpoczęli z rana, już trzeba było iść na tzw. "drużczyny". W drugim dniu wesela drużka wyprawiała stypę albo u siebie, albo u młodego. Znowu schodzili się wszyscy goście, znowu bawili się, śpiewali i tańczyli. Ale na tym jeszcze nie koniec. Trzeci dzień wesela to tzw. "swaszyny". Swacha (starościna) też przecież ważna osoba i ona powinna sprawić dla gości przyjęcie. Zwyczajnie odbywało się ono u młodego, bo tam wszystko już było do uczyty przygotowane, nie trzeba było przenosić. Tu znowu młodzi tańczą, starsi opowiadają ciekawostki i tak mija beztrąsko czas. Odtąd zaczynało się mniej wesole, szare życie małżeńskie, ciężki zwłaszcza dla kobiety, biorąc pod uwagę jej obowiązki macierzyńskie.

6.2 NARODZINY I CHRZEST

Macierzyństwo opiewane przez poetów, pojmowane z szacunkiem przez cywilizowane społeczeństwo, nie było doceniane w biednej wsi galicyjskiej. Kobieta od chwili poczęcia dziecka zaczynała niekończące się prawie do śmierci cierpienia. Potomstwo bowiem było liczne, w tym względzie małżonkowie kierowali się prawem naturalnym, środków zapobiegawczych ciąży nie znali i nie lepsze. Kobiety w czasie ciąży nikt nie wyręczał w ciężkiej domowej pracy. Jakaś niezrozumiała ambicja nakazywała jej nikomu się nie skarżyć, znosić bez narzekania dolegliwości. O higienie ciała matka nie wiedziała nic prawie, żyła poddając się procesom biologicznym, nie dbając o zdrowie. Dziecko rodziło się, zazwyczaj w stajni, mimo iż w izbie było dla matki przecież łóżko, pierzyna i trochę ciepła. Swoiste wierzenia wynikające z fałszywego pojmowania biblijnego utrzymywały matkę w przekonaniu, że rodząc dziecko w stajni, zapewni mu szczęście (Chrystus bowiem rodził się w stajni). Nie było mowy o opiece lekarskiej przy porodzie, rolę akuszerki spełniała tzw. babka, nie mająca żadnego wykształcenia w tym względzie. Nic dziwnego, że trafiały się często wypadki śmierci, tłumaczono je wolą Bożą. W kilka dni po porodzie następował chrzest. Ojciec dziecka zapraszał "kumów" (rodziców chrzestnych). Kuma przynosiła matce dziecka garnek mleka, kawałek białego chleba, trochę suszonych owoców na kompot (suszki albo tyśnicy) i dla dziecka do chrztu krzyżmo (miara lnianego płótna, 80 cm). Po powrocie z kościoła rodzice

dziecka częstowali kumów pierogami ze śmietaną i kaszą pszenną. Większa uroczystość z racji urodzin dziecka odbywała się kilka tygodni później w niedzielę pod nazwą "urodziny". Kumowie bez wiedzy rodziców dziecka wyznaczali jej termin, dając im tylko niewiele mówiący znak, np. pożyczali od nich na ten dzień garnek, w którym kuma w dniu "urodzin" przynosiła już zgotowaną kaszę, pierogi ze śmietaną, a w miarę możliwości i wódkę. Oczywiście przy takich okazjach bywało wesoło, ktoś z gości był dobrym prandyką, bawił towarzystwo, przyjęcie przeciągało się do późna w nocy. Dziecko oddawano pod opiekę starszego rodzeństwa jako "dar bociana" i tak zaczynało się jego wychowywanie. Po kilku latach pasło już gęsi, potem krowy, aż wreszcie stawało się zdolne do ciężkiej pracy na zarobkach, czy pańskiej czy bogackiej ziemi.

6.3 ZGONY I POGRZEBY

Mimo ciężkich warunków w życiu rodzinnym panowały serdeczne stosunki, toteż śmierć któregoś z jej członków, zwłaszcza ojca lub matki była przyczyną szczerego żalu i smutku. Przy łożu umierających rodziców gromadzili się wszyscy członkowie rodziny, by wysłuchać ostatniej woli odchodzącego. Wola ta była dla pozostających świętą. Po zawarciu powiek zmarłemu, obmywano zwłoki, ubierano i układano je na stole, na środku izby. Przez dwie noce krewni, znajomi i bliscy przychodzili odwiedzać ciało, modlić się za duszę zmarłego i śpiewać Różaniec. Po skończeniu Różańca kobiety rozchodziły się do domu, zostawali na noc mężczyźni i domownicy. Dla czuwających mężczyzn kupowano kilka paczek tytoniu, toteż "kurzyli" całą noc, wspominając dobre czyny zmarłego. Dawniej częstowano ich także wódką i zakąską. Trzeciego dnia odbywał się pogrzeb, przyjaciele wynosząc trumnę z domu uderzali nią trzykrotnie o próg mieszkania, wyrażając w ten sposób ostatnie pożegnanie z domem. U Rusinów stawiano teraz trumnę na stołku przed domem, nad nią stawał paroch i wygłaszał "propowid". Chwalił zmarłego, wzruszał rodzinę do łez, co w takiej chwili przychodziło mu łatwo, żegnał ją w imieniu nieboszczyka i pochód ruszał. Z dalszych odległości i księdza i zwłoki wieziono na furmankach. Ksiądz koniecznie musiał towarzyszyć zwłokom już od domu, inaczej nie wyobrażano sobie tutaj chrześcijańskiego pogrzebu, "pochować zmarłego bez księdza, to wstyd dla rodziny i zniewaga nieboszczyka"-mówiono. Ruski paroch przy spotykanych kapliczkach przydrożnych zatrzymywał pochód i odmawiał jakieś modlitwy zwane "parastas". Grupa krewnych, sąsiadów i znajomych towarzyszyła trumnie,

śpiewając po drodze Różaniec i pieśni żałobne. Po nabożeństwie żałobnym w kościele, nieboszczyk na barkach przyjaciół odbywał ostatnią drogę na cmentarz. Zmarłego chłopca niosły dziewczęta i na odwrót zmarłą dziewczynę, chłopcy. Nad mogiłą wylewano rzewne łzy, czasem szczerze, ale gdy umarła stara teściowa albo teść, to tylko dla oka ludzkiego. W zwyczaju bowiem było głośno płakać i lamentować, by w ten sposób wyrazić żal za zmarłych. Po powrocie z cmentarza urządzano stypę pogrzebową. Wszyscy, którzy brali udział w pogrzebie, zaproszeni schodzili się do domu żałobnego. Jeden z poważnych gospodarzy wygłaszał mowę, w której pocieszał pogrążoną w smutku rodzinę, wspominał zasługi zmarłego, obiecywał pomoc, jeżeli zachodziła potrzeba, pozostałym. Przybyłym nie żałowano jadła i wódki. Obfitość poczęstunku zależała od zamożności domu. Pamięć o zmarłym objawiano i później, zwłaszcza w Dzień Zaduszny. U Rusinów w czasie żałobnej procesji zatrzymywano księdza niemal nad każdą mogiłą, prosząc o modły, za co wsuwano mu do kieszeni zapłatę.

6.4 BOŻE NARODZENIE

Obok uroczystości rodzinnych ważnym wydarzeniem w Dublanach były doroczne święta, szczególnie Boże Narodzenie, Nowy Rok i Wielkanoc. Jak w całej Polsce tak i tutaj obchodzono je bardzo uroczysto, dołączając wiele miejscowych obrządków i zwyczajów. Boże Narodzenie - z jaką niecierpliwością oczekiwane przez dzieci zaraz po św. Mikołaju. Św. Mikołaj na siwym koniu przywoził dary dla dziatwy, toteż należało już w wigilię postawić pod domem, na "Zagacie" miskę owsa dla jego konia, by się dłużej zatrzymał. On to był zwiastunem jeszcze większych dziwów na Boże Narodzenie. Już w Adwencie uczyły się dzieci kolęd. Starsze budowały "betlejkę" (szopkę), poszywały słomą, kleiły szaty z papieru (z ruska zwane fełonami), uczyły się na pamięć monologów i ról Heroda, diabła, śmierci, pasterzy, by na czas wszystko przygotować. Wszak będą chodzić po kolędzie z betlejką, z gwiazdą albo z turoniem. Wreszcie nadchodził wieczór wigilijny, ile dziecinnych przeżyć, ile niezapomnianych nigdy wrażeń, któż je zdoła wyrazić? Największą bodaj atrakcją była słoma. Już przedtem przygotował ojciec w stodole odpowiednie wiązki, dwie słomy (mierzwy), jedna siana i snop owsa na "dziadka". Teraz z jednym ze starszych synów wnosił je do izby. Jak tylko ojciec rozwiązał wiązki, w lot rzuciły się mniejsze dzieci, by słomę rozesać po całej izbie. Ileż tu było uciechy, szczerzej, niewinnej, iście dziecięcej. Wołały przy tym dzieci: "Rodysia, rodysia żyto, pszenica, bulba". Wołania te miały sprowadzić urodzaj w przyszłym roku.

Kiedy już stół rozestawiono na izbie i siano na stole, a "dziadka" postawiono w kącie za stołem, nakryto stół obrusem, kładziono placki (wosuchy), w misce stawiano "pampuchy". Drzewka - choinki, tak wiele dziś sprawiającej uciechy dzieciom, tu prawie nie znano. Gdzieś tam tylko dorastające dziewczęta stroiły małą "wicheń" w papierowe kwiatki i wieszaly ją u powały. Ubranie choinki w cacka i świecidełka było na stosunki dublańskie luksusem, na co mogli sobie pozwolić tylko "pany". Gdy wszystko już było przygotowane do wieczerzy, cała rodzina klękała do modlitwy. Zaczynał ją ojciec. Po modlitwie ojciec, głowa rodziny łamał się ze wszystkimi opłatkiem, przy tym składano sobie wzajemnie życzenia. Prawie do każdej rodziny polskiej przychodzili na święta goście - Rusini krewni albo sąsiedzi. Na ruskie Ritztwo szło się znowu do nich. Zaczynała się wieczerza, z kolei podawano dwanaście potraw, a więc koniecznie musiały być huby (grzyby suszone, w mącznej kleistej zaprawie), dalej pierogi, barszcz, gołąbki, kasza, pampuchy i wreszcie kutia. Kutia, to tłuczona na stepie, gotowana pszenica z makiem i miodem. Pierogów było kilka rodzajów: z sera, z ziemniaków, z kapusty. Gołąbki też były różne: z kaszy jaglanej, jęczmiennej itp. Skąd się brały huby, to też ciekawe. Na kilka tygodni przed świętami, pojawiali się we wsi Bojki, z gór, zza Sambora. Nieśli na plecach wieńce grzybów, resztę w worku i wołali: "huby, huby na święta". Gosposie wymieniały je na pszenicę, za żyto, albo kupowały za pieniądze. Przy tym opowiadało sobie wiele o biedzie Bojków.

U Rusinów, gdy się pojawiała kutia na stole, jeden z obecnych brał jej trochę na łyżkę i z rozmachem rzucał na powałę. Im więcej ziaren pszenicy przyłgnęło do sufitu, tym lepszy miał być w przyszłym roku urodzaj. Nie sposób przy tej okazji nie wspomnieć o makutrze. Do kutii należało jeszcze przed wieczerzą utrzczyć maku w skopcu. Niecierpliwili się najbardziej dzieci, czy też mak już utarty, bo na końcu otrzymywały do oblizania makutrę. W czasie wieczerzy należało cały czas trzymać łyżkę w ręce, nie wolno jej kłaść na stole, a to w tym celu, by w czasie żniw nie bolały krzyże. Po wieczerzy wszystkie łyżki wkładano za powrosto "dziadka", by się na wiosnę bydło nie rozłaziło. Jeżeli jednak były w rodzinie dziewczęta na wydaniu, to szły one z łyżkami w pole i tam głośno biły jedna o drugą: z której strony na ten głos odezwał się pies, z tej strony na pewno przyjdzie żenić się kawaler. Teraz resztki potraw z kolorowym opłatkiem zanoszono bydłu. Wiadomo, w noc wigilijną o północy bydło przemawia ludzkim głosem, ale nie każdy śmiertelnik może to słyszeć, trzeba na to specjalnej łaski Bożej. Ojciec ze słomy robił powrósła, by w sadzie obwiązać drzewa owocowe, będą lepiej rodziły. Spod obrusa każdy z obecnych powinien wyciągnąć źdźbło siana, im dłuższe kto wyciągnie, tym większego może się spodziewać lnu w przyszłym roku. Po tych wróżbach zabierali się wszyscy do śpiewania kolęd. Pierwszą kolędę,

"Wśród nocnej ciszy" intonował już na początku ojciec. Teraz śpiewano wszystkie po porządku, ktoś zaczynał z kantyczki, zresztą znano ich wielką ilość na pamięć. Dzieci tymczasem baraszkowały na słomie. W międzyczasie wchodzili do izby kolędnicy przebrani, wymalowani na twarzy, by ich nie poznać. Przychodzili z "betlejką", stawiali ją na stołku, a sami stojąc kolędownali, inni przychodzili z gwiazdą, to znów z diabłem, który był postrachem dzieci, ze śmiercią itp. Oczywiście należało im dać "kolędę". Odtąd chodzili oni już przez cały okres świąt. Przed północą wszyscy szli na pasterkę, zostawiali tylko starzy i słabi, oni szli skoro świt na "anielską". Szło się w śniegu po kolana z latarkami, nie czując najmniejszego zmęczenia. W kościele organista Towarnicki wyśpiewywał już piękną jutrznię, niezwyklej melodii słuchali wszyscy z zapartym oddechem. Potem Msza św. - pasterka i potężna, pierwsza zawsze kolęda: "Wśród nocnej ciszy", po niej "gdy się Chrystus rodzi", „Bóg się rodzi moc truchleje”...itd. Na drugi dzień świąt, św. Szczepana, tutaj zwany "kolędą" wszystka młodzież, poczynając od najmniejszych przedszkolnych, na dorosłych pannach i kawalerach kończąc - wyruszała z domu na "kolędę". Cóż to były te "kolędy"? Szło się od domu do domu i pod oknami śpiewało się kolędy. Cała wieś w ten pamiętny wieczór, to jakby jeden potężny chór, oczywiście nierówny, zmieszany, ale tym miłszy, oryginalny, taka istna "wieża Babel" głosów dziecięcych, męskich, dziewczęcych. To był prawdziwy, spontaniczny "wieczór kolęd". Naturalnie, już wcześniej trzeba było przygotować drobne grodiki i hojnie rozdawać je przychodzącym. Starsi śpiewali przy akompaniamencie skrzypiec lub harmonii, najpierw pod oknami, a potem zwłaszcza u znajomych i krewnych zapraszano ich do mieszkania, gdzie odbywała się gościna i gdzie znowu kolędowano w nieskończoność. Nic dziwnego, że czasem późno już około północy tu i ówdzie słyszało się jeszcze kolędowanie, tym razem już tylko głosy męskie, zdecydowane i harmonijne. Niezapomniane to chwile, ile szczęścia, ile radości budziły w sercach małych dzieci i dorastającej młodzieży. Na św. Jana, raniutko należało pójść do kościoła na wino i tam znów kolędować: "Hej wino, wino, wino lepsze niż przedtem było W Kanie Galilejskiej". Ledwie upłynęły święta Bożego Narodzenia, Przychodził Nowy Rok. Skoro świt malcy wybierali się "po szczodrakach". Przebrani, by ich nie poznać z kijami w ręce, uwijali się od domu do domu. Kto pierwszy przyszedł młócił "dziada", zachowanego dotąd od świąt. A młóćąc "dziadunia" wołał: "Rodysia, rodysia, bulba, żyto, bib, pszenyca"- i dodawali dobrotliwie – „a na piecu ditej”, a potem i kurki wiedziały, że to dziś Nowy Rok, dziubając wesoło powtarzały: rok, rok, rok, a kogut co chwila wołał z uniesieniem wesoły. Za wymłócenie dziada otrzymywało się lepszego szczodraka. Z kolei następowały święta ruskie, wszystkie obrzędy, zwyczaje kolędowania zaczynały się w tym samym porządku na nowo. Tylko teraz kolędowano: „Boh

predwiczny”, „Nowa radiść stała, jaka ne buwała”, „Na nebi zirka jasna zasijała” itp. Od minionych świąt czekano drugich, tym razem Wielkanocy.

6.5 WIELKANOC

Wielkanoc to święto specjalnej radości, święto Zmartwychwstania Pańskiego, triumf Dobra i Prawdy nad Złem i kłamstwem. Pora wiosenna już sama pobudza do radości, budzi się nowe życie, pierwsze kwiatki, szczebiot skowronka nastraja na wesołą melodię. Toteż już kilka dni naprzód panuje wszędzie nastrój świąteczny, chociaż w kościele odbywają się jeszcze nabożeństwa pasyjne. Chłopcy obiegają masowo kościół z kołatkami, klapią od rana do wieczora, w kościele, na drodze, w domu, wszędzie. Starsi młodzieńcy pełnią przy Bożym Grobie straż, to zaszczyt nie lada. Dziewczynki z radością "piszą" pisanki, starsze pomagają matkom w pracy. Wielka Sobota - od rana przy kościele ruch, święcenie ognia, wody. Przyniesioną wodą uroczyście święcił gospodarz swoje zabudowanie, zagrodę, ogrody i pola, by Bóg błogosławił, by oddalił nieszczęście, pożar, grad, ulewy. Około południa należało w koszyczku zanieść do kościoła "paskę", by ją poświęcić. Paskę zasadniczo nazywano biały chleb świąteczny, ale obok chleba czego tam nie było w koszyczku - i jaja i pisanki i kiełbasa, wędzonka, ser, chrzan, zależało zresztą na co kogo było stać. Ale z koszyczka mama nie pozwoliła ruszyć niczego, trzeba było cierpliwie czekać do jutra. Z dalszych stron jechało się święcić wozami, przy tej sposobności matki zabierały małe dzieci, by im pokazać Boży Grób, chlubę dublańskiego kościoła, wiadomo "takiego nie ma nigdzie, chyba gdzie w mieście". Wielkanoc. Przed wschodem słońca wyruszali wszyscy na rezurekcje. Rezurekcja - ukazuje się złocący się w blaskach wschodzącego słońca krzyż potem chorągwie, ustrojone świeżo obrazy, postać Zmartwychwstałego Chrystusa na rękach poważnego gospodarza, krzyż z czerwoną stułą. A oto baldachim - ks. Kędzior z monstrancją w rękach, a za nim wysypuje się, mrowie ludzi. Przy donośnym biciu dzwonów brzmi potężna pieśń: "Wesoło nam dziś dzień nastał". Co chwila, obok na cmentarzu strzelają się moździerze. Zanim obejdą kościół trzy razy, słońce wyjdzie ponad plebanię, po rezurekcji pozdrawia się wszystkich spotkanych: "Chrystus zmartwychwstał - odpowiada się - prawdziwie powstał". Z tym pozdrowieniem wchodzi się do domu. Teraz następuje uroczyste śniadanie. Najpierw dzielenie się święconym jajem, przy tym wspólne życzenia i dalsza biesiada. Przyznać trzeba, że w wielu domach dublańskich dzieci przez cały rok nie kosztowały kiełbasy, a nawet

jaja szły zawsze na sprzedaż, bo "soli trzeba kupić i nafty", toteż śniadanie wielkanocne były prawdziwą uczcią. Z "paski" należało odkroić z czterech rogów malutkie skrawki, które potem zawiązywało się w rogi worka, służącego do siania zboża na wiosnę. Skrawki te dawało się potem do ziemi, żeby nie było myszy. Po śniadaniu chłopcy zabierali się do strzelania, młodzi z klucza, starsi z moździerzy. Jak cała wieś długa i szeroka, tak wszędzie słyszało się huk wystrzałów: wskutek nieostrożności zdarzały się wypadki pokaleczenia, ale na to przecież dorastający chłopak nigdy nie zważał". Drugi dzień świąt to tzw. "oblewany poniedziałek". Biada w tym dniu zwłaszcza dziewczętom. Bywały wypadki, że niejedną zlano wodą do "nitki", na co narzekała tylko pozornie, bo to było znakiem, że ją chłopcy lubią. Zresztą trudno, taki był zwyczaj. Sikawki wszelkiego rodzaju przez cały dzień nie ustawały w pracy. Zielone Świąta, to też wielka atrakcja. Majenie domów wewnątrz i zewnątrz, przy tym współzawodnictwo, kto piękniej swój ustroi. Biedne lipy, jesiony, kasztany i krzewy wszelkiego rodzaju zostawały tego dnia obcięte, okaleczone, ale domy pyszniły się w zieleni. Zieloną gałązkę zanosili dzieci i na pole, wtykały ją tuż przy gościńcu, by wszyscy idąc jutro do kościoła widzieli ją. Gałązka ta miała chronić pola od gradu i wszelkich klęsk.

6.6 STYPY

Sposobność do żywiołowej radości dawały mieszkańcom Dublan wspólne zebrania, tzw. stypy. Urządzano je z różnych powodów, najczęściej w porze zimowej, gdy dłuższe wieczory i czas od pracy wolniejszy. Późną jesienią okazją do stypy było wybieranie "terebienie" kapusty. Każda rodzina kwasila na zimę dużą beczkę kapusty, by praca pręcej poszła, zapraszała gosposia wszystkie sąsiednie dziewczęta na wieczór i przygotowywała dla nich gościnę. A gdzie dziewczęta, tam przychodzą i chłopcy. Nie obeszło się więc bez śpiewów, opowiadań, plotek, chichotów. Skończono kapustę, zaczynało się darcie pierza. To żmudna robota, ale córce na wydaniu należało wczas przygotować dużą "jak stodoła" pierzynę i przynajmniej dwa zagłówki (poduszki). Gęsi skubano i dwa razy do roku, pierza uzbierało się dużo. Do późna w nocy dziewczuchy dały zawzięcie pióra, chłopcy dopowiadali, było wesoło. Na zakończenie wieczerza: pierogi pieczone z pięknej, białej mąki, do pierogów śmietana. Czasem dla chłopców znalazło się i trochę wódki. Było o czym wspominać potem kilka tygodni, jak to było u Jadamczychi, u Chomieszaczki czy u Frejlykowej, albo u Liluski. Częściej, bo prawie w każdy wieczór zimowy schodziły się dziewczęta na "wieczorki". Dawniej przędli i chłopcy, ostatnio tylko kobiety, co najwyżej żonaci

mężczyźni. Najchętniej schodzono się tam, gdzie był stary dziadek, gawędziarz, opowiadał on o dawnych czasach, wojnach, o ludziach olbrzymach. A jak chętnie słuchano o strachach, co prawda potem niejedną dziewczynę trzeba było odprowadzać do domu, bo sama bała się iść, ale na taką sposobność chłopcy przecież czekali. Gdzieniedzie wodzili rej chłopcy. Opowiadali dowcipy, by dziewczętom dokuczyć wsypywali do kądzieli sól, ileż było śmiechu, gdy dziewczyna musiała potem spluwać co chwila, wiadomo, że przy przedzeniu należało kłąćze nieco ślinić, zwłaszcza zgrzebne. Wspólne schadzki, to radość młodego życia. Śpiewano więc na takich zebraniach sporo, w okresie Bożego Narodzenia ulubione kolędy, kiedy indziej też najczęściej pieśni kościelne, śpiewano i swoje "sabadaszki", weselono się wspólnie, dowcipkowano i tak radośnie mijał czas. Tak w ogólnym zarysie płynęło życie w dublańskich chatach. W lecie szare, a zimą śniegiem otulone chłopskie strzechy, kryły często radość, czasem smutek swoich mieszkańców. Okrywały tam mało znaną, a tak wzniosłą historię biednej, zaniedbanej polskiej wsi.

7 CHŁOPSKA DOLA.

7.1 PAŃSZCZYŻNA

Szczęśliwym należałoby nazwać pierwotny okres wsi polskiej i jej mieszkańców, sięgając daleko wstecz do czasów jeszcze Mieszkowych i Bolesławowych. Lud polski wówczas, aczkolwiek w prymitywnych warunkach, żył w zupełnej swobodzie. Polował na zwierzynę w jednej wielkiej puszczy poleskiej, karczował lasy, powoli krok za krokiem rozszerzał uprawne łąny. Nie miał wielkich wymagań, ubierał się w skóry upolowanych zwierząt, mieszkał w szałasach, wystarczył mu prosty posiłek, ale był szczęśliwy i zadowolony. Zadowolenie swoje objawiał radosny pieśnią, której potężne echo rozchodziło się daleko po wyrębach leśnych. *Był panem u siebie, gospodarzem na swojej lechickiej ziemi. Bał się tylko napadów od zewnątrz, przed nimi się bronił, organizował i łączył w większe skupiska rodowe. Stan taki przetrwał z małymi zmianami do końca XV-tego stulecia. Proces wyodrębniania się wyższego stanu w Polsce tzw. szlachty powoli ale konsekwentnie zakuwał w kajdany polskiego chłopca, czynił zeń niewolnika, prawdziwe bydle robocze. Wiek XVI, XVII i XVIII - to okrutne krwawe rozdziały na kartach historii*

pracowitego polskiego ludu. W niczym nie usprawiedliwia "polskich panów" to, że za granicą, w Niemczech czy we Francji działo się jeszcze gorzej. Zbrodnia i krzywda chłopca w innych państwach, nie wzorem, ale upomnieniem i ostrzeżeniem winna była być dla nich. Krytyczną, przełomową fazą pańszczyźnianej niewoli wieśniaka polskiego było rozgraniczenie XVI-tego i XVII-tego stulecia. Szlachta w swej pysze i buńczuczności dochodzi do szaleństwa. Wyzyskiwany lud, srodze uciśniony nie znajduje nigdzie zrozumienia i obrony. Płyną skargi do króla ze wszystkich zakątków Polski, król nawet ujmuje się czasem za ludem, staje w obronie, ale przemyślna, wpływowa szlachta znajduje sposób, by zarządzenia królewskie wówczas nie wiele zresztą znaczące, udaremnić, a lud jeszcze bardziej uciskać. Oto co pisze Włodzimierz Łoziński odnośnie ziem ruskich: "nie masz w całym województwie ruskim ekonomii królewskiej i starostwa, z którego by chłopci nie udawali się ze skargami na ucisk bezgraniczny. Z przemyskiej, lwowskiej, halickiej, sanockiej, dolińskiej, stryjskiej, Samborskiej ekonomii płyną żale i lamenty pod stopy tronu. Zaczynają się zaraz po objęciu rządów przez Zygmunta III-ciego i odwołują się zawsze do niedawnej przeszłości, w której było lepiej". Były wypadki, że szlachcic mandat królewski, na oczach wszystkich poddanych ostentacyjnie podarł, albo co gorsza sprośnie ocierał nim tyłek, mówiąc „tutaj mam mandat królewski, a wy łajdaki za doniesienia i skargi odpowiecie srodze”. I znęcał się jeszcze bardziej nad poddanymi, a winnych doniesienia chłostał batami. Nieco znośniejszy był los chłopów we włościach królewskich, ale chłop szlachecki to rzecz prywatna, to własność osobista, do której nikt nie ma prawa prócz dziedzica, bezbronny, niemy, w ziemię wdeptany Atlant, na którego barkach usiadło całym swym brzemieniem panujące społeczeństwo. Na brak obrony prawnej dla chłopca najlepiej wskazuje fakt, że za zabicie chłopca nakazywało zapłatę tylko 30-tu grzywien. W starostwie Samborskim chłopci byli poddanymi królewskimi, ale niewiele szczęśliwszy był los ich pod władzą rodziny Mnischów, uważających się za dziedziców tutejszej ekonomii. I stąd chłopci co chwila wysyłają delegację do króla, uzalając się głównie na bardzo uciążliwy dla niektórych wsi obowiązek dowożenia drzewa do żup solnych. Tym razem protesty odniosły nawet skutek. W roku 1603 Król Zygmunt III uciążliwy ten obowiązek dowozu drzewa redukuje do pierwotnej miary. Chłopci obowiązani do zwózki drewna mają z łanu do roku zwieść po 150 wozów, kładąc na wóz po 15 piach bukowych, a po 18 jodłowych, a kto nie ma dobytku, winien płacić po 3 grosze od fury.

Protesty do króla idą dalej. Wśród uciśnionych wsi wymienione są między innymi wsie należące do parafii Dublany : Medynia, Łużek, Niedźwiedzia, Prusy, Byków i inne. By zbadać sprawę na miejscu i położyć kres krzywdom w 1608-tym roku zjeżdża do Sambora specjalna komisja królewska złożona z

podskarbiego wielkiego koronnego Jana Fireleja, podczaszego łomżyńskiego Jana Zamojskiego, proboszcza pułtuskiego a późniejszego biskupa ks. Stanisława Makowskiego, starosty bolimowskiego Marcina Krasickiego i dworzanina Adama Stadnickiego. Komisja ta ma według Boga i słuszności „rozpatrzeć stosunki włościańskie i usunąć nadużycia”. Chłopi zarzucają starości, że ponad starodawne inwentarze każe im robić codzienne z wyjątkiem dni targowych po czworgu z łanu, odbywać dalekie podwozy, dawać po 10 pni pszczoł itd. Słuszność swych żądań opierają na inwentarzu P. Słostowskiego z 1587 r., poprzedniego królewskiego dzierżawcy i domagają się powrotu do dawnych obowiązków, które starosta Mniszek przekracza samowolnie. Trzeba przyznać, że owa komisja królewska rozstrzyga sprawę sprawiedliwie. Nie zadawała się przesłuchaniem obydwu stron, wyjeżdża w teren, by tam na miejscu przekonać się o warunkach życia tutejszych chłopów i ich możliwościach do świadczeń na rzecz króla. Po dokładnym zbadaniu, komisja gani Mniszka i ustala szczegółowo obowiązki poddanych. Liczbę dni pracy ustala na 12 z łanu po dwojgu, a z półłanka po jednym. Z półłanka mają chłopci kłaść po dwa wozy, od warzenia soli należy im się po 5 groszy od beczki. Straż starodawnym trybem ma być przez chłopów odprawiana. 20 gmin ma dostarczyć po 6 człowieka na straż bezpieczeństwa do zamku Samborskiego, inne tylko po dwóch, nie mniej do nowego dworu króla Jego Mości w Nowym Samborze po sześciu, w czasie zaś wyjątkowej trwogi i podczas odpustu na św. Onufry u św. Spasa liczba ta według potrzeby ma być powiększona. Od łanu mają płacić po 4 zł, a nie po 18 jak zadał Mniszek. Król potwierdza uchwały komisji i poleca wydać każdej gminie pismo z pieczęcią, wyrażające czynszowe powinności według tzw. inwentarza Słostowskiego z 1587 r. Nie zawsze jednak i na tym terenie kończą się, skargi chłopów tak szczęśliwie. Jak w całej Polsce, tak i tutaj chłop pozbawiony obrony prawnej jest ofiarą samosądów szlacheckich, przeciwko którym nie może nigdzie apelować, przykłady bezprawia znajdujemy i w Dublanach. Oto w 1558r. szlachcic Jan Hynek każe niejakiemu Maciejowi Wołosieckiemu zjeść pozew, a gdy biedak wzbrania się, zmusza go do tego, wpychając mu papier szablą do ust, czym go okrutnie rani, a rannego rozkazuje przywiązać do ogona końskiego i tak wywlec ze wsi. We wsi Hordynia szlachcic Aleksander Biliński z Kowalowic, napada zbrojną zgrają o świcie na dom zubożałego szlachetki Stanisława Komornickiego, wywleka go z łóżka z zamiarem powieszenia, ale potem darowuje mu życie, odcina prawą rękę i lewą nogę. Jak każde zło, tak i ucisk chłopów miał wreszcie znaleźć kres. Nie stało się to jednak od razu, nagle: początkowo tu i ówdzie trafił się uczciwy szlachcic, który odważył się po ludzku traktować swoich poddanych, dobry przykład robił swoje. Już w XVII w. spotykamy takie sporadyczne wypadki. Kasztelan sandomierski Ligęza po ojcowsku traktuje swoich poddanych, funduje dom dla ubogich. Kasztelan przemyski Stanisław Krasicki daleko idącymi ulgami

w doli swoich poddanych chce sobie "bogomódlstwo zjednać na potomne czasy". Jan Jarmoliński testamentem swoim w 1653r. uwalnia chłopów na 30 lat od wszelkich danin, czynszów i podatków. Z uznaniem podkreślić należy wystąpienie w obronie uciśnionego chłopca księży.

Giedlarowanie nieugięci w walce z właścicielem Leżajska, okrutnym Opalińskim, pomoc i zachętę do wytrwania znajdują u księdza, nieznanego bliżej nazwiska. Ks. Kasper Fabrycy radzi zrozpaczonym chłopom spod Kańczugi, gdy już wszelkie uczciwe środki zawiodły: zdobycie się na kij. Coraz częściej o niedoli ludu słyszy się z ambon. Znani i wpływowi pisarze nie szczędzą pióra, by przedstawić społeczeństwu w należytych świetle wyzysk polskiego chłopca. Złotymi zgłoskami w literaturze polskiej zapisane zostały nazwiska Orzechowskiego, Skargi, Górnickiego, Starowolskiego, Modrzewskiego, Klonowicza i innych. Modrzewski piętnuje i potępia tych niegodziwców, którzy mówią, „iż by wieśniaka zabił albo chłopca, jakoby psa zabił”. Pięknie skreślił Klonowicz wieśniaczka dolę „Bo kmiotek ubogi ustawicznie do dwora Robi sobą i byłem aż do wieczora, Karmi się ustawiczną biedą i kłopotem. Zimnem i upaleniem, łzami, dymem, potem. Cierpi kuny, biskupy, korbacze, gąsiorzy, Osaczniki, pochlebce, podatki, pobory...”(Worek Judaszów Wyd.Kaz.Turowskiego) Głos szermierzy wolności nie minął bez echa. Już nie tylko poszczególni panowie, ale cały naród pragnie naprawić krzywdę chłopów minionych lat. Świadczy o tym wymownie Konstytucja 3 maja. Jej twórcy już w pełni współczuli polskiemu wieśniakowi. Niestety złowrogi los nie pozwolił Rządowi Polskiemu uwolnić chłopca od pańszczyzny, zarobcy mieli się okazać dobroczyńcami uciśnionego ludu. Cesarz Józef II uniwersałem z dnia 5.IV.1782r. zniósł nieznośną niewolę poddanych, zezwalając im odtąd na swobodną zmianę miejsca pobytu, swobodny wybór zawodu i służby. A już prawdziwym dobrodziejstwem dla ludności poddanej był patent cesarski z 16.VI.1786r. stanowiący podstawę warunków poddanych aż do 1848r. Określano nim maksimum robocizny na 3 dni w tygodniu, praca latem 12 godzin, zimą 8 . wszystkie roboty nadobowiązkowe i dalsze wyjazdy mają być płatne bądź gotówką wedle taksy, bądź też przez odtrącenie dni pańszczyźnianych. Zniesiono dostawy stacyjne i inne opłaty okolicznościowe. Tak więc zwolna wracała właścicielom upragniona wolność, chociaż gdzie nie gdzie swawolnym szlachcicom długo jeszcze trudno było wyrzec się ucisku i prześladowań ciemnego chłopca. W Dublinach wolność od poddaństwa przyszła wcześniej. Tu nie było większej własności, nie było zazdrosnego szlachcica. Wieś królewska mniej wyzyskiwana i dawniej, prędzej doczekała się też zupełnej. Toteż ledwie ustał ucisk możnych, przyszły na ludność ziemi Samborskiej nowe kłęski i utrapienia. W latach 1846 i 47 nawiedziła tę okolice jedna z największych kłesk głodu. Zresztą głód nie skończył się w latach tych, długo aż do 1861 r. prawie co

drugi rok nawiedzała ta klęska całą Małopolskę. Był to okres tzw. "ciasnych" lat. Ludność żywiła się liśćmi, gorczycą, lebiodą, pokrzywą, wysprzedawała inwentarz i wyjeżdżała po zboże do Węgier lub na Podole. Często ojcowie rodzin wracali z niczym do domu, nie mogąc niczego kupić, rzucali nienaruszony trzos z pieniędzy pod nogi spuchłej od głodu zrozpaczonej rodziny. Starsi mieszkańcy Dublan do niedawna powtarzali jeszcze straszne opowiadania z owych złych czasów, zasłyszanych od swoich dziadków i rodziców. Już w 1841r. naczelnik obwodowy w Samborze Hinzgern, by zapobiec głodowi wydał rozporządzenie, by w miejsce kartofli siać rzepę. Nie wiadomo bliżej z jakiego powodu, zdaje się wskutek nadmiernej posuchy, ziemniaki nie udawały się wcale. Jak opowiadano, na dużym zagonie kilka osób przez dzień ukopało tyle ziemniaków, że w worku na plecach przynosili je z łatwością do domu. A przecież ziemniaki to podstawa utrzymania na wsi. Ziemniakami żywi się bydło, świnie, ziemniaki jedzą kury, a przede wszystkim ziemniaki są podstawą wyżywienia rodziny. Mało jeszcze tej klęski. Na mieszkańcach Dublan sprawdziło się w całej rozciągłości i drugie wiejskie powiedzenie, że „nieszczęścia nie chodzą nigdy w pojedynkę, ale parą, albo co gorsza kupą”. Oprócz głodu szalała epidemia czerwonki, głównie w 1847r. Wycieńczony organizm ludzki stawał się podatny na wszelkie choroby, żywienie się trawą i liśćmi spowodowało zwłaszcza czerwonkę, która dziesiątkowała ludność. Dowiadujemy się o tym z okólnika obwodowego starosty, wydanego do urzędów i magistratów w celu przeciwdziałaniu epidemii. Prócz cholery i głodu dawały się we znaki tutejszej ludności gromady zgłodniałych wilków, wałęsających się z nastaniem nocy wśród osiedli ludzkich. Do ostatnich czasów krążyły jeszcze bajeczne opowiadania o świecących w nocy wilczych oczach, straszących nocnych włóczęgów.

7.2 PRZELUDNIENIE – ZAROBKI

W pogawędkach sąsiednich młodzi zarzucali starym nieumiejętność gospodarowania i to uważali za główny powód ich nędzy. Prymitywizm w gospodarowaniu i niezaradność były niewątpliwie w wielkiej mierze powodem chłopskiej biedy, nie tu jednak leżała główna przyczyna, zwłaszcza pod koniec XIX i z początkiem XX wieku. Sedno sprawy leżało gdzie indziej, leżało w przeludnieniu galicyjskiej wsi. Z jednej strony rozdrobnione gospodarstwa do ostateczności, z drugiej nadwyżka rąk do pracy. Jeszcze w połowie XIX-tego wieku gdy żenił się syn lub wychodziła za mąż córka, rodzice dawali im kilka morgów. W latach 1920-38 „wiano” liczono już nie na morgi, ale na zagony. Zdarzały się wypadki, gdzie już

i zagony trzeba było dzielić na kilka części. W takim wypadku, gdy gospodarstwo doszło do zupełnej ruiny, nie mogło być mowy o dźwiganiu się gospodarczym, na nic był wszelki postęp, na nic wynalazki i technika. A cóż dopiero mówić o życiu, Oto co mówi prof. Bujak o przeludnieniu Galicji: Galicja ma dwa razy tak gęstą ludność jak Cesarstwo Austriackie, Niemcy, Dania i w ogóle jest krajem posiadającym najgęstszą ludność rolniczą w Europie. W stosunku do rolniczej przestrzeni przypadało w Galicji na 1 km kwadratowy: 119 głów ogólnego zaludnienia w 1890r, a w 1900r już 132. Samej ludności rolniczej w 1900r. na 1 km kwadr. 100, gdy Dania ma na 1 km kw. rolniczej przestrzeni tylko 31 mieszkańców, żyjących z rolnictwa, a państwo austriackie tylko 73. Nic dziwnego, że wielu mieszkańców Dublan wyjeżdżało za kawałkiem chleba do Ameryki, Francji, a nawet na sezonowe roboty do Niemiec. Niewątpliwie niejeden chłop dorobił się majątku w Ameryce, wracał, kupował kilka morgów pola, budował piękniejszy domek ku zazdrości swoich sąsiadów, ale to jeszcze nie rozwiązywało problemu nędzy całej wsi. Tym bardziej, że w ostatnich latach przed II wojną wyjazd za granicę był utrudniony, prawie niemożliwy. Wyjeżdżali tylko ci, którzy mieli tam bliskich krewnych. Dublańskie karłowate gospodarstwa rolne, przeważnie 2-3 morgowe nie zaspokajały nawet najkonieczniejszych potrzeb rodziny. Ziemia tutejsza wprawdzie urodzajna, ledwie żywiła liczne rodziny (8-10 osób), cóż mówić o ich przyodziewku, obuwiu i innych wydatkach. Dużo było rodzin, którym na przednówku brakło chleba, nie mówiąc o tłuszczu. Gdy krowa przed ocieleniem przestawała się doić, zaczynał się dla całej rodziny srogi post. Biedna matka flaszeczką lnianego lub konopnego oleju maściła dzieciom kapustę przez kilka tygodni, w rezultacie trudno było w kapuście doszukać się oleju. Cukier był prawie nieznan, czarną żytnią kawą słodziło się sacharyną, kupioną po kryjomu u Żydówki w Samborze. Toteż spotykało się ludzi niedożywionych, o białych, bezkrwistych twarzach, dzieci chudziutkie i nędzne. Jedyna żywielielka, chłopska krowa doiła się kiepsko, bo podobnie jak jej właściciel była niedożywiona, wiosną brakowało paszy. Ze zniknięciem śniegu, jak tylko zaświeciło wiosenne słońce, wypędzały ją dzieci na pastwisko, by „przyszła do siebie”. Wielkim błędem gospodarczym tutejszych chłopów było to, że na kilku-morgowym gospodarstwie chowali dwa konie i czasem dwie, albo jedną krowę. Były to konie wprawdzie tylko z nazwy, w rzeczywistości małe i chude szkapiątka, ledwie trzymające się na nogach wiosną. W każdym razie ambicją gospodarza było mieć swojego konia: na jednego dobrego, tłumaczył się, nie stać mnie, więc dwa kiepskie.

Inwentarz żywy niedokarmiony zimą, nie wiele lepsze warunki miał latem. Wspólne, gromadzkie pastwisko po deszczu namulone, w czasie upałów wypalone, nie wystarczało zupełnie dla wiejskiej masy

bydła. W całej rozciągłości odnoszą się słowa prof. Bujaka do dublańskich stosunków. „Gospodarka na wspólnej własności jest fatalna. Pastwiska gminne (błonia) to w połowie przynajmniej nieużytki. Aby jak najwięcej z nich korzystać chowają chłopi za wiele bydła, wypędzają je za wcześnie z nastaniem wiosny, korzystają zaś bez względu na pogodę jej wpływ na stan pastwiska. Podmokłe pastwiska w czasie deszczowym, a suche i piaszczyste w czasie posuchy było nogami niszczy, zatłaczając lub zdzierając run. Pasą się też prawie zawsze wszystkie gatunki zwierząt domowych i ptactwo, obok bydła gęsi, świnie, owce i konie, co jest zarówno dla zdrowia zwierząt jak i dla pastwiska szkodliwe. O ile wszyscy prześcigają się w wykorzystaniu pastwiska (nawet przez wybieranie gliny i piasku) o tyle nikt nie dba o utrzymanie go w należyтым stanie, kretowiska nie są nigdy wyrównane, osty wycinane a nawóz stracony dla gospodarzy nie bywa wykorzystany dla poprawy pastwiska. Bardzo mało gmin utrzymuje pastuchy gminnych, którzy by paśli bydło całej wsi, w ogromnej większości wsi z każdej chaty za bydlęm wychodzi wyrostek. Życie gromadne tych podrostków bynajmniej nie podnosi ich moralnie (bójki, kradzieże obok wczesnego rozwijania popędów płciowych)”. Wprawdzie w Dublanach wybierano pastuchów gminnych, na wiosnę schodzili się gospodarze z kilkudziesięciu domów zwyczajnie koło Żyda (pozostałość po dawnych karczmach), lub koło domu ludowego i najmowali dwóch biedniejszych do pasienia, zobowiązując się wynagrodzić ich kilku miarkami zboża od sztuki, zależnie od wartości zboża w danym roku. Wieś była duża, więc poszczególne części wsi odróżniające się swoją odrębną nazwą wybierały oddzielnych pastuchów. Nazwy te były między innymi następujące: na Horyniu, Zawadka, Stawisko, Pogorzelsko, Błonie, Na Dole, za Wygonem, za szkołą, na Łanie, na właściwym Dole, na Kończakach itp. Nie mniej jednak paśli i poszczególni chłopcy swoje krowy, zwłaszcza po sianokosach na łąkach wykoszonych, by lepiej je napaść. We wspólnych stadach tzw. czeredach krowy spędzone z kilkudziesięciu domów wędrowały tylko z miejsca na miejsce, trając pastwisko, nie korzystając z niego zupełnie. Toteż trzeba było bydło i latem dokarmiać w stajni, zbierały więc kobiety różne chwasty polne z pszenicy, żyta, ziemniaków plewiąc je i dźwigały do domu. Na niedzielę tylko i święta, gdy już trudno było zbierać "chopty", znalazło się nieco koniczyny. Oczywiście bogatsi mieli jej nieco więcej. Z jednej strony piękny to był widok, gdy w południe do podoju, albo wieczorem o zmroku na pastusze zawołanie: he, he rozbiegały się krowy i same instynktownie grupowały się w poszczególne szeregi, zmierzając ku najbliższemu swojemu domowi, mostkiem na potoku, przez które musiały przechodzić, z drugiej jednak strony nędzny ich wygląd często brud pozostający na nich od kilku tygodni niepochlebnie świadczył o ich gospodarzach. Konie spętane w dalszych częściach pastwiska, pozosta-

wały na nim przez całą noc. Wieczorem szli chłopcy pętać konie, szli przeważnie grupkami toteż rozlegał się ich głos daleko gromkim śpiewaniem: dla młodszych zwłaszcza, chwila ta miała specjalny urok. Raniutko znów trzeba było je rozpętać i zabrać do pracy albo zostawić na dalsze dzienne pasienie. Gęsi z czasem starano się z pastwiska usunąć, wyznaczając im osobne nieduże miejsce do pasienia. Tam też pasły je dzieci, biada jeżeli niespostrzeżenie wychodziły na dalsze pastwisko, zjawiał się "polny" i zajmował je do domu, skąd z płaczem dzieci trzeba było je wykupić.

Oto kilka faktów świadczących o mało racjonalnej gospodarce Dublańczyków, niewątpliwie była w tym i ich wina, ale na kilku zagonach trudno było być racjonalizatorem. Prace na swoim gospodarstwie zwłaszcza liczniejsza rodzina, wykonywała w kilku dniach, kilka dni szło na sezonowy zarobek w czasie żniw, sianokosów czy kopania ziemniaków, a długie nieraz miesiące trzeba było po prostu siedzieć beczynnie. Toteż przykro było patrzeć na wałęsających się młodych ludzi, bez pracy, zwłaszcza porą zimową. Szukali jej, jeździli, starali się, niestety na próżno. Byli i tacy, którzy zazdrościli jednemu ze sąsiadów, gdy ten został zamiataczem ulic w Drohobyczu. Nic dziwnego, były okresy, w których wykwalifikowani robotnicy byli bez pracy, cóż mówić o prostym chłopie - robotniku. Za marne kilka groszy szły falangi dziewcząt i chłopców w okresie żniw czy kopania ziemniaków na roboty do bogatszych wsi i dworów. O świcie zajeżdżał na koniu szlachcić z Ortynic, Łąki, czy Niemiec z Kranzbergu albo karbowy z nowoszyckiego lub kornalowickiego dworu i zamawiał do pracy. Wieść rozchodziła się lotem błyskawicy, szybko chwytał chłopiec czy dziewczyna kawałek suchego chleba, flaszynę mleka, (do dworu szło się o swoim wikcie) i dalej na zarobek. Szlachta i Niemcy dawali wikt na miejscu, wiele też było mowy i o tym wikcie w drodze, powrotnej. Słynne były i dobrze znane muchy ortynieckie, co gromadnie wpadały do jedzenia, potwierdzając przysłowiowe ruskie niechlujstwo. U Niemców było czyściej i schludniej. Kiedy zapadał mrok wracali zarobnicy gromadnie, zmęczeni, strudzeni, ale ze śpiewem, weseli. Przychodzili nocą, rano trzeba było znowu iść do tej samej pracy. Wyślugiwali się bogacze biedotą dublańska, płacili licho, bo o robotnika było łatwo. Pola pańskie obficie zroszone potem biednych wyrobników, były świadectwem pracowitości naszego ludu. Czy nie była to pańszczyzna w swoistej formie? Wyjątkowo tylko przy kosie można było zarobić złotówkę, a normalnie 80, 70 a nawet 60 groszy. Dzieci nieletnie przy wrywaniu buraków lub suszeniu siana pracowały za połowę płacy starszego robotnika. Cieszyły się i tą zapłatą, bo bieda nieraz była okrutna. Zimą dorośli chłopcy i żonaci szli z cepami młócić, często wracali darmo, bo nie znaleźli młócki. Zaiste prawdziwie koszarne to wspomnienie.

nia. Państwo Polskie sprowadzało towary z zagranicy za wielką opłatą, a w kraju marnował się surowiec, marnowały się ludzkie siły. Nikt nie myślał o stworzeniu najkonieczniejszych fabryk, wykorzystaniu roboczych rąk, o zapewnieniu ludziom niezbędnych warunków życia. Czy wiedzano o tym u góry, czy o tym kto myślał? Owszem były jednostki zdrowo myślące, ale w atmosferze przedwojennych rządów były bezradne. Warstwy wyższe, bogatsze, zaniedbały chłopca, nie zatroszczyły się chłopską dolą, toteż musiały potem drogo za to zapłacić.

7.3 CHAŁUPNICZE TKACTWO.

Dublany i okoliczne wsie siały dużo lnu i konopi. Do niedawna nie znano tu innego płótna na bieliznę i pościel, tylko lniane. Konopne płótno tzw. wałowe szło na "werety" i worki. Jesienią rozlegał się klekot z każdego podwórka, to kobiety międlły len i konopie. Wstawały wcześnie rano, w noc księżycowe pracowały wieczorami długo, zawzięcie. Gorzej było z suszeniem "kłacza", suszono w piecu, najczęściej po pieczeniu chleba. Któż winien, że nieraz został ogień w popiele, po chwili dawał znać o sobie, pokazywał się w kominie dym, len płonął - więc bieganie, zlewanie wodą, wreszcie biadanie nad spalonym lnem. Przechwalały się sąsiadki ile która ma "klobikow" lnu, bogatsze miały więcej. Zmiędlony i przetarty len trzeba było jeszcze czesać na specjalnej szczotce i przywiązać przędzy w "pasma". Teraz dopiero zaczynała się jeszcze żmudniejsza robota - przędzenie. To już specjalne zajęcie na długie zimowe wieczory dla dziewcząt i dla starszych. Dla kawalerów było "nie honorowo" pracować przy kądzieli, co innego już po ożenku, wtedy trzeba myśleć o gospodarce, to i płótna trza było. Najczęściej schodziły się dziewczęta razem w jednej chałupie na tzw. wieczorki (weczirki), tu przychodzili i chłopcy ale bez kądzieli. Furkotały wrzeciona wśród śpiewu pieśni, najczęściej religijne, w okresie świąt śpiewali ulubione kolędy polskie i ruskie. Dziadkowie opowiadali dawne historie, o wojnach, o strachach. Chłopcy zmyślali dowcipy, wybuchały co chwila spontaniczne, chóralne śmiechy i tak czas leciał szybciej, a dziewczęta wracały do domu z pękatymi wrzecionami. Na drugi dzień trzeba było nici zmotać na motowidło i policzyć w pasma i łokcie. Na Dole w bardzo wielu domach znajdowały się warsztaty tkackie. Na nich wyrabiali tkacze płótno, najczęściej dla siebie, czasem na zarobek. Przywozili tu przędę gospodarze z sąsiednich wiosek, z Łąki, z Tatar, Prus, Nowoszyca, Ortynic. Warsztat tkacki i tkanie

na nim płótna (tutaj mówiło się robienie płótna za warstatem) to dosyć skomplikowana sprawa. Przędzę zdjętą z motowidła, związaną w tzw. łokcie, a liczoną na sztuki, trzeba było teraz rozciągnąć na wiadłach i skręcić na "cywy". Z cyw szła na "snowalnie" i dopiero teraz zwijano ją na warstat. Miały też kłopotu nie mało, starsze dzieci z tym "kręceniem cyw", a potem małych cywek", służących do przegradzania rozpiętych nici na warstacie. Tkacz siedział za warstatem, przerabiał nogami na podnóżach i rzucał co chwila w jedną to w drugą stronę „czownikiem” (czołenkiem), z którego biegła rozwijająca się w cywki nić. Ciężka praca tkacka niejednemu skróciła życie, dla niejednego była powodem chorób płucnych (tu zwanych piersiowymi). Przy tkaniu bowiem płótna unosiły się z warstatu tumany kurzu, który wdychał tkacz i cała jego rodzina. Nie było przecież specjalnej izby na warstat, stał on w jednej izdebce służącej dla wszystkich za mieszkanie. Tu wychowywały się małe dzieci, tu przebywali wszyscy. Płótno wyrabiano wyłącznie w porze zimowej, a wtedy wszyscy domownicy przebywają w izbie. Toteż więcej szkody przynosiło tkactwo niż zarobku. Poza tkactwem nie uprawiano w Dublanach innego przemysłu na większą skalę. Byli szewcy, krawcy, kowale, było ich jednak niewielu. Jak w każdej wsi, tak i tutaj praca ich zaspokajała krewnych i sąsiadów. Dawniej ojciec i matka szyli dla dzieci koszule i wierzchnie ubranie sami ręcznie, najczęściej z lnianego płótna. Z czasem płótno fabryczne zaczęło coraz bardziej wypierać lniane, nawet podrostki wstydziły się chodzić w lnianym czy konopnym. Wtedy ze szyciem trzeba było iść do fachowego krawca. Do ostatniej jednak wojny wyrabiano wciąż płótno lniane swoje, służyło ono do wyrobu koszul dla starszych, na werety i na worki, potrzebne ciągle w gospodarstwie.

7.4 KURNE CHATY

O kurnych czyli dymnych chatach pozostało w Dublanach już tylko wspomnienie. Staruszkowie opowiadali o nich dzieciom, opowiadania te były jednak tylko zasłyszane od jeszcze starszych, wyjątkowo tylko nieliczne jednostki z wymierającego pokolenia przeżywały w nich swoje dzieciństwo. W kurnej chacie należało siedzieć jak najniżej, najlepiej na progu, ze względu na unoszący się w izbie dym z paleniska. Wprawdzie część dymu wychodziła otworem w powale, część jednak rozchodziła się po całej izbie. Świecenie szczypami (łuczywo) palącymi się na kominie też już przeszło do historii. Warunki

mieszkaniowe mimo wszystko nie wielkiej uległy zmianie i poprawie, zwłaszcza u biedniejszych chłopów. Chata - dom mieszkalny, pokryty najczęściej do dziś jeszcze strzechą, dzielił się na dwie części, przegrodzone dużą sienią. Jedną część zamieszkiwali ludzie, drugą ich bydło domowe. Mieszkanie składało się najczęściej z jednej izby (chaty) i małej izdebki (wankirza). Za "wankirzem" czasem była jeszcze komora z wejściem od sieni. Gdy jej nie było za komorę służyła sień. W sieni mieściło się wszystko: zboże, ziemniaki, sprzęt domowy, w końcu przy tylnych (zadnich) drzwiach żarna do mielenia zboża. W komorze przechowywano ubrania świąteczne, mąkę i sprzęt domowy. W izbie mieszkalnej niemal jedną trzecią przestrzeni zajmował duży piec chlebowy (ostatnio zanikający) o wielkim palenisku i kominie. Przy piecu budowano tzw. kuchnię, mały piecyk o nakryciu z grubej blachy do gotowania potraw. Na wielkim masywie pieca wychowywały się zimową porą dzieci. Butów nie miały, często jedna para butów dla kilkorga, do szkoły zimą chodziły mało, bo i ubrania ciepłego nie miały. Toteż piec, ciepły zwłaszcza po pieczeniu chleba był dla nich rajem. Twarde piecове klepisko było miejscem harców dziecięcych. Na piecu sypiali też zimą dorośli, w lecie na strychu albo w stodole. Ważna rola pieca w życiu domowym znalazła z czasem wyraz pogardy. „Wychowany na piecu”, mówiło się o człowieku mało rozgarniętym, który poza domem nigdzie nie był, nie widział szerszego świata. Z pieca zbiegło dziecko, by w oknie zamarzniętym na kość wychuchać dziurkę, a przez nią popatrzeć na świat. Przywołane do porządku basowym głosem ojca: nie chuchaj bo szyba pęknie, wbiegało z powrotem na piec. Wyleźć na piec, to nie lada sport dla malca. Najpierw należało podstawić sobie mały stołek, z niego na „przyławek” stojący zawsze przy piecu, dopiero stąd na klepisko. Z pieca patrzyło się z góry na całą izbę. Z wiosną gdy zaświeciło cieplej słońeczko, wybiegały dzieci na „zagatę” przed dom, chroniącą ściany domu przed mrozem. Tu grzały się do słońca. Podbiegając boso po śniegu, żeby mama nie widzieli, to była wielka przyjemność. Obok pieca naczelne miejsce w izbie zajmował potężny stół, na którym jadło się tylko w święta, zwyczajnie przy stołku (dłuższej i szerszej ławce). Przy stole i przy ścianach stały podłużne ławki. Krzesel dawniej nie znano, to był pański mebel. Obok dużego rodzinnego łóżka (tu zwano pościelą) była z drugiej strony stołu kanapa, tu zwana bambetlem. Na dzień przykrywało się ją wiekiem z desek, służącym do siedzenia, na noc zdejmowano wieko.

Gdy było więcej czeladzi w domu, zimą rozkładano postanie i na tym wieku. Na ścianach wisały liczne święte obrazy. Podłogi w izbie nie było, chodziło się po udeptanej ziemi, zmaszczonej na święta i niedziele żółtą gliną. Ostatnio pojawiała się tu i ówdzie w bogatszych domach podłoga. Druga część domu to stajnia dla bydła. Bliskie jej sąsiedztwo uzasadniali chłopci względami praktycznymi, w zimie nie

trzeba było iść po śniegu, tylko od razu z chaty przez sień do stajni do krowy z piciem, do podoju, do koni, do świnek. W nocy gospodarz słyszał każdy ruch zwierzęcia, dzwonił łańcuch, ropotały żłoby. Chłop przecież kochał swoje bydłota, w zimie troszczył się o nie jak o swój skarb najdroższy, bo też i skarbem były. Latem rozkoszował się ziemią którą kochał nad życie, do niej był przywiązany jak dziecko do swej rodzicielki. Nic też dziwnego, że pozostawienie jej było dlań wprost tragedią. Dublańczycy pracują wszędzie zawzięcie, ale o swojej dublańskiej ziemi mówią z łzami w oczach, bodaj do tego jednego zagona pragną wrócić, bo to ich własny, po rodzicach odziedziczony. Oczywiście względy higieniczne nie były brane pod uwagę. Zresztą mówił chłop, po co budować stajnie osobno, tak budowali nasi ojcowie i dobrze im było, to i nam z tym dobrze. Na taki argument nie było rady. Nic to, że latem gromady much unosiły się w chatach wiejskich, a fetor stajenny zapierał oddech: do wszystkiego można się ponoć przyzwyczać, więc też przyzwyczał się chłop do tych nędznych warunków i to go już wcale nie raziło. Stodołę budowano oddzielnie, bo za tym przemawiały zdaje się względy praktyczne. Często tu i tam wybuchały pożary, a w stodole słoma, lepiej z nią z daleka. W stodole na środku był tok (klepisko) do młócenia, po bokach były sąsiekki, jeden na zboże czy słomę, drugi na siano. Przy stodole znajdowała się szopa na wóz i na drzewo opałowe. Chlewów oddzielnych nie było, najczęściej przy stajni była dobudowana kucza, albo w stajni odgrodzono deskami małą przestrzeń w której hasał wieprzek. Kurnik tzw. banta, też był umieszczony w stajni przy ścianie. Jak bardzo chłop kochał swoje bydłota świadczy i ten fakt, że nie raz w czasie wielkich mrozów wprowadzał krowę do izby, zwłaszcza gdy chorowała, a cielątko po urodzeniu z reguły pozostawało w izbie aż do czasu sprzedania, a więc dwa do trzech tygodni. Stało w kącie izby i było pociechą małych dzieci, toteż gdy Żyd cielę kupił z płaczem rozstawały się z nim dzieci. Żyd dawał im zwykle kilka groszy „na otarcie łez”. Tylko zimą życie rodzinne koncentrowało się w domu, latem nie było czasu siedzieć w domu, zresztą przyjemniej było na polu, nawet z jedzeniem wychodzili na pole, trochę ze względu na niesforne muchy, a trochę dla ochłody w cieniu drzewa. Świt wypędzał chłopca z domu na pole do pracy, tam pracował, tam jadł, wracał dopiero o zmroku na posiłek i nocny spoczynek. Wygląd zewnętrzny domu i gospodarstwa zostawiał też wiele do życzenia. Polacy więcej dbali tak o wnętrze domu, jak i jego wygląd zewnętrzny. Polski Horyń o wiele wybijał się w tym względzie od na wpół ruskiego Dołu. Tam w większości domów była już podłoga w izbach, przed domami widniały pięknie utrzymane ogródki - chluba dziewcząt, one to rywalizowały ze sobą w hodowaniu piękniejszych kwiatów, w bieleniu zewnętrznych ścian domu. Przed domem było na ogół czysto, gorzej poza domem, tam zazwyczaj znajdowało się gnojowisko między stajnią a stodołą, najczęściej nieuporządkowane. Gnojówka nie mając zbiornika rozlewała się,

ściekała przekupkami (rowkami) z deszczem do potoka, nie przynosząc żadnego pożytku gospodarzowi. Wywożenie gnojówki na pole było prawie nie praktykowane. Higienie urągały licho urządzone ustępy, u Rusinów budowane tylko na pokaz (rozporządzenie min. Sławój - Składkowskiego) stąd "sławójki". Polacy pracowitsi, więcej zaradni wyprzedzali gospodarczo sąsiadów Rusinów. Chłop polski w ciężkich warunkach starał się polepszyć: swą dole, nie zawsze mu się to udawało, nie zrażał się jednak nigdy, wyteżał swe siły i pracował dalej. Prof. Bujak pisał o polskim i ruskim chłopie następująco: „Chłopa naszego cechuje dziwny realizm życiowy. Miarą jego gospodarczych i politycznych ocen nie jest samo pożądanie, ale możliwość jego zaspokojenia. Nie marzy o czymś dalekim, zupełnie innym, niż to co ma obecnie, pragnie na razie trochę sobie ulżyć, chce stopniowo posuwać się naprzód, stopniowo zdobyć sobie i zapracować. Lud ruski zaś w Galicji - na razie stoi nieco niżej od ludu polskiego i mniejsze ma znaczenie w gospodarstwie społecznym. Rusin jest niewątpliwie mniej pracowity od Polaka, bo procesy duchowe i ruchy fizyczne Rusina są powolniejsze, pracuje wolniej. Pod względem poglądów na życie różni się także Rusin od Polaka, ma mniej realizmu...” Oczywiście owe małe zresztą różnice usposobienia zacierały się często we wspólnym, sąsiedzkim pożyciu, Rusini nabierali dodatknych cech Polaków, a Polacy na odwrót - stawali się leniwi i ospali. Swoje zacofanie gospodarcze, nędzne warunki bytowania spostrzegli Dublańczycy dopiero w zetknięciu się z gospodarstwami na Ziemiach Zachodnich. Tu mogli porównać prymitywizm swoich urządzeń, sprzętu gospodarczego, mieszkania, z tym wszystkim co zobaczyli. Wykazaliśmy jednak wyżej, że małą tylko ponoszą w tym winę: ogólnokrajowa gospodarka, bieda materialna paraliżowały wszelki postęp gospodarczy. Natomiast pracowitość ludu polskiego wsparta techniką urządzeń gospodarczych dokonuje wprost cudów tu właśnie na Ziemiach Zachodnich i to w tak ciężkich powojennych warunkach. Czego by dowiedzieli, gdyby im dać możliwe warunki pracy, to na razie pozostać musi w sferze wyobraźni.



Rysunek 8 Dublany 2017r. Dom mieszkalny



Do Historii Dublan napisanej przez Ks. mgr. Piotra Szkolnickiego, nie widzę - ze swej strony - potrzeby dodawania czegokolwiek, gdyż wyczerpuje ona w swej treści prawie wszystkie zagadnienia dotyczące gromady Dublan pow. Sambor, woj. Lwowskie. W tej właśnie miejscowości ks. Piotr Szkolnicki urodził się i po ukończeniu Seminarium Duchownego, tu spędził swoje młodzięcze lata aż do chwili zdradzieckiego napadu wojsk hitlerowskich na bezbronną Polskę w dniu 1 września 1939r. Nie mam zamiaru dowodzić, iż "Historia Dublan" jest ciekawa dla wszystkich a zwłaszcza obywateli Dublan z uwagi na patriotyzm dla miejsca pochodzenia a nawet także dla ludzi nie mających sentymentu dla tej gromady - z przyczyn czysto obiektywnych. Autor "Historii Dublan" podając fakty, opisy przyrody, ludzi, miejsca, położenie, nastroje wśród mieszkańców, a w końcu postawę niektórych obywateli Polskich z Dublan w chwili wkroczenia zaborczych armii, rzuca pewne światło na krótkowzroczność tych osób, na niewłaściwy - nielogiczny tok ich rozumowania następstwem czego jest zmienność ich charakteru i postępowania. Poszli oni za drogowskazem „Tam moja Ojczyzna, gdzie jest dobrze”. Niestety, ta maksyma dla tych odszczepieńców była dobra tylko na krótki czas. Już po kilku latach okazała się złudna - zwodnicza - a że tak było, świadczy o tym -fakt, że musieli w ucieczce, pozostawiając dobytek - szukać ratunku względnie inne czynniki, zostali przymusowo przesiedleni do dalekich stron. Autor wspomnianej "Historii Dublan" bardzo obiektywnie, zgodnie z zaistniałymi zdarzeniami, bez żadnej nienawiści do innych narodowości, uwzględnia wszystkie stany, sprawy zarówno sprzed wojny jak też po 1 września 1939r.- z chwilą, zagarnięcia tamtych ziem przez wroga polskości wojska. Jest więc ta "Historia Dublan" dokumentem historycznym, bezwzględnie koniecznym dla historyka, który w przyszłości będzie chciał podać dzieje tych obszarów. "Historia Dublan" uzupełniona "Księżą Pamiątkową" - którą powinni wydać Obywatele Dublan, winna (moim zdaniem) znajdować się nie tylko w bibliotekach Polaków urodzonych w Dublanach, ale również wszędzie zarówno w kraju jak i za granicą. Ze swej strony pragnę dodać do tej tak pełnej treści "Historii Dublan" swoje skromne uwagi dotyczące mojej osoby jak również faktów, które miały miejsce w Dublanach w czasie zaborów naszej Ojczyzny do Pierwszej Wojny Światowej, oraz z czasów wolnej Ojczyzny do 1939 roku - podanych przez obywateli Dublan i Oleksiąt, którzy osiedlili się w Kanadzie. Jestem dumny, że nasza wioska ma tak piękną historię, że pochodzę z tej patriotycznej i religijnej wioski. Pragnę także złożyć gratulacje moją osobistą. Cześć Ks.

mgr.P. Szkolnickiemu, który nie zapomniał, że jest Obywatelem Dublan, że jest Polakiem i sieje ziarno Ewangelii Chrystusa wśród swoich Rodaków na Ziemiach Odzyskanych. Jedno mnie zaciekało, że Autor nic nie wspomina o naszych bohaterach różnych wojen i patriotach dublańskich. A była ich spora gromadka. Prawdopodobnie Ks.mgr.Szkolnicki nie chciał tej sprawy poruszać z różnych powodów - co zresztą doskonale rozumiem. Młodzież Dublan. Po Pierwszej Wojnie Światowej młodzież Dublan poza pracą domową zajmuje się sportem, a wolnych chwilach od zajęć zbierała się na różne wycieczki, które były organizowane przez naszych nauczycieli. Wczesną wiosną chłopcy i dziewczęta zbierały się grupowo do lasów naszego Dziedzica Sozańskiego, aby nazbierać śnieżyczek i upiększyć nasz ołtarz w parafii a także w kaplicy w rejonie Dublan. Jesienną porą młodzież chodziła na grzyby których było sporo i różnych gatunków. Biedniejsi obywatele Dublan po kryjomu zbierali, czy też wycinali drzewa na opał domowy. Jeśli się trafiło na dobrego gajowego (Polaka) to wszystko miało urok pięknej zdobyczy i częściowo zaspakajało stronę finansową biednych obywateli. Byli też gajowi wiernie służący dziedzicowi Sozańskiemu - urządzali łapanki w okolicznych lasach .(Byli to gajowi spod zaboru austriackiego mimo że nosili polskie nazwiska).

Nadużywali swojej władzy i oddawali naszych obywateli do sądu za nielegalne zbieranie drzewa na opał, za kradzież, wydawano różne wyroki na tych, którzy zostali przyłapani na gorącym uczynku. Po odzyskaniu niepodległości Państwa Polskiego po 150 latach niewoli , młodzież nasza zaczyna oddychać świeżym duchem i cieszy się wolnością. W Dublanach powstają małe sklepiki i skromne warsztaty pracy jak: kowale, ślusarze, krawcy. Część pracuje w kolejnictwie, większość młodzieży zajmuje się rolnictwem, bo takie było życzenie rodziców. Część młodzieży, o której wspomina ks.Szkolnicki udaje się na wyższe studia. Kościół i szkoła odgrywają wielką rolę w życiu społecznym Dublan. Obywatele Dublan, a zwłaszcza młodzież miała kłopoty w szkołach, gdyż na stanowiskach byli jeszcze nauczyciele obcej narodowości. Pamiętam, kiedy byłem jeszcze małym brzdącem, zorganizowano Związek Strzelecki aby wdrożyć młodzież do poczucia odpowiedzialności społecznej. Tak nauczyciele jak i księża obcej narodowości z niechęcią patrzyli na tę nową organizację, utrudniali jej działalność, chcąc ją rozproszyć. Orientująca się w tej sytuacji młodzież, składała zażalenie do Władz państwowych w Samborze. Po dłuższych wyczekiwaniach przysłano nam młodego, już powojennej generacji nauczyciela Jana Maciela. Kontakt i rozmowy jego z dyrektorem szkoły (Juliuszem Freyem pochodzenia niemieckiego) oraz obecnym proboszczem naszej parafii doprowadziły do korzystnych zmian i szkolnictwo zaczęło rozwi-

jać się w myśl zaleceń Władz Państwowych. Nauczyciel Jan Maciela odegrał wielką rolę w życiu społecznym Dublan. Jeszcze wspomnę krótko o szkolnictwie w Dublanach. Jeśli rodzice byli zamożni, mogli swoich synów (przez protekcje) posłać na dalsze studia do Sambora. Biedniejsi musieli się ograniczać do ukończenia 7 klasowej szkoły podstawowej. Autor Historii Dublan wspomina o naszej dublańskiej inteligencji, która miała możliwość na wyższe studia, część młodzieży polskiej zaczyna orać glebę, aby swym rodzicom zabezpieczyć życie. Gospodarstwo rolne podnosi się na wyższy stopień kultury wzorując się na gospodarce rolnej kolonii niemieckiej Kranzbergu. Wracając jeszcze do spraw szkolnych, dodam, że polska młodzież powojenna znienawidziła język ruski. Dyrektor szkoły p. J. Frey nieraz laską grzmocił tych, którzy nie opracowali zadania z języka ruskiego. Pamiętam takie zdarzenie, że dyrektor szkoły p. Frey zagroził wyrzuceniem ze szkoły mnie i wielu innym, jeśli nie będziemy robili postępu w tym języku, otrzymałem polecenie nauczyć się wiersza ruskiego "Hamali ja..." pisarza ruskiego Tarasa Szewczenko. Kułem ten wiersz całą noc i wreszcie jakoś wystękałem ku zadowoleniu rodziców, że nie zostanę ze szkoły wyrzucony. Wiele, wiele niesprawiedliwości działo się w tym czasie w Dublanach, lecz cóż można było zrobić w tak krótkim czasie istnienia Państwa Polskiego. Urzędnikami państwowymi na różnych szczeblach byli ludzie obcej narodowości chroniący się pod polskie nazwiska. Z tej racji często w różnych okolicznościach spotykając się z Polakami, słyszałem utyskiwania na Władze polskie i mówili, że lepiej było im za Cara i Austrii. Starłem się tłumaczyć, że 150 lat niewoli zrobiło swoje. Rusini i kolonia Niemców w Kranzbergu starała się buntować obywateli polskich chcąc nas poróżnić i rozbić. Wstępując na ochotnika do Armii Polskiej (Oddział Korpusu Ochrony Pogranicza) nie miałem pretensji do Władz Polskich, jak również i moja rodzina nie narzekała. Cieszyliśmy się, że powstało Państwo Polskie, że w przyszłości Rząd Rzeczypospolitej obsadzi wszystkie stanowiska rządowe własną polską młodzieżą. Niestety, wolność ta długo nie trwała. Tragedia roku 1939 wolność została nam zabrana przez Niemcy i Rosję. Polska podzielona przez dwa mocarstwa, a żołnierz polski mimo dzielnej walki w 1939r. musiał poddać się. Część żołnierzy ucieka za granicę - część dostaje się do niewoli niemieckiej i rosyjskiej. Wodzowie i żołnierze wierzyli mocno, że Polska Armia na nowo scali się, że Niemcy będą pokonani. Naczelne Dowództwo Armii Polskiej w Anglii organizuje od nowa Armię, Polską. W jej szeregach za granicą była spora cyfra chłopców z Dublan, Kornalowic i Oleksiąt. Niektórzy zasnęli snem wiecznym w walce o wolność Anglii, Włoszech, Niemczech, Norwegii i Francji.

Po zakończeniu działań wojennych we Włoszech, naczelny wódz Polskich Sił Zbrojnych gen. broni K. Sosnkowski udekorował orderem "Virtuti Militari" kilku oficerów, podoficerów i żołnierzy oraz trzech

generałów między innymi i mnie za dzielność w walce o Monte Casino. Na wspólnym przyjęciu z tej okazji w mieście Ankona (Włochy), spotkałem generała Wolikowskiego, który szedł z Armią Polską pod dowództwem Marszałka Piłsudskiego jeszcze w pierwszej wojnie. Generał Wolikowski prowadził Dywizję Piechoty i Artylerii przez Sambor, Kulczyce, Oleksięta, Dublany, Hyrów, Drohobycz, Borysław. Kwatera jego była w Dublanach w domu parafialnym, a w lasach obok Dublan był skład amunicji. Generał opowiadał całą historię o Dublanach i Oleksiętach. Wieś Dublany i Oleksięta odegrały wielką rolę w jego marszu na wschód. Młodzież i obywatele Dublan i Oleksiąt brali czynny udział w straży magazynów żywnościowych w lasach. Nie brak było i kobiet dublańskich, które na zmianę pilnowały magazynów w okolicznych lasach, aby Rusini nie wysadzili w powietrze te główne składy zaopatrzeniowe. Po zakończeniu działań wojennych, generał Wolikowski zdał sprawozdanie ze swej działalności naczelnemu wodzowi Marszałkowi Piłsudskiemu. Wspominając o wielkich zasługach dublańskich obywateli. Marszałek Piłsudski oświadczył Generałowi Wolikowskiemu aby wypełnił wniosek dla udekorowania wsi Dublan orderem krzyża "Virtutti Militari". Generał Wolikowski taki wniosek wypełnił. W tym czasie w Sztabie Głównym w Warszawie nastąpiły pewne nieporozumienia. General Wolikowski wysłał podpisany wniosek przez Marszałka Piłsudskiego do Rady Powiatowej w Samborze. Rada Powiatowa zawiadomiła wójta dublańskiego, aby wypełnił formę z nazwiskami osób, które brały czynny udział w walce o wolność. W tym czasie generał został zwolniony z dowództwa dywizji i powierzono mu inny dział pracy w Rządzie. Od tej pory już nie miał kontroli w powyższej sprawie. List, który otrzymał wójt w tej sprawie dostał się do rąk dyrektora szkoły oraz księdza... i z niewiadomych przyczyn zaginął. Wiadomo było, że dyrektorem szkoły a także księdzem byli nie Polacy - więc o to nie zadbali. Szkoda, że się tak stało!

Drodzy Obywatele Dublańscy!

Po zakończeniu działań wojennych II Wojny Światowej, żołnierze polscy - z wiadomych przyczyn - do Polski nie wrócili. Większość wyemigrowała do Anglii, Kanady, Australii i U.S.A. Ja wybrałem Kanadę - Calgary / Alberta. Bardzo dużo polskich żołnierzy wróciłoby do swoich ziem rodzinnych... do wschodniej Polski, tam gdzie spędzili swoje młode lata, gdzie pamiętają każdą ścieżkę, drogi, łąki, lasy, potoki, gdzie tyle pozostało wspomnień z lat dziecięcych. W roku 1947 przyjechałem do Calgary i zaraz wstąpiłem do Organizacji Polskiej powstałej w 1914 r. na tym terenie.

Będąc członkiem wspomnianej Organizacji, a w r.1961 jej Prezesem, odnalazłem na terenie Calgary kilku obywateli naszych Dublan. Był to rok 1947. Pierwszym obywatelem dublańskim w Calgary był p. Rupnicki z Górnych Dublan tzw. "Horynia". Pan Rupnicki wyemigrował do Kanady już z wolnej Polski - daty nie pamiętam. Po kilku godzinnej rozmowie na temat Dublan, zapytałem go, czy jest jeszcze ktoś z Dublan, który wyemigrował do Kanady spod Zaborów. Odpowiedział mi, że jest spora grupa ludzi dublańskich i innych, którzy wyjechali spod wszystkich trzech zaborów, ale osiedlili się w województwie Ontario (Toronto). Z Calgary do Toronto koleją trzeba jechać 2 dni i 3 noce. Ale mimo trudności finansowych oraz pracy zarobkowej, znalazłem trochę czasu, aby w Toronto odnaleźć jednego z dublańskich obywateli, którzy wyjechali w czasach zaborów. Niestety nie znalazłem nikogo z Dublan. Bardzo dużo z Dublan osadziło się w Toronto i okolicy, ale wszyscy wyjechali już z wolnej Polski. Mówiono mi, że podobno kilku emigrantów dublańskich spod zaborów osiedliło się bardzo daleko od Toronto, więc brak czasu i obowiązek pracy nie pozwolił mi na przedsięwzięcie tak dalekiej podróży. Na otrzymane adresy napisałem kilka listów - Niestety nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Prawdopodobnie byli to już starsi ludzie i może nawet nie umieli pisać. W Toronto zaprzyjaźniłem się z p. F. Parylakiem pochodzącym z Dublan, "Horynia".

Gościłem u niego kilkakrotnie. Pytałem go, czy nie słyszał, że Dublany odegrały wielką rolę w I Wojnie Światowej w marszu Armii Polskiej na wschód. Odpowiedział mi, że Dublany były miejscem konspiracji, gdzie tajnie spotykali się różni przywódcy polityczni. Również pamiętał, że Dublany miały być odznaczone orderem "Virtutti Militari" za wielki udział w walkach o wolność w I Wojnie Światowej. Wspominał tylko, że jego śp. ojciec opowiadał mu o konflikcie, który nastąpił między wójtem proboszczem i dyrektorem szkoły w Dublanach i że ta sprawa nie została załatwiona przez Władze Dublańskie i Władze Powiatowe Sambora. Pan Józef Rupnicki z Dublan "Horynia", którego również pytałem o tą sprawę, potwierdził wypowiedzi p. F. Parylaka, że winę za to, że Dublany nie zostały odznaczone orderem "Virtutti Militari" ponosili: wójt, dyrektor szkoły i proboszcz dublańskiej parafii według opinii śp. jego ojca. Wyżej wspomniani urzędnicy dublańscy nie byli Polakami. W roku 1967 p. Józef Rupnicki poinformował mnie, że jest tu jeden obywatel ze wsi Oleksięta, który mieszka niedaleko Calgary (30km) w miejscowości Okotoks. - nazywa się Jan Głowacki, samotny bo żona mu umarła w 1955 r. Więc w piękny dzień maja - była to niedziela w 1967r. pojechaliśmy samochodem do p. J. Głowackiego. Zauważył nas z daleka, zostawił motykę, bo pracował w ogrodzie i skierował się w naszą stronę. Pozdrowiliśmy się naszym staropolskim pozdrowieniem "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" przy

czym zauważyłem, że odpowiedział piękną czystą polską mową. Z miejsca przedstawiłem się, kim jestem, skąd pochodzę i w jakich okolicznościach znalazłem się w Kanadzie w Calgary i dlaczego tu przybyłem. Gospodarz po krótkiej rozmowie zaprosił nas do swojego skromnego domku, aby nas poczęstować "mocniejszą wodą" (tj. alkoholem). Rozmowa nasza trwała prawie 8 godzin. Pan Głowacki urodzony 5 listopada 1889 r we wsi Oleksięta pod zaborem austriackim, do Kanady przyjechał z ojcem Franciszkiem i matką Katarzyną w roku 1912. Ojciec jego pochodził z zamożnej rodziny. Ukończył uniwersytet we Wiedniu (Ekonomię) i tamże wstąpił do austriackiej szkoły wojskowej. Będąc kilka lat oficerem, zaawansował do stopnia pułkownika. Często odwiedzał rodzinę i brata, którzy zajmowali się gospodarstwem na "Oleksiętach". Ojciec jego należał do tajnej organizacji politycznej pod nazwą "Wyzwoleńcy". Śp. Franciszek Głowacki ze swoim bratem Michałem brali czynny udział we wspomnianej organizacji wyzwolenia Polski spod okupanta. W roku 1909 odbyło się zebranie tajne w Dublanach (miejsca nie pamięta - ale twierdzi, że było to obok kościoła). Tak zeznaje Jan Głowacki syn Franciszka i Katarzyny. Na wspomniane tajne zebranie przybyli przywódcy spod zaboru niemieckiego, austriackiego i rosyjskiego, a także obywatele Dublan. Razem wszystkich było 15 osób. Tragiczny to był rok wspomnianych przewrotów. Rusini, którzy współpracowali z Austriakami zawiadomili żandarmerię (Policję) austriacką, która urządziła łapankę, udało się im złapać 12 osób, których Jan Głowacki nie pamięta nazwisk. Trzech zdołało szczęśliwie zbiec, a między nimi był śp. pułkownik Franciszek Głowacki. Wspomnianych dwunastu przywódców rozkazem sądu austriackiego skazano na śmierć przez rozstrzelanie. Egzekucja odbyła się w lesie "Dąbrówka", który należał do parafii Dublany. Zwłoki wspomnianych przywódców złożono we wspólnej mogile na cmentarzu parafii w Dublanach, pomiędzy trupiarnią a kaplicą cmentarną, gdzie znajdowały się grobowce dawnych książąt polskich.

Po kilku miesiącach obywatele Dublan i Oleksięta - nocą - postawili skromny pomnik z napisem "Cześć Wam Bohaterowie. Krew i życie Wasze nie pójdzie na marne". Władze austriackie dowiedziały się od Rusinów, że powstał taki pomnik, więc wydały rozkaz usunięcia natychmiast tego pomnika. Rozkaz naczelnej władzy z Sambora został wykonany. Pozostał tylko skromny kamień bez żadnego napisu, który przetrwał do chwili wyzwolenia Polski. Zapytałem p. Głowackiego o nazwiska dwóch jeszcze pozostałych - oświadczył, że nie pamięta, prawdopodobnie byli oni spod zaboru rosyjskiego. W roku 1911 ukończono dokładne dochodzenia w sprawie rozstrzelanych Bojowników o Polskę i między innymi znalazło się nazwisko pułkownika Franciszka Głowackiego. Sądem wojskowym p. Franciszek Głowacki został zdegradowany ze stopnia pułkownika i skazany na natychmiastowe opuszczenie Oleksięta. W

roku 1912 Franciszek Głowacki z żoną i synem wyjeżdża do Kanady do Saskatchewan. Rok przedtem w 1911 umiera na serce najstarszy brat Franciszka Głowackiego, który opiekował się majątkiem jego, gdy Franciszek był w wojsku. Polityczna emigracja Franciszka Głowackiego odbiła się na jego zdrowiu. Warunki emigrantów w tym czasie były bardzo ciężkie tak ze względów materialnych jak również niezajomości języka angielskiego. W roku 1917 umiera Franciszek Głowacki na gruźlicę, a w rok później także jego żona Katarzyna. Zbolały po stracie rodziców ich syn Jan Głowacki, wyjeżdża po kilku latach do Alberty, gdzie po zapoznaniu się z p. Anielą Kamińską urodzoną w Kanadzie, zawiera związek małżeński. Kupują skromną farmę, tj. dom i kilka morgów pola. Pragnęli doczekać się potomstwa, lecz życzenia ich się nie spełniły ku ich wielkiemu zmartwieniu. Żona Jana Głowackiego umiera w 1955 r. - on pozostaje samotny na gospodarstwie. W 1969 roku umiera Jan Głowacki. Przed śmiercią odwiedziłem go kilkakrotnie. Tęsknił zawsze za swoimi rodzinnymi stronami i cieszył się, że Polska odzyskała wolność. Wspominał również, że jego śp. ojciec miał sporo notatek, listów i pamiątek z Oleksiat. Chciał po śmierci rodziców odesłać je do Polski, pisał kilkakrotnie do znajomych, ale jego korespondencja pozostawała bez odpowiedzi. Wyjeżdżając z Saskatchewan do Alberty spalił wszystkie pamiątki i dokumenty. Śp. Jan Głowacki wspominał również, że Dublany były miejscem konspiracji i spotkań przywódców politycznych spod różnych zaborów. Po śmierci śp. Jana Głowackiego spotkałem się znowu z Józefem Rupnickim z Horynia. Zapytałem go czy jego ojciec lub dziadek nie wspominali czasem o tych 12-stu Bojownikach rozstrzelanych w lasu "Dąbrówka" w parafii Dublany. Pan Józef Rupnicki oświadczył, że jego dziadek i kilku innych dublańskich obywateli złożyli wizytę księdzu proboszczowi w Dublanach, aby dowiedzieć się ze spisu metryk zgonu parafian o śmierci tych Bohaterów. Ksiądz im powiedział, że poprzedni proboszcz mówił o tej sprawie o rozstrzelanych obywatelach - ale dowiedział się wtedy, że władze austriackie zabroniły umieścić nazwiska Bohaterów w metrykach zgonów parafian. Tyle co zeznaje p. Józef Rupnicki z Horynia.

W roku 1972 Józef Rupnicki umiera w Calgary. Na zakończenie niniejszej recenzji o Dublanach, zwracam się do naszej Dublańskiej Inteligencji, aby nie wstydziła się swego ojczystego gniazda ze względu na ówczesne warunki w jakich znajdowały się Dublany. Obcy element urzędniczy, któremu solą w oku była Konstytucja 3 Maja nie pozwalała na swobodny rozwój ducha narodowego. Mieliśmy zdrajców w naszej Ojczyźnie, historia nam to pokazuje, że dla osobistych zysków sprzedawali swoją krew okupantowi. I tutaj w Kanadzie mamy podobne problemy. Są Polacy zmieniający swoje nazwiska, język i kulturę - już w pierwszej generacji zapominają, ojczystego języka. Ale są też Polacy szcycący się swoim

pochodzeniem, biorący udział w życiu społecznym, narodowym i religijnym, co nie przeszkadza, aby byli też dobrymi obywatelami Kanady. Łączą się w Związkach Polonijnych, są czynni w budowie polskich kościołów. Niektóre organizacje obchodzą już 100 lecie istnienia na kontynencie amerykańskim. Nasi pradziadowie, którzy z różnych powodów do Kanady przybyli, pozostawili po sobie piękne pamiątki polskiej kultury o tysiącletniej tradycji. Chciemy podtrzymać ośrodki polonijne kulturalno-oświatowe, niech nasza młodzież poznaje historię - swoich ojców kraju, korzysta z przekazów i szczyli się, że pochodzi z kraju, który mimo różnych okupacji, prześladowań i trudności przetrwał i obchodził tysiąclecie historii i kultury chrześcijańskiej. Wspomnę również, że w 1955 r. byłem w Nowym Jorku na Zjeździe Kongresu Polonii Amerykańskiej. Poznałem wówczas Wiceprezesa Kongresu, który oświadczył mi, że jego pra-pradziadkowie przyjechali ze wsi Dublany w tym samym czasie, gdy przybył do Ameryki Bohater Narodowy Polski i Ameryki - Tadeusz Kościuszko. Nazwisko Wiceprezesa Kongresu Polonii było Kazimierz Zalewski- adwokat. Mamy wiele, wiele dublańskich obywateli, którzy sami lub ich dzieci zajmowali stanowiska rządowe o których wspomnę w moich pamiętnikach. Z tej przyczyny zwracam się do Dublańskich Obywateli w Polsce aby raczyli uzupełnić historię Dublan ze strony patriotycznej swoimi wspomnieniami czy dokumentami czy zdjęciami historycznymi. Polska i Europa przechodziła różne systemy polityczne, nie ma nic wiecznie trwałego w historii. Ostatnio władztwo Hitlera, Imperium Brytyjskie upadło, przeszło tylko do historii. Kto może dziś powiedzieć co będzie za dwadzieścia lat? Nas nie będzie, ale historia pozostanie. Oczekuję odpowiedzi Dublańskiej Inteligencji w sprawie uzupełnienia historii Dublan. Na zakończenie pozwolę sobie zacytować wiersz Adama Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie. Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię utracił. Dziś piękno Twe w całej ozdobie widzę i opisuję, bo tęsknię po Tobie.

Powyższą recenzję o Dublanach napisał były żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w stopniu chorążego, Kawaler Orderu "Virtuti Militari",

Obywatel Dublan

Władysław Krokosiński

9 KSIĄDZ PIOTR SZKOLNICKI – O AUTORZE

Małgorzata Szkolnicka-Ryś Maj 2019r.

Piotr Szkolnicki urodził się 10 czerwca 1918 roku w Dublanach. Był synem Jan Szkolnickiego i Marii Dmytryk. Ukończył cztery klasy Szkoły Powszechnej w Dublanach a następnie w latach 1929-1937 zdobywał wiedzę w Gimnazjum Klasycznym z językiem łacińskim, greckim i niemieckim w Samborze.

Maturę zdał w 1931 roku, następnie ukończył dwuletnie studia teologiczne w Przemyślu i czteroletnie seminarium w Brzozowie.

5 marca 1943 roku otrzymał święcenia kapłańskie.

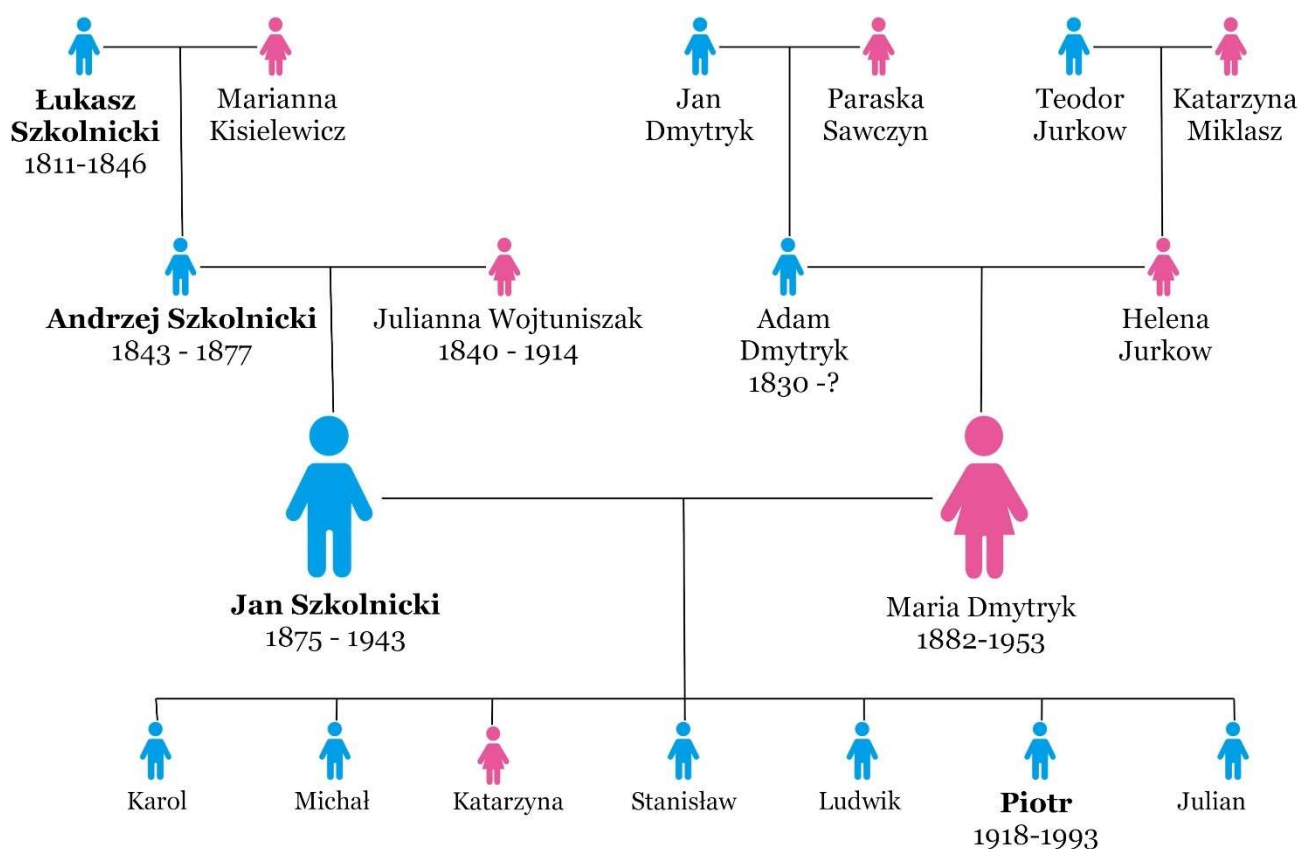
Przebieg posługi kapłańskiej:

- Do 8 października 1943r – wikariusz w Jaćmieniu
- 8 października 1943 – 3 listopada 1947 – Kosina
- 4 listopada 1947 – 7 sierpnia 1949 – Sanok
- 8 sierpnia 1949 – 15 lipca 1952 – Niewodna
- 16 lipca 1952 – 4 sierpnia 1955 – Strzyżów
- 5 sierpnia 1955 – marzec 1958 – Wyszatyce
- Marzec 1958 – 28 października 1960r – Brzostek
- Październik 1960r – wskutek decyzji władz świeckich został zwolniony z posady administratora w Brzostku i przez pół roku przebywał na urlopie
- 29 marca 1961 – 5 maja 1961r. – administrator parafii Nowotaniec
- 1 lipca 1967r. został mianowany rządcą parafii w Czudcu i tam pracował do śmierci
- Zmarł 12 czerwca 1993 roku i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Czudcu

I na tym byśmy zakończyli, ale ksiądz Piotr Szkolnicki był postacią bardziej barwną niżby się wydawało. Z książki „Polskie Ślady na Pomorzu Zachodnim” będącą pracą zbiorową pod redakcją Janusza Gajowniczka i Tadeusza Siewiora, w rozdziale, którego autorem był Zygfryd Dzedzej dowiadujemy się, że:

przez okres okupacji aż do rozwiązania AK, pełnił obowiązki kapelana oddziałów dywersyjnych, walczących w lasach w okolicach Roleszawy i Żółkwi. Oficjalnie posługiwał w parafii Kosino. Brał czynny udział w wielu akcjach z partyzantami. Dnia 21 marca 1943r. uczestniczył w zniszczeniu mostu kolejowego w Rogoźnie, a w kwietniu tegoż roku w odbiciu więźniów, żołnierzy AK z posterunku w Żółtyni.

Prowadził naukę dzieci z zakresu szkoły podstawowej. W pierwszych powojennych wyborach do Sejmu nie pozwolono mu głosować. Na liście wyborczej wpisane miał „wywrotowiec”. Po wojnie za przekonania antysowieckie i kazania patriotyczne był wielokrotnie sądzony w Jaśle, Sanoku, Rzeszowie i Warszawie. Kilkakrotnie skazany. Wyroki odsiadywał w Rzeszowie, Kamieńsku k. Bartoszy (więzienie dla recydywistów).



Rysunek 9 Drzewo genealogiczne Księdza Piotra Szkolnickiego



Rysunek 10 Sambor 1937r.



Rysunek 11 Sambor 1937r. Klasa VII



Rysunek 12 Seminarium Duchowne II rok



Rysunek 13 Przemyśl, Kwiecień 1939r.



Rysunek 14 Kosina, 1 kwietnia 1944r. Ks. Piotr Szkolnicki siedzi pierwszy od lewej, w środku stoi Tadeusz Szkolnicki